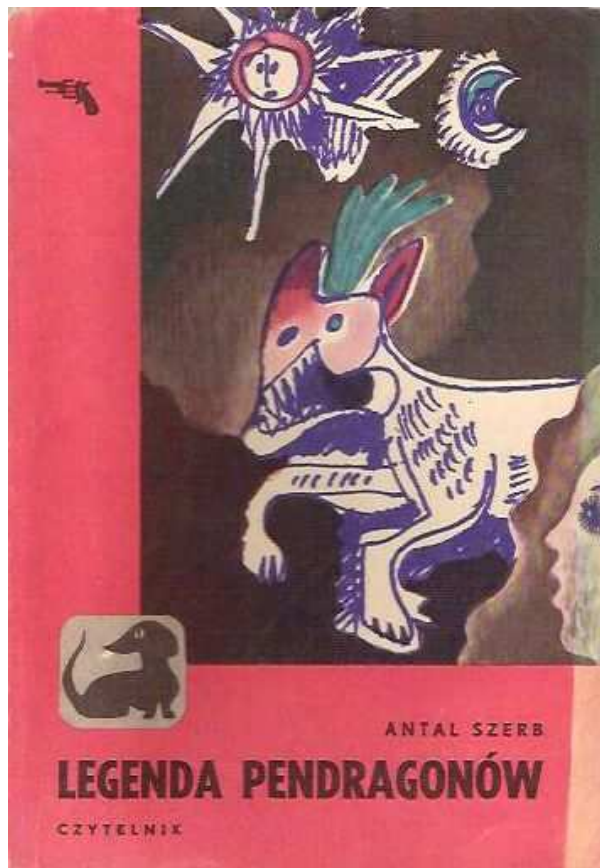


ANTAL SZERB

LEGENDA PENDRAGONÓW

TYTUŁ ORYGINAŁU: A PENDRAGON-LEGENDA
PRZEKŁAD: ELLA MARIA SPERLINGOWA



CZYTELNIK • WARSZAWA • 1971

My way is to begin with the beginning, mam zwyczaj zaczynać od początku — rzekł lord Byron — i sędzę, że warto to przyjąć jako zasadę dobrego wychowania wykwiutnych Anglików.

W rezultacie każda moja historia także zaczyna się od początku; od tego, że urodziłem się w Budapeszcie i wkrótce potem nazwano mnie tak, jak i dziś się nazywam: János Bátor. Wówczas nie wiedziałem jeszcze o tym.

Nie wchodząc w szczegóły, przemilczę opis tego, co rozegrało się pomiędzy moim przyjściem na świat i zawarciem znajomości z earlem of Gwynedd, a więc dzieje trzydziestu dwóch lat — w tym wojna światowa. Bo i po co tak się rozpisywać o sobie? Nie ja jestem bohaterem tej niezwyklej historii, lecz on: earl of Gwynedd.

Oto przebieg zawarcia naszej znajomości: pod koniec sezonu, z początkiem lata, dostąpiłem zaszczytu być gościem lady Malmsbury-Croft. Owa dama żywiła do mnie głęboką życzliwość jeszcze z czasów, kiedy byłem sekretarzem naukowym Donalda Campbella. Może dla wyjaśnienia wypada dodać, iż moje zajęcie zawodowe polega na tym, że jestem każdorazowo do dyspozycji sędziwych Anglików, którzy mają ambicję wykonywać jakąś pracę naukową. Nie tylko to zajęcie stanowiło źródło moich dochodów. Odziedziczyłem po matce niewielką, lecz dostateczną sumę, pozwalającą mi na skromne życie w tym kraju, który sobie upodobałem. Od wielu lat Anglia jest moją przybraną ojczyzną. Lubię wykwiut angielskiego krajobrazu.

Owego wieczoru pani domu wzięła mnie pod rękę i powiosłowała ze mną do milcząco uśmiechającego się w głębi fotela, roślego, siwowłosego pana o głowie niezwyklej piękności.

— Drogi earl — podjęła pani domu — ten pan to János Bátor, który zajmuje się owadojadami w średniowiecznej Anglii albo starożytnymi młocarniami, bodaj że włoskimi — w tej chwili nie przypominam sobie dokładnie. Ale w każdym razie czymś, co pana zapewne bardzo zainteresuje.

Powiedziawszy to pozostawiła nas samych. Przez dłuższą chwilę uśmiechaliśmy się do siebie życzliwie. Twarz earla była niezwykle pociągająca. Takie głowy, lecz uwieńczone laurami, zdobią okładki starych książek. W dzisiejszych czasach takie głowy się nie rodzą.

Właściwie byłem mocno zażenowany, gdyż odniosłem wrażenie, że niedokładne relacje szlachetnej lady stawiają mnie w niejako śmiesznej sytuacji.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł wreszcie earl — że pozwolę sobie na pytanie: co właściwie miała na myśli nasza miła pani domu, mówiąc o pańskich zainteresowaniach?

— Milordzie, najsmutniejsze jest to, że lady w pewnym stopniu miała rację. Jestem doktorem filozofii, a więc znawcą nauk zbędnych, i zajmuję się wszystkim, co normalnemu człowiekowi nie przychodzi nawet na myśl.

Usiłowałem samokrytycznym dowcipkowaniem uniknąć rozmowy na poważniejszy temat, na przykład: czym się zajmuję? Wiedziałem, że Anglicy mają za złe, gdy ktoś zdradza zainteresowania intelektualne.

Earl jednak uśmiechnął się jakoś dziwnie.

— Proszę pana, ze mną może pan mówić serio. Nie jestem Anglikiem. Urodziłem się w Walii, a to, powiedzmy, w pięćdziesięciu procentach upodabnia mnie do człowieka z kontynentu. Anglik nigdy nie zadałby panu pytania: czym się pan zajmuje? To nie wypada. Mnie stać na to. Dla własnej ambicji intelektualnej domagam się odpowiedzi na pytanie.

Miał tak rozumną twarz, że wyznałem mu prawdę.

— Obecnie zajmuję się angielskimi mistykami z XVII wieku.

— Doprawdy? — zawołał earl. — Wobec tego lady Malmsbury-Croft trafiła zadziwiająco. Jak zwykle. Jeśli posadzi dwóch panów obok siebie w mniemaniu, że są rodakami i

razem studiowali w Eton, to można przyjąć za pewnik, że jeden z nich jest Niemcem, drugi zaś Japończykiem, ale obaj specjalizowali się w znaczkach liberyjskich.

— A więc milord także zajmuje się tą tematyką?

— Zajmować się — to może zbyt mocne słowo na naszej wyspie. Wy pracujecie nad czymś, a my mamy tylko hobby. Ja się tak zajmuję angielskimi mistykami jak emerytowany generał, który studiuje historię rodziny. Mistycyzm stanowi niejako nieodłączny atrybut mojej rodziny. Ale doktorze.. — mistycyzm to bardzo szerokie pojęcie. Czy pana interesuje to jako objaw religijny?

— Nie, stosunek mój do religii jest dość obojętny. Z mistycyzmu interesuje mnie to, co się powszechnie uważa za mistyczne: maniakalne poszukiwanie rzeczy nadprzyrodzonych i operacje, przy pomocy których przodkowie nasi usiłowali zapanować nad przyrodą. A więc alchemia, sekret homunkulusów, leków uniwersalnych, oddziaływanie minerałów i amuletów... filozofia przyrody Fludda, który za pomocą barometru udowadnia istnienie Boga.

— Fludd? — earl odrzucił do tyłu głowę. — Absolutnym błędem byłoby zaliczyć Fludda do kupy obłąkańców. Fludd, drogi doktorze, napisał mnóstwo nonsensów, gdyż usiłował wytłumaczyć rzeczy wówczas niewytłumaczalne. W zasadzie jednak o wiele więcej posiadał wiedzy podstawowej niżeli dzisiejsi naukowcy, którzy, nawiasem mówiąc, już przestali się śmiać z jego teorii. Nie znam pańskiego zdania, ale według mnie obecnie wiele wiemy o poszczególnych zjawiskach przyrody: wówczas zaś ludzie o wiele więcej wiadomości mieli o całokształcie zagadnień. O wielkich zależnościach, których się nie da ważyć na wadze i krajać jak szynkę na plasterki.

Oczy jego stały się bardziej ożywione, niż to dozwolone w zdyscyplinowanej Anglii. Widocznie poruszony temat go fascynował.

Po chwili uśmiechnął się z zażenowaniem i dorzucił lekkim tonem:

— Tak. Fludd jest moim konikiem.

Wtem podeszła młoda, powabna pani i plotła oczywiste bzdury przez czas dłuższy. Earl rycersko podjął rozmowę. Siedziałem jak na rozżarzonych węglach. Z całego serca pragnąłem kontynuować dyskusję. Nic na świecie nie interesowało mnie bardziej niż uczuciowy stosunek człowieka do abstrakcji. Fascynował mnie problem, dlaczego takiego earla entuzjazmuje osoba dawno zmarłego i słusznie zapomnianego lekarza i znachora Roberta Fludda?

Lecz lady Malmsbury-Croft ponownie roztoczyła nade mną swoje opiekuńcze skrzydła: tym razem trafiła gorzej. Podprowadziła mnie do bardzo wykwintnej, o muzealnej prezencji damy, która zasypała mnie pytaniami na temat ochrony zwierząt w Rumunii. Na próżno oponowałem, iż nie wyznaję się w stosunkach rumuńskich. Widocznie chciała mi sprawić przyjemność i opowiadała, jakie potworne obserwacje poczyniła podczas ostatniej podróży po Armenii. Okazało się, że niezliczone psy nie mają nawet właścicieli i żywią się odpadkami, które znajdują na śmietnikach.

Na szczęście jeden z moich przyjaciół, Fred Walker, podszedł do mnie w towarzystwie starannie uczesanego młodego człowieka. Młodzieńca usadowił obok wykwintnej damy, mnie poderwał z fotela i zabrał ze sobą.

Starsza pani nie spostrzegła zmiany.

— Kto to jest ten earl? — spytałem Freda.

— Nie znasz go? Przecież to jedyny interesujący człowiek w tym towarzystwie! To Owen Pendragon, earl of Gwynedd. Ciekawy wariat. Wymarzony typ dla ciebie.

— Chętnie usłyszałbym jego historię.

— All right. Earl przed laty chciał poślubić swoją przyjaciółkę, która... nie cieszyła się nienaganą opinią... Podobno karierę swoją rozpoczęła na ulicach Dublina, spacerując od latarni do latarni. Kiedy cała śmietanka była już dostatecznie oburzona, dama ta rozmyśliła się: porzuciła earla i wydała się za starego miliardera Roscoe, który był najlepszym przyjacielem ojca earla.

Najzabawniejsze w tej historii — ciągnął Fred — że earl w gruncie rzeczy jest do przesady ekskluzywnym arystokratą. Mówią o nim, że za czasów studenckich w Oksfordzie był członkiem korporacji tak dalece ekskluzywnej, że w całym Oksfordzie znalazło się zaledwie trzech studentów godnych członkostwa. Później dwaj opuścili Oksford i earl pozostał sam w korporacji. Namyslał się przez dwa lata, kogo by wziąć na wiceprezesa, ale nie znalazł nikogo. W końcu sam także opuścił Oksford: korporacja przestała istnieć. Zgodnie z podobnymi zasadami noga jego nigdy nie powstała w Izbie Lordów.

— Przykro mi, że nie widzę nic niezwykłego w tej historii. Słyszałem już od ciebie o wiele ciekawsze. Wspaniała głowa earla pozwala spodziewać się po nim bardziej bujnej fantazji. To chyba nic nadzwyczajnego, gdy arystokrata poślubi kobietę niskiego pochodzenia... Jego wykwiint starczy dla dwojga.

— Masz rację, Janos. Toteż nie a propos tego mówiłem, że earl to dziwak. Każdy potwierdzi ci jego dziwactwo. Ale krążące o nim historie są tak bzdurne i bezsensowne, że nie mam nawet ochoty ich powtarzać.

— Ależ opowiedz mi o tych właśnie bzdurach!

— Well... na przykład, jak ci się podoba, że earl kazał się pogrzebać niczym fakir, po czym po dwóch latach, a może po dwóch tygodniach — już nie pamiętam — kiedy go odkopano, okazało się, że jest zdrow jak rydz. A w czasie wojny, nie zważając na gazy trujące, spacerował beztrudno bez maski i nic mu się nie stało. Ma sławę lekarza-cudotwórcy. Najbardziej niewiarygodna jest historia, że on wyleczył duke'a of Warwick, kiedy lekarze uznali go za zmarłego już całą dobę. Podobno w Walii w swoim zamku ma bogato wyposażone laboratorium, gdzie przeprowadza różne doświadczenia na zwierzętach. Stworzył nawet jakiś nowy gatunek potwora, który żyje wyłącznie w ciemności. Nie opublikował tego jednak, bo gardzi demokracją naukową. Ale to wszystko bzdura. Wiem o nim tyle, że w towarzystwie jest bardzo miły i nikt nie spostrzega w nim nic szczególnego. Co prawda rzadko kiedy się pokazuje... Całymi miesiącami nawet nosa nie wysadza ze swego zamku.

Tu Fred Walker przechylił się do mnie i szepnął mi do ucha:

— Kompletny wariat.

I odszedł.

W ciągu wieczora udało mi się znowu zetknąć z earlem. Odniosłem wrażenie, że on także darzy mnie sympatią. W rozmowie zauważył, że oczy moje przypominają mu pewnego lekarza z XVII wieku, którego portret znajduje się w jego zamku: nazywał się Benjamin Avravanel. Został zamordowany.

Nie relacjonuję naszej długiej rozmowy, tym bardziej że prawie tylko ja mówiłem, earl ograniczył się do zadawania pytań. Toteż nie rozwiązałem nurtującego mnie problemu, co właściwie earl sądzi o Fluddzie. Rozmowa mimo to nie była bezskuteczna. Zapewne wzbudziłem sympatię earla, gdyż pożegnał mnie słowami:

W posiadaniu mojej rodziny znajduje się kilka starych książek o tematyce, którą pan się zajmuje. Jeśliby pan miał ochotę, chętnie zobaczę pana w moim wiejskim domku w Walii. Na kilka tygodni... aż przewertuje pan książki.

Szczerze ucieszył mnie ten zaszczyt, ale ponieważ jestem człowiekiem trudnym do tego rodzaju wypraw, nie wziąłbym propozycji na serio, gdybym po kilku dniach nie otrzymał listownego zaproszenia z ustaloną datą. Tak się zaczęło....

*

Wspomniałem o zaproszeniu mojemu znajomemu Cecilowi B. Howardowi, pracownikowi British Museum, zajmującemu się podobnymi jak ja studiami. Kiedy Howard usłyszał, jaki zaszczyt mnie spotkał, zbladł.

— Bątky, pan się w czepku urodził! Tylko obcokrajowcy mają takie szczęście w tym

kraju. O bibliotece Pendragonów krążą legendy!!! Ale od osiemdziesięciu pięciu lat, odkąd Williams Sackville sporządził tam katalog, żaden fachowiec nie miał do niej wstępu.

Pendragonowie od wieków słyną z nieuprzejmości. Jeśli pan opracuje ten materiał, to będzie pan pierwszym autorytetem naukowym w historii mistyki i okultyzmu XVII wieku.

Boże — westchnął załamany — zapewne napisze pan biografię Asapha Pendragona i... otrzyma pan depesze gratulacyjne ze Stanów Zjednoczonych i z Niemiec... rocznie pięciu doktoryzujących się kandydatów będzie się udawać z pielgrzymką do pana po radę... Nawet francuskie pisma fachowe będą wspominać o panu w kilku wierszach... Ale pomijając to wszystko, to niebagatelna sprawa móc być gościem w Llanvygan, w najpiękniejszym, najbardziej ekskluzywnym pałacu Walii.

Pozwoliłem koledze pogrążyć się w zawiści, wszakże zawiść kolegów to jedyna doczesna nagroda naukowca. Nie wyznałem mu, że przypuszczalnie nic nie będę opracowywał. Że jak zwykle zbiorę materiał do wielkiego dzieła, ale kiedy wszystko będzie już starannie zgromadzone, zamknę go w swoim biurku i zacznę zajmować się zupełnie czymś innym. Earlowi of Gwynedd natomiast zdradziłem odrazę do wszelkich opracowań, co spotkało się z jego aprobatą. Wydaje mi się, że temu właśnie zawdzięczam zaproszenie. Earl miał pewność, że na skutek moich studiów nie zrodzi się żadne dzieło.

O tym także nie wspominałem koledze w obawie, że z wyżyn naukowca gardziłby mną, iż żywy earl of Gwynedd o wiele bardziej pobudził moją fantazję niż zmarły Robert Fludd. Twarz earla of Gwynedd, jego postać, osobowość, opowiadanie Freda wprawiły w ruch moją wyobraźnię. Czułem w nim historię, która silniej na mnie oddziaływała niż najwspanialsza książka. Moja intuicja podszeptowała mi: oto ostatni egzemplarz, rzadki okaz z gatunku magnatów-szperaczy sekretów i alchemików. Ostatni potomek Rudolfa II na zamku w Pradze... Człowiek, do którego w 1933 roku bardziej przemawia Fludd niż Einstein...

Jak już wspominałem, bardzo mnie ucieszyło zaproszenie i czekając na wyznaczony termin — co mógłby uczynić w mojej sytuacji taki poszukiwacz intelektualnych przygód? — zabrałem się do przestudiowania sagi rodzinnej. W „Dictionary of National Biography” znalazłem bogaty materiał: opracowanie notatek zajęłoby co najmniej miesiąc, gdyby prowadzić je sumiennie.

Pendragonowie wykazują w swoim drzewie genealogicznym pochodzenie w prostej linii od Llewelyna Wielkiego panującego księcia Gwynedd, chociaż, jak spostrzegłem, to nie jest sprawa całkiem jasna. Według rodowodów są oni potomkami owego Llewelyna ap Gruffydd, którego król Edward kazał ściąć i który na swoim płowym wierzchowcu pierwszy od czasu Jánosa Aranya * wkroczył do wyobraźni węgierskiej młodzieży. Ci walijscy bardowie, których w balladzie opiewał Arany, ze wstrząsającym śpiewem na ustach szli do płomiennego grobu, czcili ród Pendragonów i dlatego ponieśli karę. Lecz są to czasy mroczne. Średniowieczni Pendragonowie ze swoim półdzikim ludem pasterskim wśród wysokich gór i ich walki przeciwko Anglikom mają w sobie coś z bezowocnych zmagania Indian...

*

Spokojne studia, które pochłaniały mnie bez reszty, zakłócił niezwykle incydent.

Pewnego wieczoru w hallu hotelowym paliłem fajkę w towarzystwie Freda Walkera, gdy wezwano mnie do telefonu.

— Halo, czy to János Bátky? — zapytał męski głos.

— Tak.

— Co pan teraz robi?

— Rozmawiam przez telefon. Ale kto mówi?

— To nieważne. Czy pan rozmawia z kabiny?

* János Arany (1817—1882) — jeden z największych poetów węgierskich XIX w., mistrz realizmu w liryce i epice.

— Tak...

— Panie Bátky... Radzę panu nie wtrącać się do nie swoich spraw. Zapewniam pana, że ci, przeciw którym pan pracuje, wiedzą o każdym pańskim kroku.

— Pan wybacz, to chyba pomyłka. Nigdy nie pracowałem przeciwko nikomu. Tu mówi János Bátky...

— Wiem i proszę, by pan pamiętał o tym, że dotąd każdego spotykało nieszczęście, kto wsadzał nos w eksperymenty earla of Gwynedd: doktor McGregor padł ofiarą wypadku samochodowego — pana może to samo spotkać...

— A kto to jest McGregor?

— Pański poprzednik.

— Mój poprzednik? W czym?

— Nie mogę więcej mówić. Jeśli pan nie wie, tym gorzej dla pana. Tyle jednak mogę dodać: niech pan się nie rusza z Londynu.

— Dlaczego?

— Walijskie powietrze nie będzie panu służyło. Niech pan zerwie wszelkie kontakty...

Tu coś jeszcze dodał.

— Halo! Halo.... Nie rozumiem, proszę głośniej!...

Lecz nieznamy odłożył już słuchawkę. Wytrącony z równowagi powróciłem do Freda Walkera i opowiedziałem mu przebieg tajemniczej rozmowy.

— To dziwne — rzekł i zadumany wysypał z fajki popiół do kominka.

— Fred, na miły Bóg, nie bądź takim Anglikiem! Mówże coś... Co o tym myślisz?

— Well, mówiłem ci, że earl of Gwynedd jest dziwakiem. Wszystko, co ma coś wspólnego z nim, jest niesamowite. Zapewne spotkają cię niezwykle rzeczy w Llanvygan.

Zerwałem się z fotela i począłem przemierzać hall. Każda podróż wytrąca mnie z równowagi, a cóż dopiero ta, po tych tajemniczych pogrózkach!

— Kto to może być ten doktor McGregor? Jak by się dowiedzieć?

— To trudna sprawa. W niektórych okolicach Szkocji co drugi mieszkaniec nazywa się McGregor, a wśród Szkotów bardzo wiele osób ma tytuł doktora.

Bezradnie chodziłem tam i z powrotem.

— Fred, powiedz, co mi radzisz? Wiesz, że nie mam zmysłu praktycznego... Czy ty pojechałbyś do Llanvygan po tym wszystkim?

Fred zdumiony spojrzął na mnie i nic nie odpowiedział.

— Well... mówże coś!

— O czym? — spytał. — Nawet przez chwilę nie zastanawiałbym się nad tym. Wstydzilibym się przed samym sobą, gdyby coś takiego miało jakikolwiek wpływ na moją decyzję.

Wstydzilem się. Ostatecznie jestem mężczyzną. Ale... Nie co dzień odbiera człowiek telefony w tym tonie... no i wszystko jest przedziwne, co ma jakiś związek z earlem...

— Powiedz — zapytał Fred — komu mówiłeś o tym, że wybierasz się do Llanvygan?

— Tylko Howardowi w British Museum.

— O, Howardowi? To zapewne on ci spletał figła. Zna twoje... hm... kontynentalne nerwy.

— A może... — zawołałem — może przez zawiść zawodową chce mnie odstraszyć od wyjazdu?

— Po kolegach wszystkiego można się spodziewać. Well, nie przejmuj się, stary.

Posłuchałem jego rady i starałem się zapomnieć o dziwnej rozmowie telefonicznej.

*

Następnego dnia kontynuowałem swoje studia w czytelni Museum.

Pendragonowie wówczas wkroczyli do historii Anglii, kiedy Walińczyk Henryk VII wstąpił na tron angielski. Gwyn Pendragon walczył na nizinie Bosworth u boku bojownika sprawiedliwości Richmonda w białej zbroi.

Może widział krwawe cienie, które proroczo przesuwają się pośród namiotów Richmonda i Ryszarda III?... A może słyszał wrzask okrutnego króla, jak pędził pieszo przez polowisko i przyrzekał oddać swoje królestwo za konia... W każdym razie Gwyn Pendragon tak swobodnie poruszał się wśród potworów i bohaterów uwiecznionych w szekspirowskich jambach, jak ja między czytelnikami British Museum. Za zasługi nadano mu w roku 1490 tytuł earla of Gwynedd, który odtąd jest dziedziczny i teraz właśnie ozdabia mojego przyszłego gospodarza. Pierwszy Pendragon wybudował zamek, który stał się rodzimym gniazdem. Pendragon zresztą w języku walijskim znaczy: Smocza Głowa.

W czytelni cicho stąpający młodzieńcy o kamiennych twarzach przynosili mi książki, które upodobał sobie mój pseudonaukowy kaprys. W przestronnej wieży słychać było upajający szelest przrzuconych kartek. Wszyscy trwali na swoich stanowiskach: tuż przy wejściu — w meloniku na głowie brodaty Murzyn, którego przypuszczalnie posadzili tam z okazji otwarcia Museum w minionym wieku, a dookoła — starsze dziwolągi, rosące na glebie poszczególnych bibliotek całego świata.

Ale nie... jednak nie wszyscy trwali na miejscu.

Od miesiąca przywykłem do tego, że krzesło po mojej prawej stronie zajmuje płaska jak deska starsza dama i studiuje życie seksualne dzikich ludów... studiuje — do pewnego stopnia z aprobatą na twarzy. Dziś ta dama nie siedziała tam. Co więcej, nawet parasolka nie wskazywała na jej obecność. Elegancki wysportowany młody człowiek zajął jej miejsce. Czytał gazetę, chwilami rozglądał się z wyrazem zmieszania na twarzy. Wkrótce postawiłem diagnozę: Ten człowiek pierwszy raz w życiu jest w bibliotece i czuje się jak ktoś, kto pierwszy dzień spędza w domu obłąkanych.

Współczułem nieznanemu, a równocześnie nie mogłem się pozbyć tzw. Schadenfreude. Dobrze mu tak. Skoro upodobał sobie sport, to po co się tu pcha! Przypuszczalnie podobne uczucie on żywiłby do mnie, gdyby zobaczył mnie na placu golfowym.

Czytałem dalej.

Po przodkach, wykuwających w skale zamek, w moich książkach nastąpiła epoka piękna, wiosna kosmiczna. Kolejni earlowie of Gwynedd byli dworzanami Henryka VIII i Elżbiety, piastowali wysokie urzędy dyplomatyczne na odległych pompacyjnych dworach renesansowych. Pisali wiersze, wojowali na morzach, piekli na różnie powstańców irlandzkich, zamawiali portrety u włoskich mistrzów, kochali się z dworkami, grabili klasztory, klękali przed Królową Dziewicą, obsypywali Jej Wysokość wymyślnymi komplementami i czasem, zgodnie z obyczajem epoki, truli swoje małżonki, o ile one nie ubiegły mężów.

Rozmarzony oderwałem oczy od lektury. Przedemną piętrzyło się już dziesięć książek, a przed moim sąsiadem sportowcem ani jedna. Zmieszanie jego wzrastało. W końcu — na zasadzie: raz koźcie śmierć — zwrócił się do mnie:

— Przepraszam... jak pan to robi, że przynoszą panu tyle książek?

— Po prostu wypisuję na druczku tytuł i numer i kładę go do koszyka przy okrągłej ladzie.

— To ciekawe. Numer, powiada pan? A jaki numer?

— Tu każda książka ma numer.

— A skąd wiadomo, jaki?

— Z katalogu. Niech pan spojrzy, tamte wielkie czarne albumy to katalogi.

— A jakie tu się czyta książki?

— To zależy, czym się człowiek interesuje.

— A na przykład pana co interesuje?

— Chwilowo sagi rodów.

— Aha... Sagi rodów. To wspaniała rzecz. Dajmy na to, że ja też chciałbym zająć się jakąś... sagą. To co mam zrobić?

— Proszę mówić w miarę możliwości ciszej. Kierownik już się nam przygląda. A co do pana... to zależy, jaka rodzina interesuje pana.

— Mnie? Szczerze mówiąc żadna. Już jako chłopiec miałem z rodziną poważne kłopoty.

— Wobec tego, co pana interesuje? — spytałem współczująco.

— Mnie? Najbardziej wspinaczka.

— Świetnie. Poproszę dla pana o książkę, która zapewne przypadnie panu do gustu. Pan będzie uprzejmy napisać swoje nazwisko na tej kartce.

Dziecinny pismem napisał: George Maloney. Zamówiłem dla niego „Kima” Kiplinga i mój nowy znajomy całkiem pogrążył się w czytaniu. Dłuższy czas miałem święty spokój.

Wszystko, co czytałem o Pendragonach, nabrało jakiejś tajemniczej perspektywy pod wpływem opowiadań Freda Walkera, rozmowy telefonicznej i osobowości earla. Dotarłem do epoki Jakuba I. Król studiował demonologię. Dotąd ludzie kochali piękno, twarze odzwierciedlające rozum; obecnie zwrócili się do spraw nadprzyrodzonych: szukali Sensu Ostatecznego.

Szósty earl of Gwynedd, Asaph Christian, nie był już dworakiem, nie tworzył sonetów, nie kochał się, nie pozostawił po sobie ani piętnaściorga dzieci z nieprawego łoża — jak piąty earl — ani ślubnych. Po nim tytuł earla odziedziczył syn młodszego brata.

Asaph młodość spędził w Niemczech, w starych południowych miastach, gdzie domy niedyskretnie schylały się nad wąskimi uliczkami, gdzie naukowcy bez wytchnienia czytali w swoich prostokątnych pokojach, których kątów, zasnutych pajęczyną, nie oświetlały płomienie świec. Wśród retort i dziwacznych pieców earl szukał Magnum Arcanum, aby rozwiązać sekret Kamienia Filozoficznego. Był członkiem tajemniczej konfraterni różokrzyżowców, o których nawet pokolenie owych lat niewiele wiedziało, ale za to dużo o nich mówiło. Różokrzyżowcy byli to ostatni mistrzowie tajemniczych nauk, twórcy złota i lekarze-cudotwórcy. Dzięki Asaphowi znalazł się w rodowym herbie krzyż z tajnym znakiem róży na czterech brzegach jego ramion.

Po jego powrocie do Walii zamek Pendragonów zamienił się w pracownię czarnoksiężników. Karoce z zasłoniętymi okienkami poprzywoziły milczących gości z dalekich stron. Odszczepieńcy tu chronili się przed spalaniem na stosie, schodzili z gór starzy pasterze, którzy nosili w sobie pradawne mądrości celtyckiego ludu. Przychodzili tam przygarbieni lekarze żydowscy, wygnani z dworów królewskich, gdyż rzekomo więcej wiedzieli, niż człowiekowi jest dozwolone; mówią, że w przebraniu przybył tam ścigany przez demona król Anglii i Szkocji Jakub I, aby podpatrzeć tajemnicę pana zamku. Tam przyjmowali do swoich szeregów pierwsi angielscy różokrzyżowcy nowych wyznawców i ten zamek stał się drugą siedzibą Roberta Fludda, najwybitniejszego ucznia czarnoksiężnika Paracelsusa.

To ten sam Fludd, dzięki któremu zaprzyjaźniłem się z earlem. Właściwie jemu zawdzięczam zaproszenie. Wówczas nie przypuszczałem, jaką rolę odegrają w moim życiu te dawne sprawy, niewiele mówiące nazwy Asaph Pendragon i zamek Pendragonów. Ze zbioru bajek ludowych zawierającego legendy północnej Walii dowiedziałem się, że Asaph Pendragon wkrótce po swojej śmierci stał się postacią legendarną. Zapiski wspominają go jako nocnego jeźdźca, gdyż w dzień nigdy nie opuszczał zamku: pod osłoną ciemności w otoczeniu swojej świty udawał się na wyprawy, aby przy blasku księżyca zbierać cudotwórcze zioła. Lecz lud nie zadowolili się takim jego prozaicznym zajęciem. Tak więc według legendy nocny jeździec z zatrważającą bezwzględnością wymierzał sprawiedliwość i własność tę zachował nawet po swojej śmierci.

Zbójców zaskakiwał w ich kryjówkach, kiedy właśnie dzielili się łupami. Ofiary grabieży ze zdumieniem konstatowały rano, że skarby ich się odnalazły. Zuchwalca, który pozwolił sobie na fałszywą przysięgę, tak przeraziło jego ponowne nocne zjawienie, że nazajutrz

spełniał wszelkie przyrzeczenia, po czym szybko przenosił się na tamten świat.

Najbardziej mrozącą krew w żyłach była historia trzech morderców, napisana z wyjątkowym nerwem.

Gdzieś wśród gór walijskich, w zajeździe, trzech młodych szlachciurów zamordowało i ograbiło żydowskiego lekarza, podążającego właśnie do earla of Gwynedd na zamek Pendragon. Ówczesny sąd, który z czystym sumieniem można by posądzić o antysemityzm, zwolnił szlachciców i tym samym umożliwił im odpłynięcie do Francji. Pewnej nocy wieśniacy z trwogą ujrzeli, że nocny jeździec ze swoją świtą wziął kierunek na południe, wjechał na szczyt posepnego Moel-Sych i uniósł się w powietrze. Następnego dnia w fosie zamkowej znaleziono trzech zbójów szlachciurów z wykręconymi szyjami i zmiażdżonymi kończynami. Earl wymierzył sprawiedliwość za śmierć oczekiwanego na zamku gościa.

*

Kiedy o godzinie jedenastej opuściłem bibliotekę, by pójść na kawę, sąsiad mój dotrzymał mi towarzystwa.

— Ten „Kim” to fajna książka — oznajmił — fajna. Facet, który ją napisał, na pewno był tam. Dokładnie zna to miejsce.

— A może i pan także był w Indiach?

— No chyba! Tam się przecież wychowałem. W Burmie też mieszkałem. A potem w Afryce, w Rodezji. To nie najgorsze miejsce.

I tym razem poczułem głęboki szacunek, jak zazwyczaj, kiedy ogarnę znaczenie określenia Imperium Brytyjskie. Brytyjczycy ot tak sobie jadą do Burmy, jak my dajmy na to do Egeru. Tylko z mniejszym zaciekawieniem. Oni wiedzą, że wszędzie na świecie będą wśród takich samych Anglików.

— Bo mój stary był pułkownikiem w irlandzkiej jednostce — ciągnął — stale przenoszono go to tu, to tam. Dlatego jestem trochę niedouczony, to znaczy jeśli chodzi o książki. Ale w krajach tropikalnych radziłem sobie nie najgorzej.

— Czy pan także jest wojskowym? — spytałem.

— Nie. Nie udało mi się dostać do wojska. Bo mam pecha. Każdy egzamin oblewam. A przecież po pięć razy próbowałem zdawać niektóre przedmioty... Nie miałem szczęścia. Ale co mi tam!... Co minęło, to minęło! My Irlandczycy jesteśmy ludźmi przyszłości. Nie zostałem żołnierzem. Trudno. Nie każdy musi być żołnierzem. Dla własnej przyjemności wędrowałem po Imperium. Czy pan słyszał o wschodnioafrykańskiej ekspedycji Uwinda?

— Tak. Coś mi świta — odrzekłem, żeby nie narażać na szwank swego autorytetu.

— Brałem w niej udział... Wspinaliśmy się do dziewięciu tysięcy stóp wysokości. To dopiero była wspinaczka. Strome zbocze górskie jak ze szkła. Człowiek wspinał się trzy kroki w górę i ześlizgiwał pięć z powrotem. I tak ślizgaliśmy się przez dwa dni i ani rusz... To ja do pułkownika:

— Panie pułkowniku, albo się jest rodem z Connemary, albo nie jest się rodem z Connemary. Bo ja pochodzę stamtąd — wyjaśnił mój rozmówca z głębokim szacunkiem i prawił dalej:

— No to co — powiada pułkownik. (Był to nieodrodny Anglik, to znaczy głupi jak but). — I tam zdarzają się ludzie, co mają dobrze w głowie.

— Well — pomyślałem — ja ci pokażę, kto ma dobrze w głowie. Złapałem naszego pułkowego kota i przymocowałem mu na grzbiecie cieńszą linę do wspinaczki, a ogon ścisnąłem pincetką lekarską. Murzynów ustawiłem rzędem pod śliskim zboczem. Kot jak strzelił pobiegł w górę... Co to dla kota! One są cholernie zwinne.

Na szczycie zbocza stało drzewo. Kot jednym susem znalazł się na drzewie i tam zaczął się kręcić pomiędzy konarami. Potem stanął jak wryty, bo lina zaczepiła się i poplątała w

konarach. Zacząłem szarpać za linę i widzę, że mocno jest zaczepiona o drzewo. No to — jak to ja! Spokojnie, jakby nigdy nic, wspinam się po linie, zdejmuję pincetkę z ogona kota, bo po co niepotrzebnie męczyć stworzenie. A potem kolejno podciągnąłem całą ekspedycję.

Patrzyłem na tego Münchhausena i podawałem w wątpliwość, czy w ogóle był w tropikach. Ale chłopak był sympatyczny. Miał tak dalece cofniętą brodę, że właściwie wcale jej nie było, zaś niezwykle długimi ramionami posługiwał się z małpią sprawnością. Był bliżej praprzrody niż ludzie na ogół bywają.

Gdy wracałem, w samym środku parku British Museum stała już ta zwariowana starsza pani, która co dzień w południe karmiła gołębie. Na jej uduchowionej twarzy błąkał się lubieżny uśmiech, podobnie jak u unoszących się w powietrzu świętobliwych franciszkanów: obsiadły ją gołębie, można by rzec, była przez nie obłożona. Na głowie siedziały trzy, na każdym z ramion po pięć, a na sukience niezliczone ilości. Sądzę, że uważała się za tak litościwą, jak święty Franciszek z Asyżu, i czułem do niej szczerą odrazę.

— Miałbym ochotę ją zastrzelić — oświadczyłem mojemu nowemu przyjacielowi przy wejściu na klatkę schodową.

Zaledwie wypowiedziałem powyższe słowa, młodzieniec zrobił nagle pół obrotu do tyłu i dość okazałym kamykiem — nie spostrzegłem nawet, kiedy go podniósł — celnie trafił w sam czubek nosa kobiety: krzyknęła przeraźliwie, wypuściła z rąk pokarm dla gołębi, które spłoszone wzbiły się w górę, po czym osunęła się na ziemię. Nie przypuszczała nawet, że uderzy w nią grom właśnie w chwili spełniania największego aktu dobroczynności swego życia. Zapewne runęła w niej wiara w moralność rządzących światem.

Maloney spokojnie spacerkiem szedł dalej. To wszystko stało się tak błyskawicznie, że poza mną nikt nie mógł dostrzec sprawcy zamachu.

— Co to było? — spytałem półprzymtomny z wrażenia, gdy byliśmy już w przestronnym hallu w cieniu długobrodyh czterotysiącletnich królów Asyrii.

— Jak to co? Przecież pan powiedział, że zastrzeliłby pan ją najchętniej. Ale pan tylko mówi takie rzeczy, bo nie pochodzi pan z Connemary.

Od tej chwili skłonny byłem w pięćdziesięciu procentach wierzyć w nieprawdopodobne historie, którymi traktował mnie Maloney. Nabrałem przekonania, iż ludzie z Connemary zgoła różnią się od innych.

Czytaliśmy znowu przez czas jakiś.

Siódmy i następni earlowie z XVII wieku mieli usposobienie spokojne, jak gdyby ponury cień wielkiego earla Asapha kładł się hamująco na rodzinę. Dziesiąty earl of Gwynedd opuścił rodowe gniazdo Pendragon i wybudował przepiękny pałac w Llanvygan, który od 1708 roku stanowi miejsce zamieszkania rodziny.

Historie rodzinne stały się pogodniejsze po opuszczeniu ponurego Pendragonu. W XVII wieku, jak każda rodzina arystokratyczna, Pendragonowie także darzyli ojczyznę znakomitymi admirałami, dyplomatami i miłośnikami poezji: jakby tajemniczy cień Asapha rozplynął się nad dachem pałacu. Jednakże niecałkowicie... Nie zapomnijmy o trzynastym earlu of Gwynedd.

Ów earl, mimo nieszczęśliwej cyfry, to najzabawniejsza, najbardziej ludzka postać w historii rodzinnej. To on był jedynym earlem of Gwynedd mającym aktorki za kochanki, jedynym, który lubił zaglądać do kieliszka, jedynym, który miał celne powiedzonka w towarzystwie.

Jedno z tych powiedzonek zanotowano jako szczególnie dowcipne, chociaż dziś trudno doszukać się w nim dowcipu.

Pewnego razu grając właśnie w karty otrzymał wieść, że jego kochanka, była kwiaciarka, uciekła z fechtmistrem i znaczną częścią rodowych kosztowności; powiedział wtedy zaledwie tyle:

„Każdy dobry uczynek zostaje słusznie ukarany”. I grał dalej...

Na chrzcie otrzymał imiona John Bonaventura, gdyż matka jego była rodowitą Włoszką. To dziwne zestawienie: John Bonaventura, skłoniło mnie do rozmyślań. Miałem wrażenie, że kiedyś spotkałem już to imię lub bardzo doń podobne. Lecz nie mogłem sobie uzmysłowić, kiedy i gdzie — dopiero później, przy przedziwnej zresztą okazji, przypomniałem sobie.

Resztę sagi rodzinnej czytałem pobieżnie. Pendragonowie XIX wieku pod nie kończącym się panowaniem królowej Wiktorii rozkwitali w spokoju ciesząc się powszechnym szacunkiem.

Ojca obecnego earla opanowały imperialistyczne dążenia, typowe dla jego współczesnych. Niewiele przebywał w domu, służył w różnych jednostkach kolonialnych, piastował wysoki urząd Imperium Brytyjskiego i jako gubernator w Indiach zmarł w 1908 roku. Przyczyną śmierci była jakaś choroba tropikalna, która czyniła spustoszenie w tamtych stronach.

Skąpe dane o obecnym, osiemnastym earlu, czerpałem z kieszonkowego wydania „Who's who”. Urodził się w 1888 roku, a więc obecnie ma lat 45, pełne jego nazwisko brzmi: Owen Alastair John Pendragon of Llanvygan. Wychowanie odbierał w Harrow, następnie w Oksfordzie, w Magdalen College, służył w rozmaitych formacjach kolonialnych, jest posiadaczem wielu orderów i członkiem licznych klubów. „Who's who” zazwyczaj podaje także arcyważną rzecz dla każdego Anglika: co jest jego ulubioną rozrywką. Przepuszczalnie na to pytanie earl of Gwynedd nie udzielił informacji.

Nadszedł czas obiadu. Oddałem swoje i Maloneya książki i ruszyłem ku wyjściu.

— No, jeszcze jedno doświadczenie — westchnął z ulgą Maloney. — Teraz już wiem, co to biblioteka. Dobre grzęzawisko w każdym razie jest przyjemniejsze! Uff, przez dziesięć lat nie czytałem tyle! Mam pomysł! Gdzie pan je obiad?

— Na Greek Street w chińskiej restauracji.

— Czy pan posłałby mnie do diabła, gdybym zaproponował, żebyśmy razem zjedli obiad? Nie lubię jeść sam.

Szczerze zdumiewała mnie ta, rzadko spotykana nawet na kontynencie, spontaniczna przyjaźń, czy jak to nazwać. Ale w Maloneyu było coś wzruszającego: przypominał szympansa, który wyrwał się z klatki i zagubiony błądzi po ulicach Londynu, pełen dobrej woli w sercu.

— Bardzo mi będzie miło — odrzekłem. — Ale muszę uprzedzić pana, że umówiony jestem z jednym z moich chińskich przyjaciół. Nie wiem, jak daleko sięga wrażliwość pańska na kolory i jak dalece może pan znieść żółtych dżentelmenów.

— Nie mam żadnych zastrzeżeń do żółtych, o ile nie są bezczelni. Dla nas, ludzi z Connemary, człowiek to człowiek. Chyba że są, jak mówiłem, bezczelni. Pewnego razu mój kaffer boy nie wyczyścił jak należy moich butów. Kiedy zwróciłem mu uwagę, odpysknął. Na to ja na siłę wciągnąłem mu na nogi buciki .dziecięce i przez trzy dni musiał w nich spacerować po pustyni Kalahari. A tam upał cholerny! Panie, trzeciego dnia mój kaffer miał o połowę mniejsze nogi niż przedtem. W cyrku można by go pokazywać!

Doszliśmy do restauracji. Doktor Wu-Szej czekał już na mnie. Kiedy spostrzegł, że przyprowadziłem ze sobą nieznanego człowieka, wycofał się za swój najuprzejmiejszy żółty uśmiech i zachował się milcząco. Tym więcej mówił Maloney. Ponownie zdobył moją sympatię tym, że nie tylko lubił chińskie potrawy, ale i znał się na tym. Ja w chińskiej restauracji oddawałem się w ręce Wu-Szeja i zjadałem to, co mi podano, nie wiedząc do końca, czy smaczne drobno krojone coś jest wieprzowiną, czy też trzcina bambusową. Maloney natomiast rozważał skrupulatnie, czy ma zamówić sobie wiosenny filec cielęcy, czy też wołowinę „boeuf à la mode”. Potrafił rozróżnić na siedemnaście smaków przyprawiane jarzyny chop-suey i tym zaskarbił sobie moje najwyższe uznanie.

— Którędy pan idzie, doktorze? — spytał po obiedzie.

Powiedziałem mu kierunek.

— Czy dałby mi pan w zęby, gdybym pana kawałek odprowadził?

Teraz doprawdy zaniemówiłem z wrażenia.

— Panie — zwrócił się do mnie w drodze, cokolwiek zażenowany — chyba pan jest jakimś nikczemnym Niemcem, co?

— Nie. Jestem Węgrem.

— Węgrem?

— Tak.

— A co to jest? Naród? Pan chyba drwi sobie z mojego nieuctwa.

— Skądże znów. Mówię całkiem serio. To naród.

— A gdzie ci Węgrzy mieszkają?

— Na Węgrzech. Między Austrią, Rumunią, Czechosłowacją i Jugosławią.

— Ależ figlarz z pana... Przecież te kraje Szekspir wymyślił!

I wybuchnął gromkim śmiechem.

— No dobrze, więc pan jest Węgrem... To niezły naród. A jakim językiem mówią Węgrzy?

— Po węgiersku,

— Niech pan powie coś po węgiersku.

*En a halál rokona vagyok,
szeretem a tünö szerelmet,
szeretem megcsókolni azt
aki elmegy. **

Recytowałem wiersz Adyego nieco wzruszony. Od lat mówiłem niekiedy zaledwie po kilka słów w ojczystym języku.

— Nie powiem. Ładny język. Ale mnie pan nie oszuka. To było po hindusku i oznacza „Szlachetny przybyszu, niechaj wszyscy bogowie jak najrychlej odbędą tańce w kapciach na twoim grobie!...” Ale co mi tam za różnica!... Nigdy jeszcze nie rozmawiałem z żywym Węgrem — to świetna okazja — pogłębiajmy naszą serdeczną przyjaźń! Niech pan dziś zje ze mną kolację. To nic, że ma mnie pan za idiotę, z czasem przyzwyczai się pan do tego. Nie pan pierwszy!... Nie będzie się pan nudził. Będziemy w trójkę. Przedstawię panu bardzo mądrego człowieka, który teraz wrócił z Oksfordu i który jest bratankiem jakiegoś tam lorda. Zabawny facet. Pięciosylabowe słowa, o których człowiek nawet nie słyszał, wymawia z taką lekkością, jak powiedzmy: chleb.

Po krótkim wahaniu przyjąłem zaproszenie. Lubię zawierać znajomości, a poza tym nie miałem żadnego programu. I szczerze mówiąc, niemałą rolę odgrywało to, że Maloney zaprosił do „Savoyu”, a do tak wykwintnego lokalu nie stać mnie było pójść na własny rachunek... Zacząłem innymi oczami patrzeć na Maloneya. Głupi, bo głupi, ale dżentelmen.

*

Wieczorem spotkaliśmy się w barze „Savoyu”.

Zastałem Maloneya w towarzystwie młodego człowieka. Był to wysoki, szczupły młodzieniec o niezwykle sympatycznej i inteligentnej twarzy. Rysy miał delikatne, nieco kobiece, ale właśnie ta wysportowana kobiecość czyni studentów Oksfordu tak niezwykle interesującymi.

— Pan pozwoli przedstawić sobie honourable'a Osborne'a Pendragona — wskazywał

Ja spokrewniony ze śmiercią,
I kocham miłość gasnącą,
Zawsze bym chętnie całował
W drogę idących.

Endre A dy (1877—1919) „Krewny śmierci”, tłum. Tadeusz Fangrat.

Maloney na swego przyjaciela.

— Pendragon? — zawołałem. — Czy pan jest spokrewniony z earlem of Gwynedd?

— Mam zaszczyt zwać earla stryjem — odrzekł Osborne Pendragon jakimś dziwnie powściągliwym stylizowanym głosem. — Jaki cocktail pan sobie życzy?

Co mi teraz po cocktailu!

— Może pan wakacje letnie spędza w Llanvygan?

— Zgadł pan... Pojutrze przeniosę swoją „siedzibę” do Walii.

— Ja także wkrótce tam pojedę.

— Czyżby wykapać się w Llandudno? Ja osobiście wolę łaźienkę. Tam mniej publiczności i wytworniejsza.

— Nie...

— A może zamierza pan wspinać się na Snowdon?

— Nie.

— To gdzie jeszcze można jechać w północnej Walii?

— Na przykład do Llanvygan.

— Słucham?

— Earl of Gwynedd łaskawie zaprosił mnie do pałacu w Llanvygan.

Maloney wydał z siebie stary irlandzki okrzyk bojowy.

— Człowieku, człowieku! — wrzeszczał i omal nie wytrwał mi ręki.

— Co się stało?

— To przecież możemy jechać razem. Mnie zaprosił Osborne. To ci dopiero traf! Coś strzeliło mi do głowy i poszedłem do czytelni British Museum. Człowiek miewa nieraz takie olśnienie. Spośród pięciuset potworów na sali akurat tego dżentelmena zacząłem czepiać się jak rzep psiego ogona. I nagle okazuje się, że wkrótce będziemy mieszkać razem. To wspa-
niałe! Musimy to oblać!

Istotnie był to dziwny przypadek. Dreszcz mnie przeszedł... Jak gdyby moc mistycznej atmosfery pałacu w Llanvygan dosięgła mnie aż tu: poczułem powiew fatum i znowu ogarnęła mnie ta wiecznie prześladowająca trwoga, że coś zaczyna się dziać wokół mnie i nade mną — Parki przędą już nić mojego losu.

Wnet jednak pocieszyłem się. Ostatecznie ani ten głupkowaty Maloney, ani zmanierowany arystokrata bynajmniej nie nosili piętna fatum na czole. W naszej cynicznej epoce w grę może wchodzić najwyżej jakieś humorystyczne fatum.

Młody Pendragon pozostał niewzruszony.

— Obecnie nawet przypadki uległy degeneracji — orzekł podnosząc głos na końcu zdania. — W czasach Lutra zdarzył się przypadek, który polegał na tym, że grom uderzył tuż przed jego nosem, a nie trafił go w głowę. To pociągnęło za sobą skutki wielkiej wagi. Reformację. A dziś? Gdy dwóch dżentelmenów razem ma jechać na wakacje, to już się mówi o niezwykłym przypadku. Gdzie tu Ananke, czyli fatum, jak ma się rozwijać w człowieku najwyższa cnota — amor fati, o czym, o ile się nie mylę, Nietzsche wspomina.

— Ten Osborne to diabelnie mądry facet — powiedział z uznaniem Maloney.

— Tak, ale tylko dlatego, że to jest źle widziane w Anglii. Gdybym się urodził we Francji, byłbym głupcem — na znak protestu. Czy panowie nie sądzą, że czas już spożyć nasz skromny dinner?

Kolacja była wyśmienita. Przez cały czas mówił prawie wyłącznie Maloney.

Przygody jego po każdej szklance burgunda nabierały rumieńca.

Na początku opowiadał o normalnym polowaniu na tygrysy, lecz potem podpalił całą wioskę na Borneo, by udowodnić, iż ludzie rodem z Connemary potrafią zapalić fajkę choćby na największym wietrze. W końcu zawiązał ogon królewskiej kobry w węzeł, podczas gdy jego wierny i oswojony Mongus, William, trzymał węża za łeb.

— Zazdroszczę naszemu dzielnemu przyjacielowi — rzekł Osborne. — Jeśli tylko jedna czwarta z tego, co słyszeliśmy podczas kolacji, odpowiada prawdzie, to życie jego bez wątpienia można uważać za jedną wielką przygodę. Takie tygrysiątko albo królewska kobra nawet we mnie potrafi wzbudzić coś w rodzaju „thrill”, jakiś przyjemny dreszczyk. Jedynym moim marzeniem jest mieszkać w koloniach, gdzie diabeł mówi dobranoc, a ulubioną potrawę tubylców startowi chrupiący misjonarz.

— A dlaczego nie zisici pan swoich marzeń?

— Niestety, odkąd mój świętej pamięci dziadek zmarł na skutek jakiejś dziwnej choroby kolonialnej, stryj doszedł do przekonania, że tropikalne powietrze nam nie służy. Tak więc będę zmuszony żywot swój spędzić w Walii, w naszych zelektryfikowanych orlich gniazdach, w których już za czasów nieboszczki królowej Wiktorii wyteńpiono wszystkie poczciwe duchy domowe. Panie, ostatniego ducha walijskiego zaatakowano gazami łzawiącymi: duch biednego starego admirała szlochał jak dziecko! Gdyby nie ja, to w Walii śladu nie zostałoby po zabobonach. Ale ja mam olbrzymi program na lato. Mam nadzieję, że panowie będą mi służyć pomocą. W Oksfordzie odnosiłem niebywałe sukcesy swoimi płytami z głosami duchów i gramofonem. Potrafiłem odtworzyć skomlenie, brzęk łańcuchów i długie stare angielskie modły w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Ale to wszystko igraszki. Prawdziwa przygoda wyginęła. Nie cierpiała zapachu benzyny.

— Pan ma teraz osiemnaście lat. Czy tak? — zapytałem.

— Tak.

— Na kontynencie młodzi ludzie w pańskim wieku całkiem odmiennie rozumieją pojęcie przygody.

— Nie wiem, co się kryje za tymi gładkimi słowami.

— Mam na myśli kobiety.

— Ja nie myślę o kobietach — odparł rumieniąc się nieco. — Z daleka bardzo mi się podobają, ale gdy podchodzą bliżej, czuję do nich lekką odrazę. Mam wrażenie, że gdybym je objął, toby mi się rozkruszyły w rękach. Pan jest z kontynentu... czy panu się to nie przydarzyło?

— Nie. Nie pamiętam żadnej kobiety, która by mi się rozkruszyła w rękach. A panu to się przydarzyło może?

— Mówiąc szczerze, nie zaryzykowałem nawet.

— Pan pozwoli mi na uwagę: moim zdaniem pan izoluje się od życia, dlatego wydaje się ono panu nieciekawe. Na kontynencie bliższy kontakt z kobietami nazywa się właściwym życiem.

— Wobec tego muszę zacytować zdanie Villiersa de L'Isle-Adam: „A co się tyczy życia, to nasi słudzy wykonują to za nas”.

Pod wpływem morza burgunda w optymistycznym nastroju opuściłem „Savoy”. Nieprawda, że Londyn jest nudnym miastem — pomyślałem i pogratulowałem sobie, że poznałem tak wspaniałych chłopaków. Właściwie głupio z mojej strony, że dnie spędzam wśród książek. Trzeba korzystać z życia. Trzeba żyć. Na sposób kontynentalny... Kobieta... W Londynie też nie do pogardzenia byłaby co jakiś czas.

Na propozycję Maloneya udaliśmy się do night-clubu, gdzie wolno było pić przez całą noc. Korzystaliśmy ze swoich praw. Piliśmy whisky po whisky z coraz mniejszą ilością wody sodowej. Osborne siedział dość sztywno, przypuszczalnie atmosfera podrzędnego lokalu nie przypadła mu do gustu, ale był zbyt wyniosły, by okazać swoją wyniosłość...

Maloney opowiadał długą historię, jak przywiązał malajską kobietę do drzewa, ale w decydującym momencie zjawiło się jej dziesięciu stryjów, wymachując krysami.

Nie doczekaliśmy się zakończenia, gdyż wtem przy sąsiednim stoliku Maloney ujrzał jakąś panią, wrzasnął halo i pozostawił nas bez słowa. Ze smutkiem przyglądałem się, jak mile gawędził z tą panią, która, nawiasem mówiąc, była bardzo powabna.

— Ten Maloney to dziwny chłopak. Nie uważa pan? — podjął po chwili Osborne. — Gdybym historię, którą opowiadał, czytał w książce, cisnąłbym ją do kąta.

— A czy według pana można mu wierzyć?

— Co najdziwniejsze, sędzę, że tak. Na moich oczach dokonywał nieraz czynów zupełnie nieobliczalnych. Z pomocą zwykłej logiki trudno by to nawet zrozumieć. Zresztą... Ten cały dzisiejszy wieczór wydaje mi się dość zagadkowy... Ale nie wypada mi o tym mówić.

— Proszę, niech pan mówi. My ludzie z kontynentu jesteśmy tak niedyskretni, że wobec nas Anglik także może sobie pozwolić na trochę niedyskrecji.

— Well. Wczoraj Maloney miał zaledwie trzy i pół pensa w kieszeni. Wydaje mi się, że od tygodnia nie miał więcej przy duszy. A dziś, proszę — gości nas szczodrą ręką. Bez przesady skłonny jestem uwierzyć, że wczoraj w nocy ukatrupił kogoś w ciemnej ulicy. Bez złej woli, ot tak sobie. Może chciał tylko udowodnić, że ludzie z Connemary potrafią najdoskonalej na świecie zakatrupić człowieka. Potem zabrał mu pieniądze, aby połączyć przyjemne z pożytecznym.

Maloney powrócił.

— Czy panowie pozwolą zaprosić do stołu moją dobrą znajomą, miss Pat O'Brien? Ona jest moją rodaczką, to chyba wystarczy. Obecnie śpiewa w chórze Alhambra. To diabelnie dobra artystka.

— Bardzo mi będzie przyjemnie — rzekłem bez namysłu.

Twarz Osborne'a, o ile to możliwe, przybrała jeszcze bardziej nieprzystępny wyraz.

— Well, hm... Ja bardzo szanuję pańskich rodaków, sam jestem Celtem... a więc... właściwie pokrewnym narodem... Ale dzisiejszy wieczór mieliśmy ograniczyć do męskiego towarzystwa.

— Mój drogi — odparł Maloney — pan jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie i słowo daję, że wzruszenia oczy zachodzą mi łzami, ilekroć pomyślę o tym, jakiego mam przyjaciela. Mądrość to rzecz piękna, ale do diabła, nie zaszkodziłoby panu, gdyby co dwa miesiące spędził jakieś dziesięć minut w towarzystwie kobiet. Gwarantuję, że spotkałaby pana niejedna niespodzianka. Prawda, doktorze?

— Co do słowa.

— No, jeśli panowie sobie życzą... — rzekł Osborne z gestem rezygnacji.

Maloney przyprowadził dziewczynę.

— Życzę szczęścia i wszystkiego najlepszego z okazji Nowego Roku — wyrecytowała dziewczyna i usiadła z uśmiechem zadowolenia z dowcipnego wstępu.

Było lato, skwitowałem więc dowcip uśmiechem uznania. Osborne nie zadał sobie tyle fatygi.

— O, czy pan zawsze taki ponury? Może by się pan trochę uśmiechnął? — zwróciła się do niego dziewczyna i podnosząc szklanę, zaśpiewała piosenkę — na temat.

— Postaram się zrobić, co w mojej mocy — oświadczył uroczyście Osborne.

Co za głupiec z tego Osborne'a, pomyślałem. Dziewczyna była wprost urocza; twarz jak brzoskwinia, uosobienie niewinności — a więc uroda, która stanowi największy skarb wysp brytyjskich obok charakteru mężczyzn.

Nie ulega wątpliwości, że ożywiło mnie jej towarzystwo. Moich wyszukanych komplementów słuchała z głębokim przejęciem: Anglicy pod tym względem nie rozpieszczają kobiet. My, jeśli kobieta choć trochę nam się podoba, od razu oświadczamy się... śmiertelnie zakochany Anglik zaś oświadcza: I rather like you. Lubię panią.

— Zapraszam panią na kontynent — zachłystywałem się, głaszcząc jej obnażone ramię — pani powinna żyć w Fontainebleau i przechadzać się trzy razy dziennie w sukni z długim trenem po schodach w kształcie podkowy z czasów Franciszka I. Trzystuletnie karpie w stawach przeistoczą się w ciepłokrwiste zwierzęta, gdy ujrzą panią. Miss Francja urodzi bliźniaki z zawiści.

— Pan jest przemiłym chłopakiem. I ma pan bardzo ciekawy akcent. Szkoda tylko, że nic z tego nie rozumiem, co pan mówi.

Otrzymałem cios w samo serce, gdyż bardzo jestem dumny z mojej angielszczyzny. Ale co mi tam... taka dziewczuszka z Connemary nie zna się na rzeczy... Posługuje się jakimś straszliwym narzeczem irlandzkim, szczerze mówiąc, ja też niewiele rozumiąłem, co mówiła. Zrezygnowałem, niechaj bawi się z Osborne'em. Maloney i ja na serio zabraliśmy się do whisky.

Maloney był wstawiony.

— Doktorze, pan jest diabelnie zabawny facet. Znajomość z panem to główna wygrana na loterii... Ale ten Osborne... Wiele dałbym, gdyby Pat zawróciła mu głowę. Ci Anglicy to nie ludzie. My Irlandczycy z Connemary... w jego wieku mamy już za sobą trzy choroby... pan rozumie... Wie pan co... teraz, kiedy jesteśmy już tak zaprzyjaźnieni z sobą... Może pan powie, po co pan właściwie jedzie do Llanvygan?

— Earl of Gwynedd zaprosił mnie, abym mógł przystąpić do studiów w jego bibliotece.

— Studia? Jakie studia? Przecież pan już jest doktorem. A może ma pan jeszcze jakiś egzamin? Po co to panu, i tak pan jest diabelnie mądry.

— Nie, nie mam żadnego egzaminu... Interesują mnie pewne sprawy...

— Które tam pan będzie opracowywał?

— Tak.

— A co pan będzie tam studiował?

— Tym razem historię różokrzyżowców, a szczególnie Roberta Fludda.

— A co to znaczy różokrzyżowcy?

— Różokrzyżowcy? Hm... Czy słyszał pan o wolnomularzach?

— Tak, to takie typki, co się zbierają potajemnie i nie wiadomo, co robią.

— Właśnie. Różokrzyżowcy tym się różnią od wolnomularzy, że zbierają się jeszcze bardziej potajemnie i jeszcze mniej wiadomo, co robią.

— No, no, pan na pewno wie, po co się zbierali i co robili.

— Dobrze, powiem panu na ucho pod warunkiem, że nikomu pan nie powtórzy, co oni robili.

— Spokojna głowa, u mnie jak w grobie.

— Robili złoto.

— To się panu udało! Od razu wiedziałem, że to żart. A co jeszcze robili?

— Może przechylił się pan trochę bliżej, to panu powiem: homunkulusa.

— Co?

— Człowieka.

Maloney wybuchnął śmiechem i wałnął mnie w plecy. — Ale świntuch z pana...

— Niech się pan nie wygłupia, nie to miałem na myśli. W sztuczny sposób chcieli tworzyć człowieka.

— To znaczy, że to byli impotenci.

Obaj mieliśmy już w czubie, toteż pomysł ten rozbawił nas na dobre. Tak się śmiałem, że wywróciłem swoją szklankę.

Maloney zamówił następne whisky.

— Doktorze, niech mi pan powie, skąd pan zna earla of Gwynedd? To cholernie nieprzyjemny człowiek.

— Nie zauważyłem. Poznałem go u lady Malmsbury-Croft i zaraz zaprosił mnie do siebie.

— A czym go pan tak szybko zjednał?

— Alchemią.

Ta cała rozmowa zaczęła mi się jakoś nie podobać. Za bardzo przypominała rozmowy budapeszteńskie. Zbyt dawno mieszkałem już w Anglii i odwykłem od tego, aby mnie wypy-

tywano. Tak. Wypytywać to właściwe słowo.

Nagle wzbudziło się we mnie podejrzenie. Alkohol potęguje w człowieku niektóre cechy charakteru. We mnie spotęgował wrodzoną podejrzliwość. Stop! A nuż Maloney, wykorzystując moje podchmielenie, zechce wyciągnąć ze mnie jakąś tajemnicę? Bzdura... Jaka ja mogę mieć tajemnicę? Pojęcia nie mam, ale niewątpliwie coś musi się za tym kryć, skoro owemu nieznanemu, który ostrzegł mnie przez telefon, także chodziło o jakieś tajemnice...

Tylko że sprawę można odwrócić. Maloney także nie jest całkiem trzeźwy. Pił o wiele więcej niż ja. Może uda mi się wyciągnąć z niego tajemnicę, którą on chce wyciągnąć ze mnie.

Niedbałym ruchem ręki znowu wywróciłem szklankę. Zaimprovizowałem pijacki śmiech i bełkocąc powiedziałem :

— Te szklanki... jak będę dorosły, odkryję szklanki niewywracalne... i tapczan, który na zawołanie wyczaruje piękną kobietę.

Obserwowałem Maloneya. Patrzył na mnie z niekłamaną aprobatą.

— To diabelnie dobry pomysł i moje uznanie, wszechmożna głowo szczepu. Kłopot tylko w tym, że pan buja.

— Wybacz pan...

— Ta historia z różokrzyżowcami to bujda.

— Za wiele pan sobie pozwala!...

— Doskonale wiem, że pan jest lekarzem!

— Maloney! — zawołałem. — Pan jest geniuszem! W jaki sposób pan odgadł?

— Wystarczy spojrzeć na pana. A zresztą pan sam mówił, że jest pan doktorem. No widzi pan... Niech pan nawet już nie próbuje zaprzeczyć, że świetnie się pan zna na chorobach tropikalnych.

— A więc... tak. Szczególnie przyczyny śpiączki mnie interesują, no i muchy tse-tse.

— No, no... bardziej pasjonuje pana ta choroba, co ma długą nazwę i na którą umarł ojciec earla of Gwynedd i William Roscoe.

— Roscoe?

— Tak, Roscoe, ten miliarder. Na próżno udaje pan, że nigdy nie słyszał tego nazwiska. Pomogę panu przypomnieć je sobie.

— Będę niezmiernie wdzięczny...

— Więc chodzi o Roscoe. Doradcę w sprawach finansowych starego earla, kiedy pełnił on funkcję generalnego gubernatora w Burmie.

— Pan ma na myśli starego Roscoe? Tak, tak, oczywiście .. chwilowo pamięć mnie jakoś zawiadła, jak zwykle po alkoholu... To ten Roscoe, który później... Tak... który później...

— ...później poślubił tę lady, która była narzeczoną obecnego earla of Gwynedd.

— Słusznie, teraz już wszystko sobie przypominałem. Ale napijmy się... Potem biedak zmarł na tę samą chorobę, co i stary earl. To niezwykła historia.

— Tak, cholernie dziwne, bo to była tropikalna choroba, a stary Roscoe od lat mieszkał już w Anglii...

— A więc dobrze, nie będę owijać w bawełnę... właśnie dlatego jadę do Llanvygan. Ale na miły Bóg, proszę to zachować dla siebie... tylko może zechce mi pan powiedzieć, co earl of Gwynedd ma do śmierci starego Roscoe?

— Nie dziwię się, że panu tego nie powiedzieli. Ale że pan był szczery ze mną — to szczerze za szczerze. Tylko niech pan się do mnie bliżej przysunie, żeby Osborne nie usłyszał.

— Słucham pana.

— Roscoe sporządził testament, w którym zapisał cały majątek na rzecz swego dobroczyńcy earla of Gwynedd lub jego potomków, jeśli Roscoe nie umrze śmiercią naturalną.

— Maloney, to istny absurd! W Anglii tego rodzaju testament?... Nie, to nie do pomy-

ślenia!

— To nie absurd, a prawda. Stary Roscoe ubzdurał sobie, że żona chce go otruć, dlatego testament sporządził potajemnie.

— A dlaczego Pendragonowie mieli odziedziczyć majątek?

— Bo stary Roscoe zawdzięczał wszystko staremu earlowi, a poza tym odbił w swoim czasie narzeczoną obecnemu earlowi, przez co całe życie gryzło go sumienie i w ten sposób chciał naprawić wyrządzoną mu krzywdę.

— Rozumiem... to dlatego earla interesują tropikalne choroby!... Sądzi, że choroba starego Roscoe, względnie jego śmierć, była nienaturalna, na skutek czego on jest prawowitym spadkobiercą.

— No tak.

Doszedłem do sedna sprawy. Wrodzony głęboki pociąg do spraw niezwykłych postawił mnie wobec jakiegoś ogromu tajemniczego zadania, którego rozwiązanie czeka może na mnie. I szczerze żałowałem, że o wiele bardziej znam się na innych rzeczach niż na chorobach tropikalnych. Nie miałem wątpliwości, że to wszystko ma ścisły związek z tajemniczym ostrzeżeniem telefonicznym. Coś .się szykuje. Parki snują już nic...

Przez ten czas rozmowa pomiędzy Pat i Osborne'em całkiem ustała. Siedzieli sztywno i milczeli. Twarz dziewczyny wyrażała niezadowolenie, chłopak nudził się najwyraźniej. Wstałem i usiadłem obok Pat. Maloney wszczął rozmowę z Osborne'em.

— Czymże zabawiał panią ten honourable?

— Co mi z tego, czy honourable, czy nie? Jedno jest pewne, że to dziwak. Gwiżdżę na tytuły, ja lubię ludzi uprzejmych.

— Czyżby był nieuprzejmy?

— Jeszcze jak! Przez cały czas bredził o jakimś Niemcu Dantem, który wszystkich posłał do piekła. Nawet moją koleżankę Lais, o której ten Dante napisał, że tarzała się... nie wypada mi powiedzieć, w czym. Żeby dziennikarz pisał takie rzeczy o porządnej dziewczynie! Sam pan widzi, jakich przyjaciół ma ten młody człowiek.

— Uwielbiam porządne dziewczęta — oświadczyłem ujmując ją czule za rękę — pani jest porządną dziewczyną, ja jestem porządnym chłopakiem, trzymajmy sztamę na tym okrutnym świecie.

— Ja mam nosa, od razu wiedziałam, że pan jest sercowy — odparła Pat.

Na takie dictum przysunąłem się bliżej i objąłem ją w pól.

— Odgadła pani, ja mam serce — do rany przyłoż — powiedziałem z głębokim uczuciem.

— Tak. Dobrze panu z oczu patrzy. Pan musi być bardzo miły przy bliższym kontakcie.

Powyższe słowa uznałem za zaproszenie do pocałowania jej w ramię. Co też uczyniłem.

— A jaka pani może być z bliska? Trzeba by sprawdzić...

Dalszy ciąg zalotów kontynuowałem czynami, a nie słowami. O, upajająco elastyczne ciała angielskich kobiet! Jedyne poezja byłaby w stanie wyrazić, co to za błogie uczucie głaskać angielską dziewczynę, kiedy minie północ!...

Ale ja mam niedobry charakter: pozornie pochłonięty erotycznym uniesieniem, jednym uchem wyławiałem strzępy rozmowy Maloneya z Osborne'em.

A to, co zdołałem wyłowić, było wręcz szokujące. Wydawało mi się, że Maloney relacjonował, iż niemal stanąłem na głowie, aby dostać się do Llanvygan. Że dlatego tylko przyjąłem zaproszenie lady Malmsbury-Croft, bo wiedziałem, że spotkam u niej earla.

Ale ponieważ Pat przez cały czas paplała, nie mogłem skupić uwagi. Być może, że mówili o czymś zupełnie innym, a ja uległem halucynacji, czego nie wykluczam, uwzględniając mój wrażliwy system nerwowy.

Uwolniłem z moich objęć Pat, która ze zdumieniem patrzyła na mnie: przecież wszystko rozwijało się tak prawidłowo...

Po jakiego licha opowiadał Maloney to wierutne kłamstwo? Czy tylko dlatego, że nie potrafi mówić prawdy?... że przez głupotę przekreśla, co się do niego mówi? A może... może za tym wszystkim także kryje się jakiś zamiar, może to też związane jest w jakiś sposób ze spiskiem, którego istnienie ze zgrozą wyczuwam intuicyjnie?

Osborne obojętnie słuchał Maloneya, po czym wstał.

— Sorry, czas już na mnie. Do widzenia w Llanvygan.

I bez podawania ręki znikł, niczym kot z Cheshire w baśni angielskiej. Może nie mógł już wytrzymać siedzenia przy stole w towarzystwie kobiety?

Maloney przysiadł się do jakiegoś rozbawionego towarzystwa przy sąsiednim stoliku, a ja zostałem sam na sam z Pat. Maloney Maloneyem — pomyślałem, ale ja tę dziewczynę zabiorę do siebie. Ostatecznie filolog też jest tylko człowiekiem. W wyobraźni widziałem, jak jej cudne alabastrowe ciało przeciąga się... przez godzinę będę tylko patrzeć i upajać się jej widokiem.

— Czy lubi pani muzykę?

— Do szaleństwa. Gdyby pan wiedział, jak ja tańczę!

— Mam propozycję. Chodźmy stąd. Napije się pani u mnie herbaty, nastawię patefon i będziemy tańczyć.

— Ależ. proszę pana, przecież widzę pana pierwszy raz!

— Nie szkodzi, możemy to nadrobić.

— Gdyby pan był Anglikiem, dostałby pan po buzi.

— Ale że jestem cudzoziemcem, pani mnie ucałuje.

Sprawa dotąd rozwijała się przepisowo. Trzeba by tylko wstać i wyjść stąd, a spędziłbym piękną noc w Londynie, gdzie nawet Casanova wiódł dziewiczy żywot przez całe sześć tygodni. Ale fatum sprawiło, że w tym momencie spojrzałem na Maloneya przy sąsiednim stole.

Nie wiem, czy to była imaginacja, czy rzeczywistość. Nie zawsze potrafię ocenić faktyczny stan rzeczy. Ale wydało mi się, że Maloney daje jakieś znaki dziewczynie.

I wówczas opanowała mnie silniej niż kiedykolwiek podejrzliwość. Strach zbliżony do instynktownego strachu pracźłowika. Dziewczyna przypuszczalnie należy do tej samej szajki. Z góry ukartowano to spotkanie z nią. A więc jeśli teraz zabiorę ją do siebie, Bóg wie, co się stanie...

Ale co może się stać? Czego się właściwie boję? .Tak można się bać tak pięknej kruchej istoty... Nie mogłem sobie tego uzmysłowić. Zamorduje mnie i ograbi? Co do Maloneya... Po nim można się wszystkiego spodziewać... Ale mniejsza z tym...

Miotając się w sieci kompleksów, wyobraziłem sobie, że jeżeli teraz pozwolę się schwytać w pułapkę, to nieuchronnie wpłacę się w ciemną sieć misterium, która otacza Llanvygan: pogróżka telefoniczna, nocny jeździec, tajemnicza śmierć Williama Roscoe — to wszystko wiązało się i stanowiło straszliwą całość. Ten strach był silniejszy ode mnie... Strach zniewalający...

— Darling — zwróciłem się do Pat — wybac, ale dziś niestety nie... Przypomniałem sobie, że mój brat stryjeczny przyjechał i będę musiał go przenocować. Ale co ma wisieć, nie utonie. Przyniesiesz, że spotkamy się wkrótce? Prawda?....

Pat spojrzała na mnie z nieukrywaną pogardą.

Pożegnałem się z Maloneyem uzgadniając spotkanie na następny dzień i pogrążony w myślach wróciłem do siebie.

Nazajutrz oczywiście nie mogłem sobie darować, że tak się właśnie stało. Przeklinałem swój nieszczęsny nieufny charakter. Pod wpływem alkoholu inni nabierają wigoru, stają się zuchwalcami, a we mnie alkohol budzi czarne myśli. Ale cóż!... stało się, już się nie odstanie. Nigdy więcej nie zobaczyłem Pat.

W następnych dniach kontynuowałem przysposobienie swego umysłu do przygody walijskiej. Ślęczałem nad foliarami zawierającymi prace Fludda. Z trudem zrozumiałem łaciński tekst gęsto naszpikowany kabalistycznymi hebrajskimi wyrazami. Ale wydaje mi się, że gdybym czytał po węgiersku, też niewiele więcej zrozumiałbym z tego. Sporządziłem notatki mając nadzieję, że earl of Gwynedd wyjaśni wszelkie moje wątpliwości.

Studiując dzieło Fludda „Medicina Catholica”. ze zdumieniem przyjąłem do wiadomości, że każdą chorobę powodują meteory, wiatry, położenie geograficzne, no i archanioły, które kierują wiatrami. Następnie, że z moczu człowieka można najdokładniej odczytać jego charakter na podstawie wyodrębnionej nauki uromantii.

Przeczytałem biografię Fludda, napisaną przez dziekana Cravena, ponownie przeczytałem znakomitą książkę Denisa Saurata o Miltonie i o materializmie chrześcijańskim, w której autor cały rozdział poświęca Fluddowi.

Zdaniem Cravena, Fludd, Milton i ich intelektualne otoczenie nie wierzyli w duszę niezależną od ciała. A ponieważ byli wierzącymi chrześcijanami, ani przez chwilę nie wątpili o nieśmiertelności, siłą rzeczy zatem należało wyciągać wnioski, że ciało jest nieśmiertelne.

Przypomniało mi się znane credo rodu Pendragonów: „Wierzę w zmartwychwstanie ciała”.

Cóż by to mogło znaczyć dla dawnych pokoleń, które pojmowały wszystko dosłownie — zastanawiałem się w duchu z jakimś niewytłumaczalnym zabobonnym lękiem. Kto wie, może myśleli, że kiedyś, po śmierci, wyjdą ze swoich grobów? Według legendy nocny jeździec opuścił swój grobowiec, by wymierzyć sprawiedliwość mordercom lekarza...

Maloney odwołał spotkanie, podczas którego mieliśmy ustalić dokładnie szczegóły wspólnego wyjazdu. Sądziłem już, że będę musiał sam pojechać, jednakże zjawił się ostatniego dnia.

— Halo, doktorze! Jedziemy do Walii?

— Jeśli chodzi o mnie, to z całą pewnością — a pan?

— Wahałem się przez kilka dni, bo namawiano mnie do wyjazdu na Kubę, gdzie ma się odbyć jakaś atrakcyjna walka kogutów, coś w rodzaju Międzynarodowej Olimpiady Koguciej. Ale potem rozmyśliłem się, nie chciałem sprawić zawodu Osborne'owi, a i pan nie może sam pętać się w swoich okularach po tej dzikiej Anglii. Jeszcze by się pan zabłąkał i wylądował w Szkocji, od czego niech pana Bóg zachowa...

— Wobec tego jutro w południe wyjeżdżamy o pierwszej piętnaście.

— Nie, właśnie o tym chciałem z panem mówić. Pewna moja miła znajoma, mrs St. Claire, zaproponowała, że nas zawiezie samochodem do Corwen, gdzie Osborne będzie czekał na nas ze swoim wozem. Odpowiada to panu?

Atak nieufności minął przez ten czas. Miałem nawet nieczyste sumienie wobec Maloneya, toteż z radością przyjąłem propozycję.

— Bardzo dziękuję mrs St. Claire za jej uprzejmość. Kim ta pani właściwie jest? Czy nie będzie dla niej uciążliwe jechać z zupełnie obcym człowiekiem?

— Wręcz odwrotnie. Opowiedziałem jej o panu i niech pan sobie wyobrazi, potwierdziła, że Węgrzy naprawdę istnieją na świecie i że ona bardzo lubi Węgrów, bo ich historia podobna jest do historii naszego narodu — do historii Irlandczyków. Pan mi nigdy nie wspominał o tym. Pani St. Claire koniecznie chce poznać pana, aby porozmawiać o Węgrzech. Wybiera się tam w sierpniu.

Wszystko to brzmiało dość przekonująco, chociaż w łgarstwie Maloneya zawsze przeważała fantazja. Uzgodniliśmy spotkanie na następny dzień w wykwintnym hotelu „Grosvenor House”, gdzie owa pani mieszkała.

Gdy nazajutrz udałem się tam, Maloney czekał już na mnie w hallu.

— Wczoraj wysłałem depeszę do Osborne'a, że przyjeżdżamy i żeby na nas czekał. Już oddepeszował, że all right. Moja znajoma zaraz tu będzie.

Istotnie, po kilku zaledwie minutach ukazała się wysoka, smukła, elegancka, uśmiechnięta kobieta. Gdy znalazła się na tyle blisko nas, by moje krótkowzroczne oczy mogły podziwiać uderzające piękno jej twarzy i nieskazitelną figurę, wydała mi się jakoś dziwnie znajoma. Kiedy mieliśmy już za sobą „how do you do”, poznałem ją i struchlałem.

Przed trzema laty spędziłem lato w Fontainebleau wraz z moim przyjacielem Cristofolim, który był archeologiem i poetą. Na krótko przedtem umarła moja biedna ciotka Anna i otrzymałem w spadku sporą sumkę. Mieszkaliśmy w niebywale luksusowym hotelu „De l'Angleterre et de la France” na wprost parku.

Pewnego dnia Cristofoli, nawiasem mówiąc, nad wyraz wrażliwy, był jakoś niezwykle ożywiony. Oświadczył, że jest zakochany. Wybranka jego serca zjawiała się wkrótce. Zwróciłem na nią uwagę już poprzedniego dnia przy posiłkach. Siedziała zawsze samotnie. Była przepiękna. Nie banalną urodą amantki filmowej, lecz w swoistym stylu.

Cristofoli był przystojnym chłopakiem o nieprzeciętnie przedsiębiorczym usposobieniu. Wiedział już, że piękna dama nazywa się Eileen St. Claire, jest obywatelką angielską i samochodem przyjechała z Paryża do Fontainebleau. Nikt nic więcej o niej nie wiedział... Zjawiała się raczej tylko na posiłki, w ciągu dnia jeździła samotnie swoim „hispano” po lesie.

Cristofoli recytując Petrarę oczekiwał wieczoru, kiedy może szczęśliwy los pozwoli mu zapoznać się z piękną lady na dansingu. Eileen St. Claire nie zjawiała się jednak;. Cristofoli nie zmrużył oka przez całą noc i mnie także nie dał spać. Nic więc dziwnego, że nie czułem do nieznajomej zbyt głębokiej sympatii.

Następne dni okazały się bardziej emocjonujące niż polowania. Cristofoli miał niewyczerpany zapas inwencji i nie dał zbić się z tropu. Jako poeta czuł się zwolniony z towarzyskich konwenansów. Nie zdarzyło się, by samochód z Eileen St. Claire zajechał i nie Cristofoli otworzył drzwiczki, i nie on pomógł jej przy wysiadaniu. Eileen St. Claire, skinąwszy głową wyniośle, szła dalej szybko i tak oziębłe, że Cristofoli nie zdołał nawet zacząć recytować prozy poetyckiej, którą nosił w sobie już od kilku dni.

Wszelkie nadzieje pokładał w 14 Lipca, święcie narodowym Francuzów, zespalającym serca zakochanych. Tłumy tańczyły wszędzie na ulicach, wszyscy wszystkich znali, pili i bawili się ze sobą bez wyboru. Obawiałem się, że Eileen St. Claire nie poniży się do plebsu. Cristofoli i ja świętowaliśmy nie opodal hotelu. Byliśmy już za pan brat ze wszystkimi midinetkami i Murzynami, kiedy nagle równocześnie dostrześliśmy smukłą sylwetkę Eileen St. Claire.

Cristofoli w sekundę przebił się przez pomstujący tłum, stanął przed Eileen St. Claire i przejęty jej nagłym zjawieniem się impulsywnie zaofiarował jej to, co miał w ręku: jarmarczłą trąbkę dla dzieci.

— Thank you — rzekła z uśmiechem i znikła tak tajemniczo, jak gołąb w kapeluszu magika. Cristofoli zerwał sobie krawat z szyi i cisnął nim o ziemię.

Pozostała mu tylko jedna nadzieja — pożar w hotelu, mógłby ją wynieść na rękach.

Któregoś dnia dama owa nie była sama. Przy jej stole siedział jakiś pan o szarozielonkawej twarzy i potwornie zdegenerowanej powierzchowności. Mówił cicho i szybko. Eileen St. Claire słuchała go zirytowana. Cristofoli wpadł w rozpacz. Kiedy od kelnera dowiedział się, że ten pan jest lekarzem, uspokoił się do pewnego stopnia. Eileen St. Claire i lekarz spędzili popołudnie w jej apartamencie.

— Zapewne badanie lekarskie — usiłowałem pocieszyć mego nieszczęśliwego przyjaciela.

I tegoż dnia wieczorem nastąpił nagły i niespodziewany zwrot.

Lekarz wyjechał wieczornym pociągiem. Tego, co się potem stało, mogłem się tylko domyślić z chaotycznych słów Cristofoliego.

Koło jedenastej wracał z dansingu do swego pokoju. Na korytarzu spotkał Eileen St. Claire, przystanął i przyglądał się jej bez słowa. Dama także bez słowa chwyciła go za rękę i zaprowadziła do swego pokoju.

O piątej rano obudziłem się, gdy Cristofoli wrócił do siebie. Twarz jego opromieniało nieludzkie szczęście. Nie był w stanie mówić, tylko recytował i płakał. Poradziłem mu wziąć pastylkę luminalu i pozwolić mi spać.

Rano ubierał się długo i tak starannie, jak młoda dziewczyna na swój pierwszy bal. Ja skończyłem ranną toaletę o pół godziny wcześniej. Zanim Cristofoli zszedł na śniadanie, wiedziałem już o druzgocącej nowinie, nie wiedziałem natomiast, jak mu to zakomunikować. W końcu jednak zdobyłem się na odwagę: Eileen St. Claire wyjechała wczesnym rankiem.

Natychmiast pojechaliśmy do Paryża; zwróciliśmy się do policji, do prywatnego detektywa — wszędzie. Tropiliśmy jej ślad, ale daremnie.

Wrażliwe nerwy Cristofolięgo odmówiły posłuszeństwa. Załamał się całkowicie. Musiałem zawieźć go do sanatorium, gdzie przeleżał trzy tygodnie. Wyzdrowiał, ale nigdy już nie wrócił do normalnego stanu. Zerwał i ze mną, i z archeologią, i z poezją. Straciłem go z oczu i długo byłem przekonany, że targnął się na życie. Jednakże niedawno powiedział ktoś, że spotkał go w Persji, gdzie został ministrem lotnictwa Rządu Rewolucyjnego.

A teraz nagle stanąłem naprzeciwko Eileen St. Claire. Byłem zakłopotany i przez chwilę wahałem się, czy powiedzieć, że ją znam. Potem jednak uznałem za wskazane nic o tym nie wspominać.

Wsiedliśmy do samochodu. Maloney za kierownicą, my zaś na tylnych siedzeniach. Pamięć o Cristofolim pogłębiła tajemniczą atmosferę otaczającą osobę Eileen St. Claire.

Niewiele rozmawialiśmy, wymieniając zdania bezosobowe, bez cienia zainteresowania. Wreszcie poruszony został temat zapowiedziany przez Maloneya. Eileen St. Claire wyrażała swoje zdanie o podobieństwie Węgrów i Irlandczyków.

Oba narody znajdowały się przez wieki pod dławiącym zaborem sprytniejszego sąsiada. Oba narody cechował patriotyzm i dzielność, dopóki musiały walczyć przeciwko tyranowi. Lecz niestety oba narody zatracaly się, gubiły linię postępowania w chwili, kiedy odzyskały niepodległość.

Następnie mówiła o życiu gnębionych przez wieki Irlandczyków, o męczennikach, o nieśmiertelnej zasuszonej staruszce Kathleen-ni-Hoolihan, która stała się upiornym symbolem Irlandii — rojącej się od upiorów.

Piękne, wzruszające historie słyszane już nieraz od patriotów irlandzkich — ale ona opowiadała to wszystko z takim dystansem jak wyuczoną lekcję. Ze zdumieniem zadałem sobie pytanie: czy istnieje na świecie w ogóle coś, co jest dla niej czymś więcej niż lekcją, niż obowiązkiem?

W Birmingham zatrzymaliśmy się na lekki lunch, po czym pojechaliśmy dalej. Obojętne tematy zostały już wyczerpane, a bliższych kontaktów jeszcze nie nawiązaliśmy. Przyznam się, byłem przygnębiony, ale czułem, że nie potrafię przełamać jej niedostępności.

Jechaliśmy nie opodal Chester, gdzie nieoczekiwanie zwróciła się do mnie:

— Mam prośbę do pana. Pan jedzie do Llanvygan do earla of Gwynedd. Earl był kiedyś moim dobrym przyjacielem, może najlepszym. Potem na skutek jakiegoś nieporozumienia zerwaliśmy ze sobą nieodwołalnie. Niemniej jeszcze do dziś bardzo go lubię i życzę mu jak najlepiej, nie mogę sobie odmówić, by po tylu latach nie przypomnieć mu o moim istnieniu.

Oto liryczne wyznanie... Ale ton, jakim to powiedziała, brzmiał tak, jak gdyby mówiła, że bardzo jest zadowolona z nowego lokaja. Otwierając swoje serce kobieta ta była jeszcze bardziej tajemnicza niż wtedy, kiedy milczała.

— A więc chciałam pana poprosić, aby pan przekazał mu ten oto pierścionek. Może wydaje się panu dziwne, że nie zwracam się w tej sprawie do Maloneya, którego znam od dawna... Ale pan wie... Maloney to bardzo miły chłopak, z dobrej rodziny, a mimo to nie po-

wierzyłabym mu nawet dwóch szylingów. Mam nadzieję, że pan nie ma mi za złe tej fatygi.

— Jestem szczęśliwy mogąc wyświadczyć pani przysługę.

— Aha, jeszcze jedno: pan będzie uprzejmy nie zdradzać earlowi, od kogo dostał pierścionek. Może pan powiedzieć, że otrzymał go anonimową przesyłką i nadawca prosił o przekazanie bez komentarzy.

— Proszę wybaczyć, ale przecież pani zależy na tym, aby pierścionek przypomniiał mu panią.

— Tak, ale wolałabym, aby sam odgadł, kto mu go przysyła. Jeśli nie odgadnie, to nie zasługuje na to, abym tyle o nim myślała. Proszę, niech mi pan obieca pod słowem honoru, że w żadnym wypadku nie zdradzi pan, od kogo pierścionek pochodzi.

Nie prosiła, nie nakazywała, mówiła takim samym bezbarwnym głosem jak dotąd. Po prostu uznała za samo przez się zrozumiałe, że dam słowo honoru, zapewne na myśl jej nie przyszło, by ktoś mógł odmówić jej prośbie.

Dałem słowo honoru.

A przecież w głębi duszy coś mnie ostrzegało. Nie zważając na złowieszczą glorię, która osnuła jej postać po historii z Cristofolim, nie zapominałem, że jest ona znajomą Maloneya. Kto wie, może cały spisek został z góry wyreżyserowany. I wszystko, wszystko, co dotyczy Llanvygan, jest podejrzane, gmatwa się w tajemnicę nie do rozwiązania. Mglista postać Eileen St. Claire to zaledwie część tajemnicy earla of Gwynedd — tajemnicy, którą wyczuwam intuicyjnie, która przyciąga mnie jak magnes, a równocześnie odpycha. A mimo to dałem słowo honoru. Dlaczego? Eileen była bardzo piękna, a ja bardzo niezaradny.

Schowałem pierścionek.

W ten sposób dojechaliśmy do Chester. Przy dworcu kolejowym Maloney i ja wysiedliśmy z samochodu i pożegnaliśmy się z Eileen St. Claire.

— A więc spełni pan moją prośbę, prawda? — nie było to pytanie, lecz potwierdzenie mojej obietnicy. — Po powrocie do Londynu opowie mi pan, jak earl zareagował... Żegnaj pana...

Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i ściągnęła rękawiczkę.

— Ach tak. Może pan ucałować moją rękę.

*

Wsiadliśmy do pociągu i kontynuowaliśmy naszą drogę. Maloney poprosił, bym schował do swojej walizki jakąś paczkę, która nic mieściła się w jego walizce. Poza tym nic nie działo się w drodze, o czym warto wspomnieć.

Pociąg wjechał pomiędzy góry północnej Walii. Raz mieliśmy przesiadkę. Krajobraz stawał się coraz bardziej romantyczny, a potem, kiedy przemienił się w posępny dziki masyw gór, dojechaliśmy do Corwen. Osborne czekał już na nas ze swoim wozem. Po krótkiej wymianie „halo” wyruszyliśmy dalej.

Droga wiodła przez wąski wąwóz wśród stromych górskich ścian. Osborne zmienił bieg.

— Tu na lewo prowadzi droga do zamku Pendragon, gniazda dawnych Pendragonów. Tylko turyści niekiedy wspinają się po niej. Chłopi nie bardzo lubią tę okolicę. Wciąż jeszcze boją się Papy Asapha, szóstego earla of Gwynedd, który miał sławę czarnoksiężnika i tam w zamku uprawiał magiczne sztuczki.

Znaleźliśmy się w bardziej przestronnym wąwozie, skąd otwierał się widok na ruiny zamku Pendragon na samym szczycie góry. Wznosiły się nad stromą skałą, jak gdyby same z niej wyrosły.

Wokół szczątków normandzkiej wieży krążyły duże czarne ptaki. Maloney wyraził moje własne wrażenie mówiąc:

— Mieszkać tam na górze musiało być diabelnie przykro.

Później krajobraz stał się łagodniejszy. Wkrótce przejechaliśmy przez wioskę Llanvygan i ukazała się kunsztownie kuta żelazna krata otaczająca park. Szpaler drzew wiódł do pałacu. Wydał mi się przestronny, jasny i zapraszający, zgoła inny, niż go sobie wyobrażałem. Co prawda w środku mdłe oświetlenie sali, stare meble i głucha cisza wywarły znowu przygnębiające wrażenie.

Podczas przebierania się przygotowałem w myślach krótki „speech” na powitanie earla. Zaprowadzono nas do wielkiej sali, szybkim krokiem wyszedł nam na spotkanie earl, u jego boku młoda dziewczyna, a za nim trzech lokaje w liberiach. To przyjęcie miało posmak recepcji książęcej. Nieruchoma, pełna dostojenstwa twarz earla miała zgoła inny wyraz niż twarz sympatycznego arystokraty-naukowca na przyjęciu u lady Malmsbury-Croft. Nie czekając na nasze powitanie podał rękę i zaczął mówić jak ktoś, kto wydajeienne rozkazy:

— Pan Maloney, nieprawda? Świetnie. Niech się panowie dobrze czują w Llanvygan. Ta młoda dama to moja bratanica, Cynthia, siostra Osborne'a. Pierwszy lokaj, Rogers, otrzymał instrukcję, by rano zaprowadził pana do biblioteki. Dziś wieczór niestety nie będę mógł zasiąść z panami do obiadu. Czy pan ma jakieś życzenie, doktorze?

— Tak. Otrzymałem anonimową przesyłkę, która zawierała ten oto pierścionek, z prośbą, by przekazać go panu. Uznałem za słuszne uczynić to od razu.

Earl przyjął pierścionek i twarz jego przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz.

— A czy pan nie wie, od kogo dostał pan ten pierścionek?

— Nie, nie wiem, milordzie.

Earl odwrócił się na pięcie i bez pożegnania wyszedł.

— Ciekawy człowiek — rzucił Maloney spokojnie.

Natomiast ja nie mogłem dojść do siebie z wrażenia.

Ogarnęła mnie rozpacz. No cóż, nie zawiodły mnie przeczucia. Osoba Eileen St. Claire ściąga na człowieka same kłopoty. Zapewne przez nią straciłem życzliwość earla. Cóż za niepoprawny głupiec ze mnie! Ile razy wyświadczyłem komuś przysługę, zawsze doznałem przykrości.

John Bonaventura Pendragon miał rację: „Każdy dobry uczynek zostaje słusznie ukarany”.

Wykąpałem się, przebrałem i zszedłem do jadalni. Cynthia siedziała obok mnie we wspaniałym stroju wieczorowym. Nie zabawiałem jej, miałem wszelkie powody, by być onieśmielonym.

Po pierwsze, była bardzo piękna. Ale gdyby nawet nie była piękna — potomek Pendragonów, pani na zamku... Nie, nie jestem godny otworzyć ust w jej obecności. Czytelnik skłonny będzie posądzić mnie o snobizm. Otóż... przyznam się, że w moim mniemaniu hrabia to coś lepszego niż zwykły człowiek.

Temat rozmowy Cynthii i Maloneya onieśmielił mnie jeszcze bardziej: przed dwoma laty przedstawiono ją na dworze królewskim, sezon spędzała w Londynie u swojej ciotki, duchess of Warwick, mieszkającej przy tak wytwornej ulicy, że zawsze ze łzami wzruszenia przechodziłem tamtędy. Poza tym garden party u jednej lady, przyjęcie u drugiej, u trzeciej bal w stylu wschodniego bazaru... Mimochodem rzucane historyczne nazwiska jej przyjaciółek padały na moją głowę jak uderzenia młotkiem.

Wyschnę na kość, pomyślałem, jeśli każdy posiłek będę musiał spożywać w tak arystokratycznym otoczeniu. Co prawda często bywałem w Anglii w bardzo dobrym towarzystwie z tytułu mojego zawodu. Ale przeważnie jako płatny sekretarz, a nie w charakterze gościa. Poza tym, Pendragonowie byli znacznie znakomitszym rodem od tak zwanego dobrego towarzystwa. No i last but not least, wykwinna młoda dziewczyna w moich oczach bardziej symbolizuje wzniosłość, niż na przykład niemniej wykwinny leciwy dżentelmen.

W dodatku dręczyło mnie uczucie, że na skutek intrygi Eileen St. Claire przegrałem na

całej linii: nigdy nie będę mile widzianym gościem w Llanvygan.

Zmartwiony wypilem sporo ciężkiego wina i miałem nadzieję, że dobrze będę spał. Tak nadeszła pierwsza noc w Llanvygan, początek upiornych i niewytłumaczalnych przygód.

*

Leżałem w przytłaczająco historycznym łóżu (chyba z epoki królowej Anny) i czytałem jakieś dzieło filozoficzne, gdyż filozofia zazwyczaj działa na mnie kojąco, wręcz usposabia do snu. Może moja podświadomość ucieka przed nudą do krainy snu? Lekturę „Podmiot i orzeczenie i ich wzajemny stosunek” czytałem tak długo, aż w końcu terminy gramatyczne zaczęły przybierać kształty ludzkie.

— Co za wiatr! — narzekał Podmiot do Orzeczenia.

— Nie szkodzi. Od tego wiatr, żeby wiał — pocieszało Orzeczenie Podmiot, jak to w półśnie często bywa, że lewa strona człowieka prowadzi dyskusję z prawą stroną...

Wtem obudziłem się.

— Co to?

Zdałem sobie sprawę, że właściwie już od dawna słyszę ten szmer, niesamowite odgłosy. W absolutnej ciemności rozległo się: tapp. A potem coś jakby: trii. Z kolei nastąpiły nie do wyrażenia ludzkim językiem przeciągłe, koszmarnie jęki i zdławione westchnienia.

I to wszystko powtarzało się co pewien czas, jednak nie w regularnych odstępach: chyba wtedy, kiedy temu komuś przyszło to na myśl.

Zapaliłem światło na wszelki wypadek. Pokój wydawał się o dwieście lat bardziej historyczny niżeli wieczorem, kiedy się położyłem. Takie pokoje widywałem w londyńskich muzeach i francuskich zamkach, ale tam napisy i fachowi przewodnicy kierowali wyobraźnią człowieka: czy przedstawi mu się Napoleon z założonymi do tyłu rękami, czy też szczupła dama przy kołowrotku?...

W tym pokoju nie wisiała kartka na żadnej rzeźbionej szafie. Wyobraźni nie ograniczała zbawienna bariera... Może niegdyś jakiś przodek zmarł tu, dręczony przez upiorne zjawy i żalując za swoje grzechy?... A do tego wszystkiego gdzieś z zewnątrz nieustannie powtarzające się odgłosy: tapp trii, no i wzdychanie... Przykre uczucie.

Zapaliłem papierosa. Dymek „gold flake’a” wesoło snuł się po pokoju, usiłując tworzyć przytulną atmosferę, ale bez skutku. Byłem śmiertelnie zmęczony. Przez otwarte palenisko kominka wiatr ryczał, jak nastawiony na cały regulator głośnik radiowy. I od czasu do czasu: tapp trii i wzdychanie.

Wiedziałem, że to okno powoduje ten odgłos lub coś w tym rodzaju: w wietrzne noce często wojowały z sobą źle domykające się okna i moja wyobraźnia.

Zdałem sobie sprawę, że wbrew swojej woli wyjdę i zbadam sytuację, gdyż znając swoje usposobienie nie zasnęłbym spokoju.

Wygramoliłem się z łóżka, narzuciłem szlafrok i cichutko otworzyłem drzwi.

Przestąpiłem próg. Na korytarzu ciemno choć oko wykol i przeciąg... Wrażenie ogłędnie mówiąc nieprzytulne. Wróciłem do pokoju jak ktoś, kto próbuje włożyć nogę do lodowatej wody i szybko ją wyciąga.

W podobnych wypadkach dodaję sobie otuchy rewolwerem, po to jedynie go kupiłem. Może to trochę teatralnie spać z nabitym rewolwerem, szczególnie przy moim spokojnym trybie życia. Ale cóż, przywykłem do tego.

Wyciągnąłem szufladę nocnej szafki i w pierwszej chwili nie wierzyłem własnym oczom. Nie zdziwiłbym się bardziej, gdybym żółwia czy innego gada ujrzał na miejscu rewolweru. Nie leżał w prawym kącie, gdzie go położyłem, lecz w lewym. Pomyłka wykluczona. Przecież nawet papierosy liczę, zanim przez zapomnienie zostawię je w szufladzie.

Następny ruch nie wymagał już fantazji filmowej. Sprawdziłem magazynek. Był pusty.

Ktoś wyjął naboje.

Na ogół do tej pory okradano mnie z trzech rzeczy: papierosów, żyletek i chustek do nosa. Naboi z rewolweru nie ruszono nigdy. Przed dziesięciu laty, kiedy go kupiłem, włożyłem od razu sześć naboi. Od tego czasu w magazynku tkwiło tych samych pięć naboi, gdyż jeden wystrzeliłem na próbę. Myślałem, że kule wystarczą mi do końca życia. Nie przypuszczałem, abym kiedykolwiek wystrzelił jeszcze raz.

Gdybym powiedział, że mi się to nie podobało, użyłbym zbyt łagodnego określenia.

A tymczasem zewnętrzny hałas doprowadził mój stan nerwowy do zenitu. Hałas przechodził w szalejące crescendo: sprawiał wrażenie, jak gdyby w sześćdziesięciu pokojach pałacu wrzeszczały równocześnie głośniki — tapp trii... Ach... h... hh... Ładna mi gościnność traktować człowieka wyjąłymi oknami. Ale nie! To nie okno. Tak... Doczekałem się tej mrozącej krew w żyłach przygody, na którą od dziesięciu lat hartowało się gnieźdzące się we mnie poczucie strachu.

Z braku naboi uzbroiłem się w latarkę, wziąłem głęboki oddech i wyskoczyłem na korytarz.

Okno naprzeciwko drzwi było zamknięte. Odgłosy doszły mnie z lewej strony. Skierowałem się tam. Następne okno było w odległości dziesięciu kroków, tuż za zakrętem korytarza. Niestety przodkowie niewiele uwagi zwracali na oświetlenie...

I wtedy kamień spadł mi z serca: stałem oko w oko ze sprawcą. Z oknem. Nie było zamknięte: dyndało na zawiasach jak smutny wisielec na gałęzi. Niezwłocznie przystąpiłem do zamknięcia nieszczęsnego okna.

To się tak mówi. Bo sprawa wcale nie była taka prosta. Okno miało wymyślny historyczny zamek. Jakże rozsądnie postąpiłem, że kiedyś przewertowałem jakąś znakomitą fachową lekturę o starych angielskich mistrzach ślusarskich. To był jeden z rzadkich wypadków, kiedy, nie licząc rozwiązywania krzyżówek, praktycznie korzystałem z moich wiadomości fachowych. Okno zamknąłem na medal. Nawet pokojówka z epoki Szekspira lepiej by nie potrafiła. Napięcie nerwowe minęło. Strudzony, lecz niewymownie uspokojony, powlokłem się w stronę pokoju. Przemogłem aktualnie największego wroga, dzięki swojej odwadze i wiedzy fachowej. Zażyję bromural i pośpię trochę. Sprawę naboi odłożę na jutro.

Los zrządził inaczej. Okno było zaledwie niewinnym prologiem...

Gdy doszedłem do zakrętu korytarza, spostrzegłem, że coś świeci przed moimi drzwiami. Zbliżyłem się o dwa kroki i ze strachu, zatracając orientację geograficzną, zacząłem krzyczeć w trzech językach.

Pod drzwiami stał średniowieczny olbrzym z płonąca pochodnią.

Wyjaśnię od razu, że ani przez chwilę nie wierzyłem, że mam do czynienia z duchem. Co prawda angielskie zamki aż huczą od upiorów, ale widzą ich jedynie tubylcy. Śmiertelnikowi z Budapesztu jeszcze nigdy się to nie przydarzyło.

Co mnie przeraziło do głębi, to to, że ów olbrzym wcale nie był duchem. Gdy dajmy na to w pradawnym zamku zjawi się duch starego Anglika, to jeszcze ujdzie, na to człowiek jest poniekąd przygotowany intelektualnie. Takiemu duchowi przyrzeka się solennie, że jego ziemskie szczątki zostaną złożone do grobu według obrządku religijnego i spokój.

W tym wypadku najbardziej upiorne było właśnie to, że nie było upiora. Zapewne wszystko ma swój sens, tylko ja nie wiedziałem, co z tym fantem robić. Jak ma postąpić człowiek, kiedy o północy stoi przed jego drzwiami średniowieczny olbrzym, który nie jest duchem? Mało tego, olbrzym świetnie wygląda, niezbyt przyjaźnie spogląda na człowieka, niemniej zadaje grzeczne pytanie:

— Może zgubił pan coś?

— Może pan będzie uprzejmy wyjaśnić, z kim mam przyjemność?

— Nazywam się John Griffith, sir.

— Bardzo mi przyjemnie. Domyślałem się, że earl...

— Yes, sir. Jestem na służbie u earla. Zgubił pan coś?

Długo i szeroko klarowałem historię z oknem. Nowy mój znajomy słuchał w sposób zaiste angielski: ani drgnął.

Odniosłem wrażenie, że nie wierzy mi ani słowa. Milczeliśmy przez dłuższą chwilę, po czym rzekł:

— A więc wszystko w porządku. Życzę panu dobrej nocy... Na pańskim miejscu... w nocy nie wychodziłbym na korytarz. Te stare korytarze są dość... Tu zawsze ciągnie. Łatwo się zaziębić.

I oddalił się z pochodnią w rękę bardzo stylowo.

Może tylko mnie się tak wydawało, że jego słowa zawierały jakąś groźbę i ostrzeżenie?

Kiedy wracałem do pokoju, postanowiłem w pierwszym rzędzie rozważyć realny stan faktyczny. Otóż, na ile mój stan nerwowy pozwolił mi ustalić, John Griffith nie był w stroju średniowiecznym, lecz z początku siedemnastego wieku. Nosił czarną bluzę o szerokich, u dołu bufiastych rękawach — spodnie w tym samym stylu: a la Szekspir na późniejszych wizerunkach. Ale zostawmy to...

Powiodło mi się jak biblijnemu Izraelicie, imienia jego nie pomnę, który wyruszył, by odszukać osły ojca, a zamiast osłów znalazł królestwo. Okno, do którego zawiódł mnie fałszywy alarm moich słabych nerwów, okazało się zwykłym oknem, natomiast niezaprzeczanym faktem zostaje, że z rewolweru wyjęto kule i pilnuje mnie olbrzym w siedemnastowiecznym kostiumie. To daje do myślenia...

Postanowiłem zamknąć drzwi, ale... już wieczorem mimo woli zwróciłem uwagę, że w drzwiach nie ma klucza, a teraz zaś ze ściśniętym sercem stwierdziłem, że drzwi mają co prawda zamek, ale klucza rzeczywiście brak.

Zrezygnowany położyłem się. Czułem się zmęczony i jakoś mi się udało odsunąć od siebie niepokojące myśli. Byłem już blisko zaśnięcia, gdy usłyszałem, że drzwi się otwierają.

Powiało od progu i do pokoju wtargnęły wszystkie koszmary nocy. Serce przestało mi bić, świadomość życia ustała, ale instynkt działał dalej. Podobny byłem do św. Dionizego, który ze ściętą głową pod pachą spacerkiem opuścił Montmartre.

Zapaliłem światło. Lufę nie nabitej broni skierowałem na intruza i krzyknąłem:

— Stać!

Widocznie zaczęły się we mnie budzić pewne zdolności detektywistyczne.

Odzyskując przebliski świadomości stwierdziłem, że w drzwiach stoi Maloney. Był w jakimś przylegającym do ciała czarnym kombinezonie, który, jak w mgnieniu oka ustaliłem, służył do wspinaczki. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi i szepnął:

— Halo!

— Halo! — odrzekłem z nieco pytającą intonacją. Rewolwer schowałem.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam panu — powiedział.

— Jest pan jak zwykle optymistą — odparłem. — Skąd się pan tu wziął? I co pan robi w tym kombinezonie? Czy pan zawsze tak się stroi udając się na wieczorną przechadzkę?

— Doktorze, niestety nie mam czasu, aby rozsmakować się w pańskim dowcipie. W tym pałacu dzieją się przedziwne rzeczy.

— Istotnie.

— Gdybym nie był rodem z Connemary, powiedziałbym, że to miejsce nawiedzają duchy. A tak to nie wiem, co właściwie mam myśleć... Doktorze, czy pan przypadkiem nie spotkał... no, jak by to powiedzieć... jakiejś zjawy?

— To zależy, jaką zjawę pan ma na myśli.

— Chodzi mi o olbrzyma w stroju z pantomimy na Boże Narodzenie. W rękę trzyma płonąca pochodnię, spogląda na człowieka i odchodzi. Diabelnie nieprzyjemny facet.

— Tak się złożyło, że nawet z nim rozmawiałem. Nazywa się John Griffith.

— Well... nazwisko niezbyt upiorne. W Walii co drugi nazywa się Griffith. Ale dlacze-

go się kręci koło naszych pokoi?

— Pojęcia nie mam.

— Wie pan co? Taki dziwak ze mnie, że nie lubię, jak tacy kominiarze kręcą się koło mnie. A poza tym nic pan nie zauważył? Na przykład czy ma pan klucz w zamku?

— Nie. Nie mam.

— Bo ja też nie mam. A czy pana rzeczy też przeszukali w czasie kolacji?

— Czy ja wiem?... W każdym razie z rewolweru wyjęto kule.

— Hm... Dobrze, że sobie przypomniałem... Doktorze, niech pan sprawdzi, czy nie zginęła moja paczka, którą pan schował w swojej walizce?

Chociaż tego rodzaju przypuszczenie uznałem za nieprawdopodobne, wstałem z łóżka i otworzyłem drugą, jeszcze nie rozpakowaną walizkę. Paczki ani śladu.

— To ciekawe — powiedział Maloney — w tym pałacu kręcą się złodzieje albo duchy. Nie uważa pan?

Moim zdaniem sprawa nie była taka prosta. Gdyby się tu wkradli złodzieje, to zabraliby mi pieniądze albo chociaż srebrną papierośnicę, a nie naboje z rewolweru i tajemniczą paczuszkę Maloneya. Na nowo wzbudziły się moje podejrzenia co do jego osoby.

— Maloney, przepraszam za niedyskrecję, co pan miał w tej paczuszce?

Maloney spojrzał na mnie przenikliwie.

— A więc pan otworzył paczkę...

— Zwariował pan? Może pan jeszcze powie, że ją ukradłem? Proszę mi natychmiast powiedzieć, co było w paczce?

— Rozmaite rzeczy do wspinaczki. Pan się na tym nie zna... Proszek, który pan widział, to coś w rodzaju sproszkowanej żywicy do nacierania linek...

Wtem Maloney jednym susem znalazł się przy drzwiach, przyłożył do nich ucho i nasłuchiwał. Teraz i ja słyszałem już zbliżające się kroki. Maloney odszedł od drzwi i ni stąd, ni zowąd zaczął śpiewać: „Happy days are here again” wybijając na szklance takt nożem do przecinania papieru. Narobił potwornego hałasu. Kroki się oddaliły.

— Pan wybaczy — rzekł. — Nagle zrobiło mi się wesoło na duszy. Życie jest jednak piękne. Ten pałac jest prawie tak ciekawy jak dżungla. Przypomina mi się interesująca historia. Pewnego razu — było to na Labuanie, spokojnie grałem w pokera z majorem, a tu nagle wpada miejscowy policjant i powiada, że zbliża się zorganizowana banda orangutanów. Ograły trzy domy. Orangutany, musi pan wiedzieć, są diabelnie niebezpieczne, zwłaszcza zrzeszone w bandzie. Wśród gromady znajduje się zawsze najstarsza wiekiem małpa, matka, a jeśli się ją zabije, to wszystkie rzucają się na mordercę. Tak, ale skąd człowiek może wiedzieć, która jest najstarsza lady spośród tylu porośniętych sierścią mord? Uspokoilem majora, że może na mnie polegać. Ja umiem z nimi gadać. Wstałem, wyszedłem, a tam stała zgraja małp, szczerząc zęby...

Tym razem nie miałem cierpliwości wysłuchać do końca opowiadania Maloneya. Teraz już przejrzałem go na wskroś: za jego nieobliczalną fantazją kryje się coś, jakiś zamiar, który stara się zamaskować, udając półgłówka, jak Brutus w czytankach gimnazjalnych.

Jestem podejrzliwy, to prawda, ale w tym wypadku byłem pewien, że kiedy Maloney usłyszał kroki, to po to tylko zaczął śpiewać, aby zapewnić sobie alibi, by pokazać, że jest u mnie — nie knuje nic złego, śpiewa...

— Sorry — powiedziałem — zostawmy matkę małp na później. Pan będzie uprzejmy wyjaśnić mi, dlaczego wkładu pan na noc kombinezon do wspinaczki? Nawiasem mówiąc, złodzieje hotelowi w filmach noszą podobny strój... i w ogóle jeszcze nie wytłumaczył mi pan, skąd się pan u mnie wziął?

— O, to bardzo prosta sprawa. Niech pan posłucha. Zaraz po przyjeździe stwierdziłem, że właśnie na naszym pięttrze balkon ozdobiony jest kamiennymi postaciami, które głowami podtrzymują balkon następnego piętra. Pomyślałem sobie: a może by tak wspiać się po nich,

bo jeszcze nigdy nie wspinałem się po brodaczach z kamienia. Poza tym nie mogłem zasnąć, zdenerwowałem się, że earl przyjął nas tak niesympatycznie. Wspinaczka zawsze dobrze mi robi, a nocna wspinaczka to moja specjalność. Ubrałem się więc i wyszedłem na balkon...

— No i udała się wspinaczka?

— Właśnie, że nie. Pan sobie wyobraża: stoję na balkonie, a tu widzę, że pałac jest otoczony.

— Że co?

— Tak jak pan słyszy. Przed pałacem stał jeździec z płonąca pochodnią w ręku. Spostrzegł mnie i zaczął krzyczeć.

— Co powiedział?

— Nie rozumiałem. Mówił jakąś dziwną gwarą, a właściwie powtarzał tylko jedno słowo, ale i tego nie rozumiałem. To jedno słowo brzmiało dość nieprzyjemnie. Wolałem zawrócić...

— A co potem?

— Potem chciałem wejść do pokoju, ale na korytarzu natknąłem się... na tego... no... na tę zjawę. Zrobiło mi się głupio i pomyślałem sobie, że wejdę do pana. Z pana mądry człowiek. Byłem ciekaw, co pan o tym powie. Więc co pan na to?

— Nic. „Więcej rzeczy istnieje na ziemi i na niebie, niż to się śniło filozofom, Horacjuszu.”

— Odkąd to pan nazywa mnie Horacjuszem? Czy to komplement, czy obraza?

— Jak pan woli. A teraz życzę panu dobrej nocy. Dobranoc!

— Dobranoc, doktorze. Oby panu nie przyśniły się te szkaradne zjawy!...

Maloney wyszedł. Wróciłem do łóżka wyczerpany jak rozbitek, którego fala wyrzuciła na tradycyjnie bezludną wyspę.

Nie mogłem zasnąć. Leżałem zmęczony w jakimś otępieniu, a jednak dręczony niepokojem. Tak upłynęły długie godziny.

Coś się tu dzieje. Coś się niewątpliwie dzieje... Parki przędą już nic... Fatum ciąży nad pałacem Llanvygan i czyha w którejś sali: nad rodem Pendragonów znowu zawisł miecz Damoklesa.

A ja tu stoję, albo raczej leżę. Ja, János Bátky z Budapesztu, gnębiony wiecznymi przeczuciami i obawami: bezsilny, rzucony na pastwę losu — w sam środek potwornej przygody.

Nagle usłyszałem tak nieoczekiwany łoskot, że o mało nie wyleciałem z łóżka: podbiegłem do okna.

Maloney nie kłamał. Pod oknem czarny jeździec z pochodnią i halabardą w ręku pocwałował w gęste ciemności.

*

Rano następnego dnia słońce tak wesoło oświecało bajeczny trawnik parku, że znów dziękowałem Bogu, iż mogę być w Anglii. W Anglii rzadko kiedy świeci słońce, ale gdy świeci, to rzuca tak olśniewające promienie, jak gdyby tego dnia zaświeciło pierwszy raz nad nowiuteńkim światem.

Goliłem się właśnie, kiedy Osborne wszedł do mojego pokoju. Zjawienie się jego po ponurej nocy działało prawie tak orzeźwiająco, jak blask słońca. Promieniał tą nigdzie indziej nie spotykaną młodością, co stanowi największy skarb Wysp Brytyjskich. Nic złego nie może stać się w pałacu — dodałem sobie otuchy — gdzie ten młodzieniec czuje się tak doskonale.

— Halo, doktorze! Mam nadzieję, że dobrze spędził pan noc. Mówią, że zazwyczaj spełnia się to, co się śni człowiekowi pierwszej nocy.

— Well, nie mogę narzekać. Miałem niezwykle ciekawą noc, tylko nie wiem, co właściwie widziałem na jawie, a co mi się śniło. Cieszę się, że mam okazję pomówić z panem w

cztery oczy. Działy się przedziwne, niesamowite rzeczy.

— Czyżby? Dziwne rzeczy, niestety, od dwustu lat nie dzieją się w Llanvygan. Dawniej to było co innego! Zwłaszcza kiedy mieszkaliśmy jeszcze na szczycie góry w Pendragon. Llanvygan to najbardziej mieszczańskie spośród mieszczańskich miejsc w Zjednoczonym Królestwie.

— Ja mam inne pojęcie o mieszczaństwie.

— Doktorze, może pan wreszcie opowie mi swoje przygody!

— Od czego zacząć? Po pierwsze, czy nie uważa pan, że earl, oględnie mówiąc, przyjął nas nieco oziębło?

— Nie. Absolutnie nie. Przecież pan wie, że według zasad angielskich należy możliwie najmniej zajmować się gośćmi, aby się czuli jak u siebie w domu. Może stryj mój trochę przesadnie stosował tę zasadę...

Zamyślił się przez chwilę.

— Niemniej ma pan do pewnego stopnia rację... — rzekł wreszcie. — Stryj mój prawie nigdy nie zaprasza do siebie gości. Pan jest wyjątkiem. Chyba zaskarbił pan sobie jego sympatię od pierwszego wejrzenia. Cynthia i ja z niebywałym entuzjazmem przyjęliśmy wiadomość o zaproszeniu pana. Mieliśmy nadzieję, że może wreszcie stryj przestanie się tak dalece izolować od świata. Po przyjeździe pana zdziwiło nas, że nie witał pana tak serdecznie, jak się tego spodziewaliśmy.

— Czy może pan wytłumaczyć, z jakiego to powodu?

— Naturalnie. Stryj mój ma usposobienie typowe dla melancholika. Niekiedy bywa miłym, najbardziej uroczym człowiekiem pod słońcem. Potem nagle nie wiadomo z jakiego powodu zamyka się w sobie. Bywało, że mieszkaliśmy wszyscy troje w pałacu, a nie odezwał się do nas przez sześć tygodni. A przy tym nie gniewał się wcale. Siedział zamknięty w swoich pokojach, gdzie nam nie wolno było wchodzić. Całe drugie piętro jest wyłącznie do jego dyspozycji.

— I czym się wtedy zajmuje?

— Myślę, że pracuje nad swoją cudaczną zwierzyną. Stryj mój jest amatorem-biologiem. Ale o tym, rzecz jasna, nikomu nawet nie wspomina. Czasem wychodzi na spacer, nie odzywając się do nikogo. Myślę, że nie poznaje nawet ludzi. Do niego także nie wolno się odzywać. Pewnego razu, wie pan, po tym wypadku, kiedy rzekomo uzdrowił duke'a of Warwick, zapędził na wysokie drzewo dziennikarza, który prosił go o wywiad. Przypuszczalnie wczoraj znów miał swój niedobry dzień. Ale bardzo proszę tym się nie zrażać i czuć się w Llanvygan, o ile to jest możliwe, jak u siebie w domu.

— Dziękuję. Ale co by pan powiedział, gdyby przed pana pokojem wartę trzymał olbrzym w historycznym kostiumie?

Osborne roześmiał się.

— Dear old man... Pan jest zbyt wrażliwy. Cała służba pałacowa w Llanvygan na noc przebiera się w kostiumy. Według jakiegoś tam starego obyczaju earl of Gwynedd ma obowiązek trzymać w swojej rezydencji trzydziestu halabardników. Stryj także musi być przepisowy. Nie ma w tym nic niezwykłego. W Anglii na każdym kroku spotyka się tego rodzaju przepisy jako pozostałość pańszczyzny. Utrzymać trzydziestu halabardników jest mniej kłopotliwe niż ludzi w zbrojach, których lord... nie pamiętam już jego nazwiska, musi stale trzymać w pogotowiu. Albo trębacza, do którego obowiązku należy trąbić bez wytchnienia, o ile w sąsiedztwie majątku jego pana poluje król ze swoją świtą. Nie mówiąc o garści śniegu, którą pewien szkocki magnat musi co roku dostarczać dworowi królewskiemu. No, uspokoiłem pana?

— Jeszcze niezupełnie. Skoro już zacząłem, opowiem wszystko.

— Ooo!... Czyżby działo się jeszcze więcej potworności? Doktorze, zaczynam panu zazdrościć. Ci cudzoziemcy mają szczęście. Ja mieszkam tu od trzech lat i jeszcze żaden stół

nie raczył tańczyć na moją cześć!...

— Prosiłbym, żeby pan potraktował mnie serio. Z mego rewolweru wyjęto wszystkie naboje. Z mojej walizki zginęła paczka, którą powierzył mi Maloney. Nocą przed pałacem stoi jeździec z płonąca pochodnią. Czy tak jest co dzień?

Osborne pogrążył się w myślach. Dopiero na moje naleganie odpowiedział pytaniem cicho i z poważną miną:

— Doktorze, czy u was na Węgrzech uczą w szkołach geografii?

— Oczywiście — odparłem zirytowany. — O wiele bardziej szczegółowo niż w Anglii.

— Wobec tego powinien pan wiedzieć, że mieszkańcy Walii są pomyłkami co do jednego. W Anglii wie o tym każdy uczeń szkoły powszechnej. Nie wiem, co strzeliło mojemu stryjowi do głowy, ale nie zastanawiam się nad tym. Trudno, by pomylenieć potrafił odgadnąć myśli drugiego pomyłki. Przy tym bardzo możliwe, że on nie wie nawet o tych rzeczach. Pierwszy lokaj jest też po trosze stuknięty. Zresztą cała służba niezupełnie jest normalna. Trzeba mieć pewną dozę anormalności, by przekroczyć próg Llanvygan. To już tradycja. Dlatego odważyłem się zaprosić Maloneya.

— A earl mnie... Thank you.

— Na pana miejscu nie przejmowałbym się takimi błahostkami. Zapewniam pana, że wszystkie naboje odnajdą się. Przypuszczalnie pierwszy lokaj założył się z kucharzem... To się już zdarzało... A co do jeźdźca — po prostu śniło się panu! W przeciwnym razie ja też musiałbym wiedzieć o tym. Nie sądzi pan? Doktorze, niech pan mi wierzy, stałemu mieszkańcowi pałacu — kontynuował — że w Llanvygan od dwustu lat nie działo się nic niezwykłego. Najwyżej jakiś tam głupi żart, który nie pociąga za sobą żadnego następstwa, czego ja osobiście szczerze żałuję.

Nieco uspokojony szedłem na śniadanie. Przy stole spotkałem Maloneya, który ani słowem nie wspomniał o swojej nocnej wizycie w moim pokoju. Cynthia Pendragon w bardzo skromnej sportowej sukience nie wywierała tak onieśmiałającego wrażenia jak poprzedniego wieczoru. Przyglądałem jej się spokojnie. Gdyby nie nosiła tak znakomitego nazwiska, nie miała za sobą tak ogromnej fortuny i kilku wieków pięknej historii angielskiej — także byłaby powabna.

Jej czoło było najpiękniejsze. Czoło wysokie, czyste dominowało w jej twarzy, która zalotnie chowała się pod nim. Twarz raczej szeroka, rozumna, szczerą — duże błękitne oczy, górna warga z wrodzonym wdziękiem, typowym dla arystokratek, wysunięta nieco do przodu.

Po śniadaniu Osborne i Maloney poszli na plac golfowy, ja zaś wybrałem się do biblioteki. Pierwszy lokaj z bokobrodami a la Franciszek Józef czekał na mnie z nieruchomą twarzą.

Ku memu wielkiemu zdumieniu Cynthia nie dotrzymała towarzystwa grającym w golfa, lecz przyłączyła się do mnie, a zapewne pięknie prezentowałyby się na tle zielonej murawy... Oznajmiła, że będzie moją przewodniczką... Nie twierdzę, że byłem uszczęśliwiony. Mahometanie wykluczyli kobiety z raju. Ja wykluczyłem je z biblioteki, zwłaszcza powabne. Samą swoją obecnością przeszkadzają w czytaniu.

— Lubi pani książki? — spytałem nieporadnie.

— O, książki to moje hobby! To tradycja walijska. Właściwie zawsze chciałam zostać nauczycielką w jakiejś zapadłej wiosce wśród gór i zajmować się folklorem. Ale stryj nie pozwolił. Nie tylko na zbieranie folkloru, ale nawet na zawód nauczycielki.

To hobby nie pokrywało się z moim wyobrażeniem, jakie wyrobiłem sobie o bratanicy earla. Wolałbym, gdyby, dajmy na to, przyznała się, że nie umie pisać ortograficznie. Ale cóż, widocznie do ponurego dziedzictwa Pendragonów należy także inteligencja.

Weszliśmy do biblioteki.

Sala wąska, nieproporcjonalnie długa. Wzdłuż ściany niezliczone książki, w większości „w mundurach”; na okładce godło różokrzyżowców w herbie Pendragonów.

Ogarnęło mnie nieporównywalne z niczym błogie uczucie ciepła, jak zwykle na widok nagromadzonych książek. Najchętniej tarzałbym się na nich, by wszystkimi porami wdychać upajający zapach starych kart.

Cynthia ze szczerą dumą pokazywała największe skarby biblioteki: iluminowane kodeksy walijskie. Szczególnie dumna była z kilku okazów, pisanych nie po łacinie, ale w języku walijskim.

— Widzi pan, chciałam postawić sobie za cel mojego życia wydanie i skomentowanie tych rękopisów — są to jedyne egzemplarze na świecie. Historia literatury Celtów ogromnie by na tym zyskała.

— Bez wątplenia, ale czy pani wyobraża sobie, jakiego wkładu pracy wymagałoby ich wydanie? To zajęcie raczej dla starych profesorów, a nie dla młodej, pięknej arystokratki.

Cynthię oblał rumieniec.

— Pan sądzi, że jestem taka jak inne angielskie dziewczyny: taniec, piękny uśmiech, za którym nic się nie kryje.

— Ależ, broń Panie Boże — zaprotekowałam — jedno spojrzenie wystarczy, by spostrzec uderzającą inteligencję w pani twarzy.

Mówiąc to kłamałam. Była za piękna, aby ją o to posądzać. Ale... widocznie inteligencja to także jej hobby, wypada zatem zalecać się od tej strony... Dla mnie to jest o wiele łatwiejsze... o wiele łatwiejsze, niż gdyby zainteresowania jej ograniczały się tylko do sportu. Miałbym kłopoty.

Pokazała perskie kodeksy, które jeden z Pendragonów zebrał w tropikach pod koniec minionego wieku. Znałem się trochę na tym. Miałem okazję pogłębić swoją wiedzę podczas perskiej wystawy w Londynie w Burlington House.

Wpadłem w ekstazę: dwadzieścia tomów kodeksów perskich! Wówczas nie wiedziałem jeszcze, jaką aktywną rolę odegrają te rękopisy w mojej osobistej historii. Pogrążony w księgozbiornie zaniechałem podstawowych angielskich zasad dobrego wychowania, które nie dozwala na żaden ton pouczający. Fachowo wykładałem Cynthii wszystko, co wiedziałem o książkach i ilustracjach perskich. Moje wiadomości były dość skąpe.

Cynthia słuchała mnie z przejęciem. Nie sądzę, by ją zbyt interesowały techniczne szczegóły, których nie szczędziłem, ale sprawiała wrażenie zadowolonej. Prawdopodobnie rzadko kiedy mówiono z nią o tak poważnych i nudnych sprawach: czuła się więc zaszczycona.

Wtedy jednak o tym nie myślałem. Nie byłem trzeźwy, przeżywałem upojenie bibliofila.

Cynthia była czarodziejką na jakiejś nieznannej cudownej wyspie, nasza przyjaźń pogłębiła się tak nagle, jak na zabawie po północy i po morzu szampana.

Ale cóż to za nedorzeczne porównanie pierwodruków z szampanem? W jednym ręku trzymałem oryginalne wydanie Caxtona, w drugim dwa Wynkyn de Wordl, nie mówiąc o kontynentalnych starodrukach i dwóch Aldinach, które królowały na osobnej półce?

Książka, co to za wspianiała rzecz! Tylko leży, leży na półce, nie wiadomo, co w niej jest, gdyż stare druki nie mają strony tytułowej. Potem człowiek ogląda drugą stronę okładki, kolofon i wówczas widzi, że w ręku ma arcydzieło! Księcia ksiąg! Papieża!... Czy istnieje człowiek, który potrafiłby doprowadzić dyskrecję do podobnej doskonałości?

Przed południem ważne zajęcia: zawarłem znajomość z najznakomitszymi księgami. Zabrzmiał gong: czas na obiad. Pełen radości zaśpiewałem Cynthii moją ulubioną węgierską piosenkę.

— Wy, ludzie z kontynentu., jesteście jacyś inni — zauważyła rozmarzona.

— Spotkałem już Anglików, którzy także kochali książki.

— Nie o tym myślałam... o temperamentach...

I mocno się zarumieniła.

*

Podczas obiadu Maloney i Osborne rozprawiali o golfie i planowaliśmy różne wycieczki. Earl nie zjawił się przy stole.

Siedzieliśmy już przy kawie i koniaku, kiedy lokaj zameldował wiejskiego pastora, Rev. Dafyda Jonesa. Pastor był to człowiek niezwykle schorowany, nerwowy, o spojrzeniu szczutej istoty.

— Proszę wybaczyć moje natręctwo. Właściwie pragnąłbym pomówić z earlem, ale niestety nie przyjmuje...

— Nawet pastora? — osłupiała Cynthia.

— Zdaje się, że nie ma go w domu — wtrącił Osborne.

— Widziano go z rana, szedł w kierunku zamku Pendragon — wyjaśnił pastor. — Myślałem, że wróci na obiad. Bardzo żałuję... bardzo... no to może ja już pójdę...

Westchnął głęboko i usiadł.

— Czy są jakieś kłopoty w Llanvygan? — dowiadywała się zatroskana Cynthia.

— Kłopoty... to może trochę za wiele... Chodzi o zabobony, prastarego wroga naszego narodu. Widocznie nie da się ich wytępić w naszych górach — oświadczył pastor urzędowym tonem.

Osborne ożywił się nagle.

— A więc słuchamy! Padre będzie łaskaw wychylić kieliszek i opowiedzieć, co się stało. Czy stół znów tańczy u szanownej siostry pastora?

— To nie zabobony, to poważne naukowe doświadczenia. Może pan wpadnie któregoś wieczoru i sam to zobaczy. Są inne kłopoty. Cała wieś zwariowała.

— To dla mnie radosna wiadomość. Czy możemy prosić o jakieś szczegóły?

— Czy pan zna starego Pierce'a Gwyn Mawra?

— Proroka Habakuka? A jakże! Należy do najpiękniejszych wspomnień mego dzieciństwa. Ostatnio nic o nim nie słyszałem, myślałem, że zmarł.

— Nie, nie zmarł, proszę pana, wręcz przeciwnie. Dziś rano znów zaczął prorokować.

— To świetnie! Zaraz jutro zejdę i posłucham go. A dlaczego to ma być kłopot?

— Bo cała wieś zbiegła się i wszyscy potracili głowy. Porzucili pracę.

— A co Pierce mówi?

— Żeby ludzie odprawiali pokutę, bo nadszedł koniec świata.

— A skąd stary Habakuk ma tak dokładną informację? Może są jakieś znaki na słońcu i na księżycu?

— Powiada, że jeszcze nie ma, ale wkrótce będą. Na razie...

— Well...

— Zjawili się jeźdźcy Apokalipsy. Widział ich, jak przez całą noc kręcili się dookoła pałacu, a potem pogalopowali w stronę Pendragonu.

— Ja ich także widziałem — dorzucił Maloney. — Ale skąd wiadomo, że byli to „eukalipyty” albo jak im tam?

— Sprawa zaczyna być interesująca — powiedział Osborne wstając z krzesła — doktor także widział jeźdźców, a jego trudno by posądzić o skłonności prorocze.

Błada twarz pastora wyrażała coraz większe zaniepokojenie.

— Moja siostra także słyszała tętent koni... Biedaczka, miała niedobłą noc, jak to zwykle, kiedy wieje silny wiatr... Sądziłem, że jej się to tylko wydawało... Panie Osborne, jak pan to sobie tłumaczy?

— Chwilowo nijak. Ale właściwie co w tym niezwykłego, że ktoś jeździł dookoła Llanvygan?

— Słowo... słowem... — jąkał pastor chwytając za poręcz krzesła — pan także uznaje,

że w słowach starego Pierce'a może być prawda?...

— Well — odparł Osborne. — Ale czy Padre nie uważa tego za przesadny patriotyzm lokalny, by jeźdźcy Apokalipsy właśnie w Llanvygan rozpoczęli swoje tournée po Europie? Uważam za bardziej prawdopodobne, że zjawiają się w jakimś centralnym punkcie, w Londynie, w Paryżu, a przede wszystkim w Rzymie, gdzie Antychryst siedzi na tronie papieskim.

— Nie o to chodzi, proszę pana... Co innego miałem na myśli... Coś, co może się dziać tylko w Llanvygan... Ale trudno mi o tym mówić.

— A to czemu?

— Ze względu... na szacowną rodzinę.

— Na jaką rodzinę?

— Na rodzinę Pendragonów.

— Nie mogę sobie wyobrazić, co pan ma na myśli — powiedział Osborne po dłuższym milczeniu.

Pastor załamywał ręce. Wreszcie podjął grobowym głosem, jakby recytował wyuczoną lekcję:

— Wszyscy doskonale znamy rodzinne i miejscowe tradycje, historie i legendy, które łączą się z osobą Asapha Christiana, szóstego earla of Gwynedd. Wszystkie te legendy oraz...

— Nocny jeździec! — krzyknęła Cynthia zrywając się z krzesła.

— Tak jest — rzekł pastor z ukłonem. — Miss Pendragon i ja od dawna zbieramy wszelkie dotyczące go dane folklorystyczne. W mniemaniu prostego ludu wyżej wymieniony, szlachetny nieboszczyk zjawia się, ilekroć los kraju lub rodziny Pendragonów znajduje się w groźnej przełomowej sytuacji. Ostatnio widziano go w 1917 roku, kiedy to Niemcy rozpoczęli atak łodzi podwodnych na Wielką Brytanię.

— Tak — odparła Cynthia — ale od tego czasu udało nam się z grubsza wyjaśnić, że mógł to być konny patrol w drodze na wybrzeże.

— Tak... Wyjaśniliśmy... — powtórzył pastor zamyślony. — Bzdura! — krzyknął nagle i zaczerwienił się po uszy. — Od dziesięciu lat, to znaczy odkąd jestem tu pastorem, jeszcze niczego nie wyjaśniliśmy... Wręcz przeciwnie... proszę mi wybaczyć... Ostatnio nerwy odmawiają mi posłuszeństwa... niezmiernie mi przykro...

— Ja na wszelki wypadek pójde zobaczyć tego starego Habakuka — powtórzył Osborne. — Może państwo wybiorą się razem ze mną?

Spacerkiem schodziliśmy do wioski.

*

Prorok siedział przed domem na wygodnym krześle z poręczami: dookoła niego gromada ludzi w skupieniu słuchała cichego głosu starca. Wiekowy prorok wyglądał dość stylowo: miał długą brodę.

Sposób mówienia niczym nie przypominał niespokojnych histerycznych wrzasków w Hyde Parku i na nadzwyczajnych zebraniach Armii Zbawienia. Oczami także nie wywraçał i nie mówił „językami”, jak jego amerykańscy koledzy, którzy traktowali prorokowanie jako dochodowy interes. Mówił powoli, jak pierwszy lepszy stary wieśniak, kiedy opowiada o swoich przeżyciach.

— I tak będzie, dopóki nie zmienicie sposobu życia. Ja nie gniewam się na nikogo. Dobrze wiecie, że mówię w waszym interesie. Sami widzicie, jaka jest sytuacja w całej Walii: w Pembroke i Carnarvon zamknięto kopalnie. Dziesiątki i dziesiątki tysięcy ludzi jest bezrobotnych, a bezrobocie kusi do złego jak diabeł do piekła. Jakiś przybysz z Rhiul opowiadał mi, że nawet morze jest nie to samo, co kiedyś. Rybacy z Anglesea złowili maleńkiego elfa, który przepowiedział, że będzie głód...

Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, co to wszystko znaczy, aż sam dwa tygodnie temu

spotkałem Psa.

Wchodziłem po zboczu Moel-Sych, już zapadał zmierzch. Usiadłem na jakiejś skale. A tu nagle widzę, że u szczytu na łące, ze sto kroków ode mnie stoi Pies. Sierść ma białą jak śnieg, a uszy czerwone jak krew, jak w starych baśniach, które słyszałem od mego dziadka Owaina Gwyn Mawra. Pies rozgrzebywał łapami ziemię. Bałem się podejść zobaczyć, co on tak wykopuje... Ale i tak wiem, że kopał grób dla jakiegoś wielkiego człowieka. Dużo, dużo ludzi pomrze w Walii i Anglii, i to ludzi, co myślą, że będą mieli długi żywot na tym padole.

Wydostał z kieszeni Biblię i odczytał rozdział z „Objawienia” do miejsca: „i daruję ci gwiazdę poranną”, po czym z pamięci kontynuował swoimi słowami:

— Wyniosę księgę z siedmioma pieczęciami, której nikt nie potrafi otworzyć, tylko śnieżnobiały baranek wielkanocny. I kiedy zerwie pieczęcie, anioł zagra na rogu i zjawią się jeźdźcy. Pierwszy jeździec siedzi na białym koniu, w ręku łuk, na głowie korona. Drugi jeździec siedzi na czerwonym koniu i została mu dana moc, by pozbawił Ziemię pokoju. Trzeci jeździec siedzi na czarnym koniu, a w ręku waga. Czwarty jeździec siedzi na białym koniu i na imię mu Śmierć...

I ten, który nie nosi na czole znaku, tego zmiażdży okrutny wyciskacz grona gniewu Pańskiego. Wszystkie wyspy odfruną i nie znajdziecie gór...

Dziś w nocy widziałem jeźdźca. Łeb koński był łbem lwa. Z pyska pluł ogniem i siarką. Wypełnił się czas...

Opamiętajcie się, ludzie, dopóki nie za późno. Łaska boska nie ma granic. Jeśli zaś nie opamiętacie się, to biada wam, biada ci, ludu Walii, twoje dni są policzone.

*

Druga noc zaczęła się o wiele lepiej niż pierwsza. Wiatr ucichł. Toteż po kolacji odbyłem z Cynthia długim spacer w parku przy blasku księżyca: moje myśli kierowały się stanowczo ku przyjemniejszym sprawom.

Cynthia opowiadała o swoim dzieciństwie. Nie był to zbyt pasjonujący temat dla mnie, ale uznałem to za dobry znak. Jeśli człowiek pragnie przyjaźni z osobą płci odmienną, to stara się zapoznać go ze swoją przeszłością, by stał się bliższy sercu.

Wczesnym wieczorem zasnąłem i spałem do pierwszej po północy snem sprawiedliwego. Obudziła mnie głośna rozmowa mężczyzn i kobiet na korytarzu. W pierwszej chwili byłem oburzony, że zakłócają nocny spokój.

Akurat pod moimi drzwiami muszą urządzać zabawę ludową. Na Cejlonie uchodzi za grzech obudzić psa. Następnym razem pojedę na Cejlon.

Mowy nie było o dalszym śnie. Wrzawa przybierała na sile. Stawała się coraz głośniejsza. Mówili po walijsku: ani słówka nie rozumiałem.

Wstałem, ubrałem się byle jak i wyszedłem na korytarz. Zastałem tam znajomego z poprzedniej nocy, Johna Griffitha z dwoma olbrzymami w kostiumach i dwie dziewczyny należące do służby, prawie — bez kostiumów. Scena bynajmniej nie miała charakteru sielankowo-amoralnego. Dziś John Griffith wcale nie wzbudzał strachu. Bluza a'la Szekspir była rozpięta, a spod niej wyzierała nocna koszula. Raczej on był wystraszony. Kolega jego trzymał w ręku halabardę do góry nogami jak miotłę do zamiatania.

— Co się stało? — zapytałem.

Spojrzeli na mnie i nie odpowiedzieli: szwargotali chwilę dalej po walijsku, po czym uciekli.

Ja za nimi dałem susa. Teraz już mnie także ogarniał niepokój.

Zatrzymaliśmy się w przestronnej, prawie pustej sali i nastawiliśmy uszu. Skądś z oddali dobiegły nas przedziwne odgłosy. Jak gdyby ktoś śpiewał, odprawiał modły.

Przebiliśmy do sąsiedniego pokoju, skąd lepiej było słyszeć. John Griffith zwrócił się

do mnie:

— Przed chwilą, proszę pana, mówił po angielsku, ale teraz go nie rozumiem. Może pan wie, o co mu chodzi.

Natężyłem słuch. Zacząłem rozumieć.

— Panem nostrum quotidianum da nobis hodie. Et dimitte nobis debita nostra...

Było to Ojciec Nasz po łacinie recytowane ze śpiewną intonacją, tak jak to ksiądz odmawia podczas mszy.

— Kto tu odprawia mszę?

— Mszę? Boże!... — krzyknęła jedna z dziewcząt i wybuchnęła szlochem. Metodyści walijscy wciąż jeszcze uznają katolicyzm za dzieło diabła.

— I to tak przez całą noc — powiedział Griffith — modli się, jęczy i mówi obcymi językami. A przed chwilą nawet nucił to:

Griffith zanucił „Marsylianę”.

— Ale kto?

— Nie widać go. Szukaliśmy go wszędzie. Bez skutku.

Nagle rozległy się zbliżające kroki. Dziewczyny z piskiem pochowały się w najdalszym kącie. Halabardnik nakierował swoją broń w stronę drzwi.

Drzwi się otworzyły.

Weszła Cynthia przyodziana jakby do konnej jazdy, z rewolwerem w ręku. Widać było po jej twarzy, że rozkoszuje się rolą nieustraszonej amazonki.

— Ręce do góry! — krzyknęła.

Podnieśliśmy ręce. Poznała nas. Opuściliśmy ręce. Cynthia zarumieniła się i przepraszała.

— Czy państwo także słyszą? — zapytała. — Co to jest?

Tymczasem głos ucichł. Griffith przekazał Cynthii swoje obserwacje. Cynthia bezradnie patrzyła przed siebie.

— Śpiewa „Marsylianę” i odprawia mszę. To całkiem nowe motywy w historii rodzinnej, a właściwie nawet w folklorze całej północnej Walii. Trzeba by zanotować na wszelki wypadek.

Znowu rozległy się szybkie kroki i jak bomba wpadł jeszcze jakiś lokaj.

— Jest w bibliotece... z całą pewnością tam jest.

Biegiem rzuciliśmy się w stronę biblioteki. Griffith i pozostała służba stanęli jak wrośnięci w ziemię pod olbrzymimi dębowymi drzwiami. Tak szczerze mówiąc zamknięte drzwi mają w sobie coś przerażającego.

Teraz już wyraźnie słysząc było każde słowo.

— I kiedy zdjął pieczęcie, anioł zatrafił na rogu i zjawili się jeźdźcy... Pierwszy jeździec siedzi na białym koniu, w ręku łuk, na głowie korona...

Duch mówił metalicznym nosowym głosem, ale niewątpliwie akcentem walijskim, a w dodatku sepleniał jak wieśniacy walijscy.

— Przecież to Pierce Gwyn Mawr! — zawołał Griffith.

I rzeczywiście. Co do joty powtarzał słowa proroka.

— To niemożliwe — sprzeciwił się halabardnik — wszystkie bramy są zamknięte, nie mógł wejść do pałacu.

— Duch może wejść nawet przez dziurkę od klucza — pouczyła go jedna z dziewcząt.

— Coś ty? Jak to może być duch Pierce'a — przecież on żyje jeszcze! — wtrąciła druga dziewczyna.

— Może to jego sobowtór?... Mój stryj na przykład spokojnie spał w swoim łóżku, a jego sobowtór urznął się w karczmie „Pod Słoniem” i nazajutrz stryj musiał zapłacić rachunek.

— Musimy wejść — zdecydowałem: domyślałem się już, o co chodzi.

Jedynie Cynthia i ja mieliśmy odwagę wejść. Zapaliliśmy światło i głos z miejsca umilkł. Twarz Cynthii była wystraszona i mocno zaaferowana.

— Wielka chwila — rzekłem — Cynthio, ma pani szczęście być obecną przy narodzinach rodzinnej legendy.

Przeszukaliśmy bibliotekę, zaglądaliśmy za każdą kotarę. Stopniowo weszli pozostali i pomagali nam. Bez skutku. Minęło pół godziny, a głosu nie było słyhać. Wpadłem na pomysł.

— Chodźmy stąd — powiedziałem — to nie tu, a w sali nad nami. Głos spływa przez otwór kominka, dlatego wydaje się, że z biblioteki.

Griffith i jego współpracownicy spiesznie opuścili bibliotekę. Jakoś tak pokierowałem, że Cynthia i ja pozostaliśmy na końcu. Zanim doszliśmy do drzwi, służba oddaliła się korytarzem. Wciągnąłem Cynthię z powrotem do biblioteki, ręką dałem jej znak, by zachowała milczenie, i zgasilem światło.

Chwilę później w ciemności odezwał się duch, kontynuując fragment z „Objawienia” dokładnie tam, gdzie przestał.

Cynthia z przerażeniem chwyciła mnie za ramię. Ja, silny obrońca kobiet, objąłem ją prawą ręką... głaskałem ją po głowie dla dodania otuchy. Pozwoliła.

Błogosławiłem tego poczciwego ducha... Umożliwił mi tę intymną chwilę, która zapoczątkowała wiele intymnych chwil... Teraz już mamy wspólną tajemnicę, a to łączy...

Później trzymając Cynthię za rękę, na palcach doprowadziłem ją do kominka. Teraz już nie ulegało wątpliwości: głos dochodził stamtąd.

Pochyliłem się i latarką kieszonkową oświetliłem kominek z dołu do góry. Tak, miałem rację: w kominku siedział Osborne skurczony jak ludzki embrion, a na jego kolanach spoczywał gramofon, który niewzruszenie prawił o Apokalipsie głosem Pierce'a Gwyn Mawra.

— A kuku! Dość tych żartów, figlarzu, może pan już wyjść!

Osborne wygramolił się z kominka, usmolony, lecz niewątpliwie wielce z siebie zadowolony.

— Dobrze było, co? Zwłaszcza monolog proroka udał mi się. Dziś po południu nagrałem cały wykład starego. Jeżeli państwo nikomu nie zdradzicie, jak to było, to legenda gotowa. Jutro Reverend i jego siostrzyczka wytłumaczą ludziom na zasadzie metafizyki, w jaki sposób prorok mógł głosić prawdę w pałacu Llanvygan, a po stu latach przyszła Cynthia będzie mogła zebrać o jedną legendę więcej i wysłać ją do „Brython”. A teraz zapraszam państwa do mnie: napijemy się po kieliszku hennesy na ten strach.

Pokój Osborne'a widziałem pierwszy raz. Był fantastyczny. Sądzę, że i Osborne wzorował się na jakimś tropikalnym bungalowie. Łóżka nie było, tylko rozpięty hamak: wszelkie meble wykonane z trzciny i wszystko umocowane na ścianach. Wzdłuż ściany przebiegał wąski rowek, a w nim woda.

— To przeciwko wężom — objaśnił Osborne. — Wypij, Cynthio, za braterską miłość. Właściwie jesteśmy współpracownikami. Ja tworzę legendy, a ty je zbierasz i opracowujesz. Doktorze, pan nawet nie wie, jaką słynną folklorystką jest moja siostra. Już dwa jej artykuły ukazały się w druku.

— Przestań! — zawołała Cynthia.

Osborne zdjął ze ściany tygodnik „The Brython”. Czegoś tam szukał, w końcu wskazał na krótki artykuł: „Ludowe tańce na święto Bożego Narodzenia w Merionethshire”. Podpis Hon. Cynthia Pendragon of Llanvygan.

Serdecznie jej pogratulowałem. Cynthia była bardzo zażenowana i bardzo dumna. Sądzę, że nie oddałaby tego za czterdziestu przodków. Takie są kobiety.

— Nie zgadzam się z twoim postępowaniem, Osborne — powiedziała z powagą. — Jeśli tak dalej będziesz sobie poczyniał, uniemożliwisz mi poszukiwanie folkloru. Nigdy już nie będę wiedziała, co jest prawdziwą legendą, a co bujda.

— Ja jestem odmiennego zdania — odparł Osborne. — W dawnych czasach też tak się to działo: połowa cud, a druga połowa — żart.

— Może pan był także tym nocnym jeźdźcem?

W tym momencie rozległ się huk wystrzału.

— Co to! — krzyknęła Cynthia. — Rewolwer...

— Żartujesz — powiedział Osborne — rewolwer w Llanvygan? Ktoś zatrzaskał drzwi!

— Nie, nie. To był strzał rewolwerowy — upierała się Cynthia. — Chodźmy prędko zobaczyć, co się stało!

*

Wypadliśmy na korytarz. Bezradni przebiegliśmy przez kilka sal.

Jakże przerażający wygląd mają sale w nocy. Meble jednostronnie wydłużone, czarne haczyki spod dywanu czepiają się twoich nóg. Tupot zbliżających się kroków, zewsząd wyskakuje przerażona służba... Dziś w Llanvygan jest ich co najmniej dwustu...

Na pierwszym piętrze nic podejrzanego... Spotkaliśmy Maloneya, który wyszedł właśnie ze swego pokoju, w pidżamie, z rozwichrzonymi włosami.

— Także słyszeliście? Jakby strzelano do kogoś...

Zjawił się Rogers, pierwszy lokaj, i przejął rolę głównodowodzącego.

— Niewykluczone, że strzał padł wyżej, na drugim piętrze. Musimy wdrzeć się do apartamentu earla.

Myśli wszystkich skierowały się tam... Cynthia zbladła jak ściana. Może earl targnął się na życie? Może melancholia jego osiągnęła punkt, skąd nie ma wyjścia?... Wszelkie przepowiednie i przecucia sprawdzały się...

Spiesznie wchodziliśmy po wąskich schodach — jedyne wejście do apartamentu earla. Zatrzymaliśmy się przed okazałymi żelaznymi drzwiami, na których widniał herb Pendragonów ze znakiem różokrzyżowców.

— Jak tu wejść? — spytał Osborne. — Te drzwi są zawsze zamknięte.

Rogers wy dobył z kieszeni klucz.

— Na skutek zarządzenia earla mogę wejść tam w każdej chwili, sir.

Otworzył drzwi i wdarliśmy się do środka.

Gdy przeszliśmy przez dwie puste sale, Rogers przystanął.

— Służba zostanie tu — rzekł. — Wystarczy, jak my wejdziemy.

Następne pomieszczenie było przypuszczalnie tajemniczą pracownią earla. W pokoju nie było ciemno. Jarzyło się w nim jakieś nikłe zielonkawe światło, jak w jaskini podwodnej.

Zresztą byliśmy w jaskini, otoczonej wodą. Dookoła wzdłuż ścian ogromnej wielkości szklane akwaria ze sztucznymi skałami wewnątrz. Między skałami rosły przedziwne rośliny, na nieprawdopodobnie długich i skręconych łodygach. A pomiędzy skałami i roślinami pływały potwory, o których nie mogę zapomnieć do dnia dzisiejszego. Prześladowają mnie we śnie, ale jeszcze gorzej, gdy wspomnę je na jawie w ciemności. Miały kształt jaszczurek: tylko o wiele, wiele większe, bo długości metra, niektóre nawet dłuższe, i bez oczu. Był to rodzaj mięczaków: bezbarwne, przezroczyste, galaretowate zwierzaki. Na skroniach wyrastały im fantastyczne, pstrokate bukietki. Miały tylko dwie nogi z przodu przy łbach pozbawionych oczu... Z upiorną powolnością czołgały się pomiędzy sztucznymi skałami.

W następnym pokoju było lodowate zimno jak w zamrażalniku. Przy ścianach ołowiane szafy z szufladami. Pośrodku biały stół operacyjny — a na nim trzy takie zastygłe zwierzaki, różnorodne narzędzia, skalpele, gumowe rękawiczki, słoiczki i strzykawki: earl zapewne jeszcze przed chwilą pracował tutaj.

I rzeczywiście, drzwi naprzeciwko się otworzyły i wyszedł earl w białym fartuchu operacyjnym.

Patrzył na nas nieprzychylnym wzrokiem i nic nie mówił. Wreszcie Rogers ośmielił się odezwać.

— Przepraszam, milordzie... słyszeliśmy huk strzału...

— Tak — odparł earl — ale to jeszcze nie powód do tego rodzaju zbiegowiska.

Potem zrobiło mu się przykro i niemal uśmiechnięty powiedział:

— Proszę mi wybaczyć, zazwyczaj nie przyjmuję tu gości. Może przejdziemy do przytulnego pokoju.

I zaprowadził nas do normalnie urządzonej sali.

— Proszę spocząć...

— Co się stało? — zapytała Cynthia. — Tak się przestraszyłam...

— Strzelano do mnie — odpowiedział z prostotą earl.

Cynthia krzyknęła. Earl podszedł do niej i pogłaskał ją uspokajająco.

— Widzisz, że nic mi się nie stało. W krytycznym momencie pochyliłem się, by podnieść pincetkę, którą wypuściłem z ręki. Sądzę, że gdybym stał wyprostowany... No, ale mniejsza z tym.

Lecz wówczas już wszyscy zerwaliśmy się z krzesel i jeden przez drugiego wykrzykiwaliśmy, zapominając o szacunku, który narzucał nam wszystkim jego sposób bycia.

— Kto? Jak?... Gdzie?

— Proszę, usiądźcie państwo. Przeszukałem całe piętro, ale nikogo nie znalazłem. Czy żelazne drzwi były zamknięte?

— Tak jest, milordzie.

— Wobec tego nie rozumiem tej całej historii. Możliwe, że strzelił ktoś przez otwarte okno... Ale nie, jak by się mógł tam dostać, chyba na skrzydłach... Cynthia... panowie, proszę się uspokoić. Nic złego się nie stało, nawet budynek nie ucierpiał. Państwo wybaczą, chciałbym się położyć.

— Ale na miły Bóg — zawołał Osborne — przecież sprawca niewątpliwie ukrywa się tu na drugim piętrze. Proszę o pozwolenie, abyśmy jeszcze raz przeszukali apartament...

— Nie, nie, synku, to zbyteczne. Rogers i Ifan zostaną tu i razem sprawdzimy wszystko. Idźcie spać, możecie być zupełnie spokojni. Pendragonowie mają niejedno życie!...

Mówiąc to, rzucił na Maloneya i na mnie znaczące spojrzenie. A może mi się tylko tak wydawało?... Chyba nie sądzi, że my...

Łaskawie pożegnał się z nami.

To była długa noc. Godzinami naradzaliśmy się jeszcze: Maloney miał w zanadrzu doskonałe pomysły detektywistyczne, rzekomo prawdziwe ze swego pobytu w tropikach. Zrezygnowałem w duchu z wyspania się choć raz w Llanvygan.

*

Następnego dnia dowiedziałem się wszystkiego. Albo przynajmniej dużo. Maloney i Osborne z gorliwością występowali w roli amatorów-detektywów. Nie wykluczali, że wystraszona służba słuchając upióra — gramofonu Osborne'a — zapomniała zamknąć jedną z bram, przez którą ktoś zakradł się do pałacu. Żelazne drzwi prawdopodobnie otworzył ten ktoś wytrychem, a wychodząc zamknął je za sobą.

Cynthia i ja udaliśmy się do biblioteki. Przeglądaliśmy książki, ale już z mniejszym zapałem niż wczoraj. Byłem niewyspany, a co za tym idzie, melancholijny i niespokojny. Nie miałem już żadnej wątpliwości: sprawdziły się moje przeczucia, wplątałem się w ciemną, niebezpieczną przygodę. Znalazłem się w samym środku obłęzonego pałacu. Najchętniej uciekłbym stąd. Co za pomysł, w mojej obecności polować na hrabiów! Muszę wyjechać: z powrotem do British Museum, do ciszy książek...

— „W czasie wojny milczą Muzy” — powiedziałem pompatycznie. — Sądzę, że przy-

byłem do Llanvygan w najgorszym momencie. Jestem obcym, intruzem, który mimo woli stał się świadkiem, jak znowu fatum zaciążyło na rodzinie Pendragonów. Earl nie spojrział nawet na mnie, odkąd przyjechałem. Przypuszczalnie także nie są mu na rękę moje odwiedziny... Wracam do Londynu. Pragnę jedynie, aby nasza przyjaźń, Cynthio — pozwoli pani tak się nazywać — pozostała prawdziwą przyjaźnią...

— Jeśli pan rzeczywiście jest moim przyjacielem — odparła Cynthia — to nie wyjedzie pan. Choćby dlatego, że... jeśli pan sądzi, iż nie ma tu nastroju, by zajmować się studiami, to proszę zostać ze względu na mnie.

Bezwiednie poruszyłem ręką, jak gdybym chciał ją pogłaskać. Cynthia cofnęła się spłoszona.

— Bardzo mi przykro, ale obawiam się, że pan mnie źle zrozumiał. Pana obecność tu jest konieczna. Potrzebuję kogoś, do kogo mogę mieć zaufanie.

— Wobec tego zostanę, dopóki nie wyrzucą mnie siłą. Ale pani wybaczy... Nie mogę sobie wyobrazić, w czym mogę być pani pomocny? Mówiąc szczerze na folklorze niewiele się znam...

— Doktorze, proszę mi uwierzyć, że w tej chwili najmniej dbam o folklor. W grę wchodzi zupełnie coś innego. Życie mego stryja.

— Jak to? Czy pani naprawdę myśli, że wczorajsza historia może się powtórzyć?

— Nie myślę. Wiem na pewno.

— My dear... Pani wciąż jeszcze jest pod wpływem wczorajszego strachu.

— Doktorze, pan nie jest wtajemniczony... Nigdy nie mówiłam i nie wspominałam o tych sprawach, ale dziś... dziś nie mogę milczeć dłużej... W ciągu ostatniego miesiąca to trzeci zamach na mego stryja.

— Doprawdy?

— Tak.

— W jakich okolicznościach to się stało?

— W pierwszym wypadku byłam także obecna i niewiele brakowało, abym przyptaciła życiu. Było to tak. Stryj i ja byliśmy nad morzem w Llandudno. Wracaliśmy otwartym samochodem „delage”, ja prowadziłam. Nagle stryj krzyknął na mnie, abym zatrzymała wóz, i nie czekając, sam tak gwałtownie szarpnął hamulcem, że prawie wylecieliśmy z samochodu. Wysiedliśmy... Zaledwie dziesięć metrów od miejsca zatrzymania była rozpięta na dwóch drzewach stalowa lina, dokładnie na wysokości głowy siedzącego w samochodzie człowieka. Gdybyśmy jechali dalej z tak szaloną szybkością, głowy nasze zostałyby ścięte przez linę.

Skóra mi ścierpła.

— A co było wprost zdumiewające — ciągnęła — to to, że stryj intuicyjnie przeczuł niebezpieczeństwo. Zapadał już zmierzch. Liny nie spostrzegłby człowiek mający nawet najlepszy wzrok. Stryj nie mógł mi wytłumaczyć, jakim cudem spostrzegł pułapkę, i dodał, że to dzięki czarodziejce rodzinnej Tylwyth Teg... Ale był to chyba tylko żart. Aluzja do mojego zamiłowania folklorystycznego.

— A jaki był drugi wypadek?

— Nie wiem dokładnie. To stało się nie tutaj, tylko w Londynie, w Pendragon House. W kilka dni potem, kiedy poznał pana u lady Malmsbury-Croft. Stryj wrócił do domu nieoczekiwanie. O wiele wcześniej, niż to zaplanował. Mnie jedynie zdradził, że usiłowano go zamordować... Ale to wszystko wydało mi się jakieś dziwne...

— Czemu?

— Well, powiem, a pan może snuć swoje domysły. Otóż stryj twierdził, że doprowadzono trujący gaz do jego pokoju... Ale dodał... że gaz mu nie szkodzi, bo już na wojnie...

W tym drugim wypadku naturalnie nie wierzyłem. Earl, jak wiele ludzi o słabym systemie nerwowym, miał idée fixe, że dybią na jego życie i chcą go otruć gazem. Całe szczęście, że równocześnie był przekonany, iż gazy mu nie szkodzą.

— W tej sytuacji rozumiałe, że earl nie ma żadnej ochoty gawędzić ze mną o siedemnastowiecznej mistyce. Kto inny w podobnym przypadku odwołałby po prostu zaproszenie.

— To nie byłoby gentlemanlike.

Teraz zaczynały mi się kojarzyć niektóre sprawy; nagle doznałem olśnienia.

— Czy pani wiadomo, że Maloney i ja jesteśmy tu pod ścisłą kontrolą?

— Urojenie — odrzekła Cynthia.

— Miewam urojenia — nawet często... Ale w tym wypadku przemawiają fakty. Wyjęto kule z mojego rewolweru. Przeszukano moje walizki. Właściwie z miejsca powinienem stąd wyjechać, ale jakoś... Wszystko to było tak nieprawdopodobne, że nie dopuszczałem do świadomości tego absurdalnego podejrzenia.

Cynthia patrzyła teraz na mnie z rozpaczą.

— Boże!... to straszne... Ale, doktorze, niechże pan spróbuje zrozumieć, w jakiej niezwyklej sytuacji się znajdujemy... I kto wie, czy stryj nie otrzymał wiadomości o dalszych, grożących mu niebezpieczeństwach...

A mimo wszystko, błagam, niech pan zostanie — ciągnęła dalej Cynthia. — Rozumiem, jakim poświęceniem jest dla pana zostać tutaj wiedząc, że może zaciążyć na pana tak straszliwe podejrzenie... Ale ze względu na mnie... doktorze, mam do pana bezwzględne zaufanie, ja, członek rodziny Pendragonów, z całą ufnością powierzyłabym panu swoje życie... Stryj zawsze mawiał, że człowiek, który lubi książki, nie może być złym człowiekiem. Pan zobaczy, wkrótce on także będzie miał rozeznanie w sytuacji i usatysfakcjonuje pana pod każdym względem.

Ale do tego czasu — nalegała wyciągając do mnie rękę — bardzo pana proszę, niech pan nie zostawia mnie samej. Nie mam nikogo. Stryj zamyka się u siebie... Osborne jest nieobliczalny. Doktorze... ja się boję w tym pałacu...

Pogłaskałem jej rękę i przyrzekłem pozostać.

Wiedziałem, że niczym nie przypominam młodych bohaterów filmowych, dla których fraszką jest znokautować kilkoma ciosami cały świat gangsterski Nowego Jorku, jeśli damie ich serca grozi niebezpieczeństwo... Ale tu chodzi nade wszystko o pomoc moralną: nie zostawić Cynthii samej z jej strachem i pomóc w wykryciu tajemniczy.

— Cynthio — spytałem — czy pani nie domyśla się nawet, kto może czyhać na życie earla?

— Nie, nie mam pojęcia.

— Może spadkobiercy Williama Roscoe? — powiedziałem w nagłym olśnieniu. Przypomniałem sobie mgliste sprawy, o których opowiadał Maloney w night-clubie owej pamiętnej nocy.

— Kogo pan ma na myśli? — spojrzała na mnie ze zdumieniem.

— Jak to! Cynthio, czy pani nie słyszała o Williamie Roscoe?

— Ależ tak! Był to przyjaciel stryja... przebogaty człowiek... chwileczkę... tak, już sobie przypomniałam... Ciotka, duchess of Warwick, zwróciła mi uwagę, aby nie wspominać jego nazwiska w obecności stryja... Ale nie pamiętam już, dlaczego... doktorze, może pan wie?... niechże mi pan powie..

— Ja doprawdy nie wiem nic konkretnego poza luźno rzuconymi uwagami nieobliczalnego człowieka.

— Nie szkodzi, niech mi pan wszystko opowie.

— William Roscoe sporządził testament następującej treści: majątek, który w zasadzie powinien przejść w posiadanie małżonki, ma odziedziczyć earl of Gwynedd, w wypadku, gdyby on — Roscoe — umarł śmiercią nienaturalną, gdyż podejrzewał, że żona ma zamiar go zamordować.

— No i?

— Później William Roscoe zmarł na jakąś egzotyczną chorobę, tę samą, na którą zmarł

także pani dziadek, siedemnasty earl of Gwynedd. Całą fortunę Williama Roscoe odziedziczyła żona i nie wiem kto jeszcze. Spadkobiercy sądzą, że earl of Gwynedd usiłuje udowodnić, iż oni z premedytacją zarazili Williama Roscoe tą tropikalną chorobą. Gdyby earlowi of Gwynedd udało się to udowodnić, to odziedziczyłby cały olbrzymi majątek. Spadkobiercy w przeświadczeniu, że tajemnicze eksperymenty earla w laboratorium mają to właśnie na celu, ze strachu czyhają na jego życie.

Cynthia zastanawiała się w milczeniu.

— Ależ to bzdura — rzekła w końcu — dociekania earla mają charakter czysto teoretyczny. Pewnego razu tłumaczył mi sens swojej pracy. Zajmują go podstawowe problemy biologiczne, istota życia, czym się różni to, co jeszcze żyje, od tego, co już nie żyje, i co się może dziać w tym przejściowym okresie.

— Ale to bynajmniej nie uspokaja przerażonych spadkobierców Williama Roscoe.

— To prawda, ale nie mogę pojąć, co mogłoby skłaniać earla do zdobycia ich majątku? Przecież nie jesteśmy biedni... Zresztą byłoby niegodne earla of Gwynedd zadawać sobie tyle trudu, by powiększyć swój stan majątkowy. Nie zgadza się to z charakterem mego stryja. Majątek można tylko dziedziczyć i tylko po krewnych.

— A może w grę wchodzi jakieś inne motyw... zemsta za doznane krzywdy albo Bóg wie co...

— To wszystko mało prawdopodobne. Przypuszczalnie kryje się za tym jakaś inna tajemnica, prastare porachunki... przecież ostatnio jak gdyby wszyscy przodkowie zjawili się... Pierce Gwyn Mawr prorokuje kataklizm. Widziano nocnego jeźdźca...

— Czy earl ma wrogów?

— Nie wiem. W ogóle niewiele o nim wiem. Osborne i ja mieszkamy w Llanvygan dopiero trzy lata, od śmierci matki. Przedtem bardzo rzadko go widywałam. Jedno wiem, że earl jest najwspanialszym człowiekiem pod słońcem. Tacy mogli być ongiś magnaci, którzy nie dokonując żadnego niezwykłego czynu, bez mędrkowania pokazali epoce, że istnieje piękniejsze życie niż samo życie. Trudno określić, co w nim tkwi, że wszyscy darzą go takim szacunkiem, ale jeżeli szlachetna krew ma jakąś istotną głębszą treść, to on jest chyba tego dowodem. Nie mogę sobie wyobrazić, że mógłby mieć wrogów. Jest wyższy ponad to, by mieć z kimkolwiek i jakiegokolwiek konflikty. Dlatego nie ma też przyjaciół.

Tak... tak właśnie oceniałem earla, jak Cynthia to określiła... Są ludzie, którzy po to się rodzą, aby inni z radością im służyli. Trudno mi wyjaśnić niewytłumaczalną sympatię, siłę magiczną, która przyciągała mnie do Llanvygan. Był w tym snobizm, ciekawość intelektualna, no i trochę miłość. A ponadto w zakamarkach duszy człowieka tkwi służalczość lennika.

Gdybym był błędnym rycerzem, zaofiarowałbym swoje usługi kasztelanowi i prosiłbym kasztelanekę o wstęgę, by nosić ją na tarczy.

O, gdybym był błędnym rycerzem!

Ucałowałem rękę Cynthii, która ze wzruszeniem patrzyła na mnie, na swego rycerza: kasztelanekę z gotyckiego okna. Wypowiedziane szeptem, nie związane ze sobą słowa zawierały więcej niż wyznanie miłosne.

Z gruzów minionych lat wynurzyło się napełnione szczęściem moje lepsze ja. Szkoda, że chwile, kiedy człowiek czuje się szlachetny, nieskazitelny, czysty, tak szybko przemijają i pozostaje marne ja, o którym nie wypada mówić inaczej jak tylko z taktowną pobłażliwością i lekką ironią.

*

Następne dni mijały nader spokojnie i przyjemnie. Nie działo się nic niezwykłego, co by mogło zakłócić sen sprawiedliwych.

Lato nic nie straciło jeszcze ze swego uroku. Park był tak piękny jak park, gdzie czło-

wiek spaceruje z młodą dziewczyną. Dużo grałem w tenisa, pływałem, opalałem się, słowem, spokojnie spędzałem lato w cieniu niebezpieczeństwa, niczym milionerzy u podnóża niebo-siężnych, pokrytych wiecznym śniegiem gór.

Stopniowo zadomowiłem się także w bibliotece pałacu i podjąłem na nowo studia, dokładnie w tym miejscu, gdzie przerwałem w British Museum.

Biblioteka istotnie była przebogata, zwłaszcza w materiały z XVII wieku. Ze wzruszeniem brałem do ręki traktaty o mistycyzmie, które znałem jedynie z opisów bibliograficznych, gdyż nawet British Museum nie miało ich w swoim posiadaniu.

Rzucała się w oczy ilość książek niemieckich z XVII wieku. Z jakimś dziwnym uczuciem obracałem w rękę oryginalne wydania Simon Studion Naomachia. Paracelsusa, Weigla, Johanna Valentina Andreae. Książki te zapewne Asaph Pendragon przywiózł ze sobą z Niemiec, gdzie przebywał w młodości: nad tymi książkami rozmyślał wraz ze swoim przyjacielem Robertem Fluddem. Za starymi gotyckimi literami kryły się magiczne sekrety przyrody. Siedząc w półmroku, ja, zwykły śmiertelnik, w cieniu olbrzymich półek z książkami, oczyma duszy widziałem pielgrzymkę wieków przeciągających w odwróconej kolejności. Gdzie się podziali Stuartowie, a gdzie Cromwell?... Lecz pozostały dzieła i odwieczne pragnienie człowieka...

Miałem wrażenie, że jeślibym otworzył drzwi, ukazałby się obraz epoki Asapha Pendragona. Niekiedy ogarniało mnie dziwne, sprawiające ból szczęście. To ja czułem się wiekowym starcem, który przez zapomnienie pozostał tutaj z epoki foliałów i który z obcością gapi się na dzisiejszych ludzi.

Słowem, byłem w lirycznym nastroju. Od czasu do czasu starannie kleiłem jakiś angielski sonet. Kochałem się w Cynthii. Może kreśląc te słowa najbardziej zbliżam się do prawdy za cenę podwójnego kłamstwa. Bo nie byłem zakochany, a jeśli już, to nie w Cynthii.

W ogóle nie byłem kochliwy. Chyba we wczesnej młodości. Ale dajmy na to, że tę przyjemną wibrację w krążeniu krwi można by nazwać miłością, to było to dziełem nie Cynthii, lecz kasztelanki na Llanvygan.

Wartość, a może raczej powab kobiety stanowi tło jej dobrej czy też złej sławy, jej byli kochankowie lub obcy kraj, skąd przybyła. Miłość to jakby staromodny landszaft: na pierwszym planie drobna postać — dama, którą kochamy, a za nią góry i rzeki, bogaty barwny krajobraz.

Krajobraz Cynthii stanowiły Llanvygan i Pendragon, baśnie walijskie i angielska historia. Szczęśliwiec, który poślubi Cynthię, dostanie w posagu nieprzemijające jamby Szekspira i Milтона.

Jednakże prawdziwą Cynthię cechowała prostota i serdeczność: była bezpośrednia, jak zwykle prawdziwi arystokraci przy bliższym kontakcie. Nie należała do dam z wielkiego świata. Nie miała w sobie nic z wymagań i kaprysów rozpieszczonych pańienek. Z powodu niedawnej śmierci matki późno została wprowadzona do salonów i mało udzielała się towarzysko.

Szczerze i nieukrywanie cieszyła się moją obecnością w Llanvygan, gdzie spędzała tyle ponurych i samotnych miesięcy. Przyjaźń nasza z dnia na dzień stawała się coraz bliższa. Lubiła sporty, ale z umiarem, natomiast była zapalonym piechurkiem, jak ja, i popisując się swoją wiedzą folklorystyczną, promienna z radości pokazywała mi ciekawsze zakątki okolicy.

Była rozmowna. Stopniowo nabierałem rozeznania w labiryncie garden parties, w których brała udział, i dowiadywałem się wszystkiego o jej przyjaciółkach. Cynthia nie miała zbyt dobrego mniemania o zaprzyjaźnionych pannach, które nie interesowały się folklorem. Jedną jedyną przyjaciółkę po prostu uwielbiała — mężatkę, której nazwiska mi nie ujawniała. Przyjaźń tę otaczała jakąś romantyczną tajemniczością. Byłem o nią zazdrosny.

Zazdrość moja nie była bezpodstawna, gdyż głos, jakim o niej Cynthia mówiła, tchnął

miłością. Cynthia w swojej naiwności nie tajiła gorących uczuć, wszakże szło o kobietę. Przyjaźń ta wielce podniecała moją fantazję, a Cynthia, by mnie złościć, stała się jeszcze bardziej tajemnicza.

Często odwiedzała mnie w bibliotece; na krótko. Nie chciała mi przeszkadzać w studiach, ja zaś nie zdradziłem, jak bardzo osobisty charakter mają moje studia: nie chciałem narazić na szwank swego autorytetu. Pewnego razu jednak przyłapała mnie na gorącym uczynku, kiedy to, zgromadziwszy przed sobą górę starych ksiąg, w jakimś transie wlepiłem wzrok w herb różokrzyżowców na skórzanej oprawie.

— Co panu jest? — spytała nieco wylękniona.

— Godło... różokrzyżowców... — odrzekłem.

— Doktorze, już od dawna miałam zamiar poprosić pana, by opowiedział mi pan o różokrzyżowcach. Wiem zaledwie tyle, że moi przodkowie do nich należeli.

— Inni także niewiele więcej o nich wiedzą, Cynthia. Wszelkie źródła zgadzają się co do jednego, że pierwsi wolnomularze w Niemczech w XVII wieku taką sobie nadali nazwę. Ale różokrzyżowcy nie mieli jeszcze wypracowanego sposobu wytwarzania złota. Z Niemiec różokrzyżowcy przenieśli się do Anglii: Robert Fludd i pani przodek, Asaph Christian, szósty earl of Gwynedd, byli ich przywódcami. Głosili swoją niewidzialność i po dziś dzień ich postacie otacza jakaś przedziwna nieuchwytność. Kiedy człowiek jest przekonany, że wreszcie dotarł do sedna sprawy, okazuje się, że ma do czynienia z fałszerstwem lub legendą... Descartes przemierzył wzdłuż i wszerz całe Niemcy, by natrafić na jednego żyjącego różokrzyżowca, ale bez skutku...

— Ale pan, doktorze, zapewne wie o nich wszystko.

— To miło, że pani tak sądzi. Ale są to jedynie przypuszczenia. Proszę spojrzeć, mam przed sobą te cztery księgi, które ówczesni znawcy uważali za autentyczny dokument różokrzyżowców. Ta gruba księga to „Chymische Hochzeit Christiani Rosenkreutz.”

— Dear me, na okładce jest trupia czaszka. Co to znaczy?

— Powieść alegoryczna. Później sam autor twierdził, że to mistyfikacja, parodia alchemików. Istnieje prawdopodobieństwo, że myślał poważnie.

— A ta?

— To dwa małe traktaty razem wydane, mają niebywałą wartość. Ten pierwodruk ukazał się w Kassel w 1614 roku. Jeden z nich, „Allgemeine Reformation”, to niewątpliwie dzieło satyryczne. Autor wyśmiewał różokrzyżowców i im podobnych. Drugi traktat to „Fama Fraternitatis R.C.”, czyli Roseae Crucis „Sława bractwa różokrzyżowców”. Ten traktat napisany jest z powagą. Ale przez kogo? Mamy tu jeszcze trzeci traktat „Confession Fraternitatis R.C.”. Także potraktowany poważnie, ale niedorzecznie.

— Doktorze, kto był ten różokrzyżowiec?

— Lekarz-cudotwórca i alchemik, który według „Fama Fraternitatis” przywiózł z Arabii ze sobą wszelkie mądrości Tajemniczego Grodu, gdzie żyli mędrcy arabscy. Ale to tylko legenda. Nie wiemy nawet, gdzie ów lekarz-cudotwórca żył, o ile żył w ogóle. Rzekomo później zmarł i go pochowano. I od tego momentu legenda zaczyna być interesująca.

— Doktorze, proszę mi opowiedzieć! Pan wie przecież, że legendy to moje hobby.

— Wiem, ale to nie baśń ludowa. Ta ma jakiś dziwny nastrój. Budzi we mnie niepokój, nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego. Proszę posłuchać, Cynthia. Po śmierci różokrzyżowca uczniowie jego przejęli Dom Św. Ducha, który on wybudował. Po wielu latach pewien ówczesny wielki mistrz zamierzał dokonać restauracji budynku...

Cynthia, jeżeli pani pozwoli, przetłumaczę pani ten fragment z niemieckiego.

...Wówczas natrafił na tablice pamiątkowe z miedzi, na których widniały nazwiska tych, co należeli do fraternitas i jeszcze kilku innych mężczyzn. Tablice te pragnął przenieść do innej odpowiedniejszej sali. Gdzie i kiedy zmarł brat różokrzyżowiec i w którym miejscu został pochowany, pozostało tajemnicą naszych przodków i myśmy o tym także nie wiedzieli.

Z tablicy wystawał długi gwóźdź i kiedy go z trudem wyciągnięto, z cienkiej ściany wypadł kamień albo inkrustacja, mieszcząca się nad ukrytymi drzwiami, które niespodziewanie się ukazały. Zafascynowani tym odkryciem, rozebraliśmy ścianę i odsłoniliśmy drzwi, na których wielkimi literami widniał napis:

POST CXX ANNOS PATEBO

(Otworzę się za sto dwadzieścia lat). A pod tym ówczesna data. Wieczorem tegoż dnia przestaliśmy dalej czytać... Rano otworzyliśmy drzwi: znaleźliśmy się w sali o ścianach siedmiokątnych. Każda ściana miała pięć stóp szerokości, a osiem stóp wysokości. Do tej sali zapewne nigdy nie zaglądało słońce. Oświetlało ją inne, na podobieństwo prawdziwego słońca, ciało świetlne, które wisiało u góry pośrodku sali. U dołu mieścił się grobowiec, a na nim okrągły ołtarz, przykryty płytą miedzianą z napisem:

A.C.R.C. HOC UNIVERSI COMPENDIUM VIVUS MIHI SEPULCHRUM FECI

(Za życia kazałem sobie wybudować ten grób na podobieństwo wszechświata).

— Co to ma znaczyć? — spytała Cynthia.

— Podłoga była podzielona na wzór pięciu kontynentów, sklepienie zaś przedstawiało kopułę niebios. Tam w sali znaleźli tajemnicze księgi, które strzegą Ostatecznych Mądrości różokrzyżowców, i przyrzady nieodzowne do uprawiania okultyzmu.

— I co dalej?

— Relacja „Fama Fratemitatis” tu się urywa, dając tym samym do zrozumienia, że byłoby jeszcze wiele do opowiadania, lecz niestety nie jest to przeznaczone dla niewtajemniczonych... Natomiast nieautentyczne traktaty różokrzyżowców wspominają, iż otworzyli grobowiec i znaleźli w nim zwłoki mistrza, olbrzymiego starca, którego ciała nie naruszyły wieki: leżał w swoim grobie, jakby żył i spał.

— Wydaje mi się, że rozumiem, dlaczego pana tak pasjonuje ta historia... Odnoszę wrażenie, jakbym już słyszała o niej. Proszę się nie śmiać ze mnie, ta historia ma jakiś walijski posmak. Ludzie Walii nigdy nie mogli się pogodzić z faktem, kiedy umarł ich wielki człowiek. Wiele przepowiedni głosi, że ludzie powstaną z grobów, kiedy nadejdzie Sąd Ostateczny. Tak czeka król Artus na wyspie Avalon, tak śpi w krzewach zaczarowany Merlin i tak gotuje się do boju Owain Krwaworęki, uzbrojony po zęby...

— Mój Boże — odparłem — to nie tylko Walijszczy... Trudno sobie wyobrazić czyjąś śmierć...

— Doktorze, czy panu nigdy nie przyszło na myśl, że... . śmierć... że być martwym... to tylko stan przejściowy ciała, jak powiedzmy sen, choroba, młodość... i że gdyby umiano konserwować ciało, śmierć zniknęłaby?... Niech pan pomyśli o clavelinie.

— Nie pomyślę.

— A czemu nie?

— Bo nie wiem, co to jest.

— Clavelina to przezroczyste zwierzątko wodne, coś w rodzaju lilii morskiej. Jeżeli warunki jego bytowania stają się niekorzystne, stopniowo zmniejsza swoje narządy: głowa, serce, żołądek zanikają i z całego zwierzątka zostaje zaledwie cząstka. A kiedy warunki życiowe stają się korzystne, clavelina na nowo rozwija swoje narządy.

— To ciekawe — wtrąciłem — metafizyka Fludda w pewnym sensie nawiązuje do takich zjawisk jak clavelina. Według niego intelekt i życie niekiedy wycofują się z materii. Materia także powstała w ten sposób, że Bóg, który na początku wypełniał całą przestrzeń, cofał się w siebie i pozostawiona próżnia stanowiła materię.

— No widzi pan! Wobec tego czy nie może tak być, że życie skupia się w jednym

punkcie ciała, a pozostała część leży martwa — aż się obudzi na nowo?... Doktorze, pan zna nasze credo: „Wierzę w zmartwychwstanie ciała”. Ale widzę, że temat nie przypadł panu do gustu. Jestem za bardzo Celtyczką. Mówią, że Celtowie wiecznie buntują się przeciwko tyranii faktów... Może lepiej opowie pan, do czego zmierzali różokrzyżowcy?

— Niestety z ksiązek nic konkretnego nie wynika. Wierzący znajdowali w nich to, w co chcieli uwierzyć. Szczególnie dumni byli ze swych czterech umiejętności: przemieniania minerałów w złoto, nieograniczonego przedłużania życia, przewidywania przyszłości i kaba-listyki, za pomocą której mogli rozwiązać wszelkie tajemnice świata.

A przy tym nie cieszyli się bynajmniej szczególną popularnością — ciągnąłem dalej. — W 1623 roku na przykład w Paryżu strach przed różokrzyżowcami stał się istną psychozą. W ówczesnych restauracjach i bistrach zjawiali się goście, a kiedy dochodziło do regulowania rachunków, po prostu znikali, jeśli zaś płacili złotem, po ich odejściu zamieniało się ono w błoto. Bogobojnych francuskich mieszczuchów często budził nocami ktoś obcy, siedzący przy ich łóżku, po czym bez słowa znikał. Paryżanie reagowali na te potworności w swoiście usankcjonowany sposób: klęli na cudzoziemców. Obawiam się, że niektórzy rzucali się na wszystkich obcokrajowców.

— Doktorze, czy był pan we Francji?

— Tak. Nawet nie raz.

— A czy po francusku mówi pan tak płynnie jak po angielsku?

— Mniej więcej.

Zmierzchało. Mimo to spostrzegłem, że Cynthia patrzy na mnie z coraz większym zachwytem.

— Doktorze, pan jest jak Encyclopaedia Britannica. Pan wie chyba wszystko.

— Mnóstwo — odpowiedziałem powściągliwie.

— Zapewne zna pan nawet sanskryt?

— Płynnie — odparłem.

Cynthia uwierzyła.

— To zna pan także rosyjskich pisarzy. Niechże mi pan opowie coś o Dostojewskim albo o Beli Bartoku. Mam przyjaciółkę, która często mówi o nich.

— Bartoka nie widziałem na oczy — kłamałem jak z nut, zdumiony jej nieuctwem. — Ale starego Dostojewskiego znałem bardzo dobrze. Razem z moim ojcem chodził do szkoły podstawowej i często bywał u nas na kolacji Brodę miał jak Pierce Gwyn Mawr.

— Szczęściar z pana, że już w dzieciństwie poznał pan tak sławnych ludzi. Może mi pan powiedzieć, dlaczego Aix-la Chapelle nazywa się po niemiecku Aachen?

Nie powiedziałem. Po pierwsze dlatego, że nie wiedziałem, a po drugie dlatego, że nagle ujrzałem Cynthię we właściwym świetle i byłem wściekły na samego siebie. Kobiety zawsze mnie oszukują. Chwilami zachowują się jak całkowicie rozumne istoty. W tych wypadkach taki poczciwy filolog jak ja zaczyna na serio mówić z nimi na różne tematy w przekonaniu, że kobietę interesuje to, co się jej opowiada. A przecież nie zdarzyło się jeszcze, by kobietę doprawdy zajmował jakikolwiek problem naukowy bezinteresownie. Kobieta albo chce pochlebiać mężczyźnie i słucha go z uwagą, albo po prostu chce się uczyć, co jest jeszcze gorsze. Jedna chce zdobyć pieniądze, inna zaś wiedzę, ale wyłącznie z wyrachowania, aby przywdziać attitude wykształconej kobiety niczym wieczorowy strój.

Wstałem i ze złością spacerowałem po pokoju. Cynthia z głębi fotela, pogrążona w myślach, przyglądała mi się spojrzeniem dalekim, rozmarzonym i wyniosłym, jak bohaterka walijskiej baśni z Krainy Czarów, do której człowiek przebywający tam choć raz we śnie będzie tęsknił.

Kiedy w myślach przeprowadziłem szczegółową analizę walorów umysłowych Cynthii, nagle coś się we mnie wyzwoliło — zrobiło mi się lżej, znowu spostrzegłem, jaka ona piękna i młoda. Nie potrafię obdarzać uczuciem kobiety, którą uważam za bardzo mądrą. Dla mnie

osobiście byłoby to równoznaczne z homoseksualizmem. Ale teraz, kiedy zrozumiałem, że Cynthia to tylko jedna z wielu miłych gąsek, ze swadą zacząłem się zalecać.

— Cynthia — rzekłem — nie mogę sobie darować, że tyle czasu trwonilem nad książkami. Życie ucieka... niedawno byłem chłopcem i nagle stałem się dojrzałym człowiekiem. Nie wiadomo jak i kiedy... i obawiam się, że ani się obejrzę, jak będę długobrodym starcem. I co będę miał z życia? Nic... Stracę pamięć, zapomnę wszystko, co czytałem. Patrząc wstecz na minione lata będę musiał stwierdzić, że przez całe życie byłem sam jak ten palec...

Pokój zalegała już ciemność. Stałem przy oknie: niezwykle nastrojowy zmierzch malował się na płótnie niebios. Sentymtalne wyznania w takich chwilach mają podwójną siłę. Twierdzę to na podstawie literatury i swoich własnych doświadczeń. Czas przejść do argumentów osobistych.

— Nigdy nie spotkałem u nikogo tyle zrozumienia... Cynthia, pani jest pierwszą kobietą, której ośmielałem się odkryć swoje myśli szczerze i otwarcie. Dziwne uczucie ogarnia mnie w bliskości pani... może kiedyś była pani moją siostrą albo moją żoną?...

Stary Goethe przewracał się w grobie.

Cynthia wstała rozmarzona i podeszła do mnie... Nareszcie. Na to czekałem. Teraz już na pewno nie dostanę w zęby. Teren przygotowany. Lecz zanim zebrałem na odwagę, by przystąpić do ataku, Cynthia z nutą wzruszenia w głosie zapytała:

— Doktorze, czy pan umie także obliczać logarytmy?

— Nawet bez tablic — powiedziałem. Objąłem ją i pocałowałem. Cynthia długo bez sprzeciwu tuliła się do mnie. Promienne wiosenne dni, połyskujące jeziora, błękitne niebo przed moimi oczami — jakbym siedział w pędzącym pociągu. Życie jednak jest piękne.

W końcu wyzwoliła się z moich objęć. Przez chwilę patrzyła na mnie z zażenowaniem, po czym zapytała:

— Jeszcze nie powiedział mi pan, dlaczego Aix-la Chapelle nazywa się po niemiecku Aachen?

*

Była godzina jedenasta wieczór. Siedziałem w swoim pokoju rozciągnięty w bajecznie wygodnym fotelu easy-chair. Byłem za leniwy, by położyć się do łóżka, a na czytanie zbyt roztargniony.

Wydarzenia ostatnich kilku dni zlewały się w jakieś złociste mgły, w których chwilami błyskały złowrogie niezrozumiałe iskry, budzące we mnie strach: usypiająca atmosfera wiekowego pałacu Llanvygan, wodne potwory earla of Gwynedd, różokrzyżowcy i Cynthia... Cynthia to bogini księżycy — pomyślałem — królowa niebios, mój nowy flirt, a może ongiś moja miłość... Płyne w niej krew earla of Gwynedd, przesiąknięta tajemnicami wieków, Cynthia to szczyt wykwintu prastarej wielkopańskości, to gwiazda polarna... Gratulowałem sobie jak ktoś, kto pocałował gwiazdę polarną, Elżbietę angielską i stare sonety... Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Osborne. Jego także lubiłem.

— Pan wybaczy, widziałem światło u pana...

— Proszę bardzo — rzekłem. — Stało się coś? Wygląda pan na zdenerwowanego... Może earl of Gwynedd?

— Stryj mój nie pokazuje się od kilku dni, ale nie o to chodzi... Jeśli tak dalej pójdzie, to w końcu ja też zacznę wierzyć w zabobony. Nie wiem, czy słyszał pan, że Habakuk, ten stary prorok, znikł następnego dnia po ogłoszeniu apokaliptycznej przepowiedni?

— Tak, słyszałem. Reverend tłumaczył wypadek w sposób zadziwiający.

— Odnalazłem starego... ale... czy nie miałby pan ochoty na krótką wyprawę? Ja sam nie dam rady rozgryźć tego orzecha.

— Owszem, bardzo chętnie, włożę tylko płaszcz.

— Maloneya też zaproszę do towarzystwa, o ile nie śpi jeszcze. To coś dla niego.

W pokoju Maloneya świeciło się. Zapukaliśmy, po czym na wezwanie „włazić” — weszliśmy.

Światło się paliło, ale Maloneya ani śladu. Przypomniałem sobie historię niewidzialności różokrzyżowców.

— Gdzie ten człowiek się podział? — Osborne rozglądał się. — Przecież dopiero co mówił!

— Już idę! — rozległ się głos Maloneya z jakiegoś nieokreślonego miejsca, ale z całą pewnością nie z pokoju.

Po chwili w otwartym oknie ukazały się dwie nogi... zwisające. Następnie właściciel tych nóg, Maloney, w czarnym kombinezonie, wskoczył do pokoju.

— Odbyłem trening — rzucił obojętnie.

— Dlaczego w nocy? — zapytałem.

— My, ludzie z Connemary, zawsze w nocy uprawiamy wspinaczkę. Człowiek w nocy nie widzi, musi więc kierować się instynktem. A instynkt działa niezawodnie. Z braku laku — jak nie ma skał, to dobre i drzewa w parku.

— All right. Może pan pójdzie z nami zobaczyć, co porabia nasz stary prorok Habakuk. Radzę wziąć ze sobą linę do wspinaczki.

Wsiadliśmy do „delage'a” i jakieś dwadzieścia minut jechaliśmy tonącą w świetle księżycy szosą. Osborne zatrzymał samochód...

— Stąd pójdziemy piechotą, aby go nie spłoszyć. Nie chciałbym, żeby nas dostrzegł. Wczoraj mnie nie zauważył.

Przez czas jakiś szliśmy szosą w milczeniu. Niczym nie zmacona cisza, ciemniejący w dali ogrom masywu, srebrzysty księżyc wywierały głębokie wrażenie. Nad nami strzelista skała, a na jej szczycie ruiny zamku Pendragon.

Osborne skręcił z szosy kilka kroków w bok i nagle znaleźliśmy się przed gęstwiną zarośli. Przez kwadrans toczyliśmy zażartą walkę z gałęziami, wspinaliśmy się po stromym zboczu, po czym stanęliśmy naprzeciw wysokiego muru.

— To są ruiny muru, który niegdyś otaczał cały zamek — zauważył Osborne. — Gdzieś tu musi być otwór? Ale gdzie? Na prawo czy na lewo?

Po krótkiej chwili znaleźliśmy otwór.

— Spójrzcie, panowie — powiedział Osborne cicho. — Widać po murze, że otwór niedawno wyrąbano. Dawniej trzeba było obejść mur, chcąc dostać się do budynku Llyn-y-Castell. Kto mógł wyrąbać ten otwór i w jakim celu? A teraz, uwaga! Idźcie cicho, na palcach.

Maloney wspinał się bezgłośnie i sprawnie. Pode mną, co tu mówić, wciąż trzaskały gałęzie: moi towarzysze wyprawy obrzucali mnie morderczym wzrokiem. Zatrzymaliśmy się pod stromą ścianą.

— Musimy się wspiąć po niej — rzekł Osborne. — Z tej skały ogarniemy wzrokiem całe jezioro, a my sami pozostaniemy niewidoczni.

Zanim zdążyłem ustalić plan, w jaki sposób się tam dostać, Maloney stał już na szczycie. Odpiął od pasa linę i podciągnął nas: Osborne'a z łatwością, mnie z pewnym wysiłkiem.

— Marna małpa byłaby z pana — rzekł z pogardą.

Pod skałą po drugiej stronie pobłyskiwało jezioro w poświacie księżycy. Widok niezemski. Dookoła wysokie drzewa strzegły spokoju piany płynącej na tafli wody; na wprost nas u podnóża skały ruiny Pendragonu. Jezioro baśniowe — pomyślałem — które zasłania przed oczyma śmiertelników koralowy pałac zaczarowanej królowny.

Pośrodku jeziora w osobliwej, podobnej do balii łódce siedział stary Pierce Gwyn Mawr. Siedział ze splecionymi na piersi rękami, które ukrył pod długą białą brodą. Trwając w bezruchu patrzył w przestrzeń. Oczy miał na wpół przymknięte. Może drzemał.

— Co ten stary dżentelmen tam robi? — zaniepokoił się Maloney.

—: Nie wiem — odparł Osborne — może czeka na czarodziejkę Tylwyth Teg, która mieszka w jeziorze. W każdym razie czeka. Czekajmy i my.

Czekaliśmy długo, leżąc na wznak na skale. Maloney zniecierpliwiony bezczynnością zaproponował rzucić coś do jeziora, by obudzić starego, albo się ulotnić. Niesamowitość miejsca podziałała na tego kierującego się instynktem człowieka jak upiór na psa.

Osborne i ja natomiast oczarowani nie mogliśmy oderwać oczu od baśniowego widoku. Wydawało nam się, że znajdujemy się w środku żywych ilustracji do bajek Andersena. Jak daleki dźwięk skrzypiec zbudziły się we mnie wspomnienia z dzieciństwa.

Nagle starzec uniósł ręce ku niebu i zaczął śpiewać. Dziwnie piskliwy starczy głos nie łączył urywanych tonów w melodię: wyrwał się z niego ton przeciągły, nie harmonizujący z następnym, a to wszystko, ni to śpiew, ni akompaniament — brzmiało niezwykle obco. Słów nie rozumiałem: śpiewał po walijsku.

Nagle rozsunęły się zarośla. Ktoś pojawił się na brzegu jeziora. Stary urwał śpiew, zwrócił się ku przybyszowi i siedząc złożył głęboki ukłon. Obcy stał już na wysuniętym skrawku ziemi w księżycowym świetle: dokładnie widać było każdy rys jego twarzy.

Był to prawie nie spotykanego u człowieka wzrostu starzec w przylegającym do ciała stroju w stylu starohiszczańskim, jakie nosili nocni stróże pałacu. Tylko kołnierz miał inny: szeroki, biały, w kształcie kamienia młyńskiego. No i twarz... twarz posągu, twarz bez wieku. Piękna w swojej wyniosłej godności, lecz pozbawiona nawet cienia ludzkiego wyrazu. Była to twarz boga Północy, ponura i nieruchoma.

Obcy odezwał się po walijsku, głosem cichym, przenikliwym. Pierce sięgnął po wiosła i sprawnie popłynął do brzegu. Wysiadł, łódkę przymocował do pobliskiego drzewa i ucałował rękę obcego, po czym znikł w zaroślach. Obcy trwał w bezruchu jeszcze jakiś czas.

Następnie z wolna zwrócił się w stronę naszej skały, przyglądał się jej uporczywie, jakby nas widział. Maloney wyraźnie przestraszony uczeplił się mego ramienia. To wzajemne patrzeć na siebie wilkiem z ukrycia miało w sobie jakieś straszliwe napięcie. Czułem, że jeszcze chwila i wyskoczę z kryjówek. Maloney wydawał z siebie dziwne, ciche odgłosy.

Obcy odwrócił się do nas plecami i znikł w mrocznym cieniu rozłożystych drzew.

— Możemy iść — rzekł Osborne.

Szybko spuścił się ze skały, a my za nim. Przeprawiliśmy się przez zarośla, przez mur i wróciliśmy na szosę.

Maloney nie był zadowolony z takiego zakończenia.

— I say... Zobaczmy chociaż, dokąd poszli.

Ale Osborne skinął na niego.

Kłusem pobiegliśmy w stronę samochodu „delage”, który samotnie, lecz niezwykle zachęcająco witał nas na szosie.

Po jeziorze, murze i upiornych starcach widok samochodu podziałał kojąco: zwycięstwo techniki, kochany, poczciwy XX wiek!...

W ostrym tempie jechaliśmy w stronę domu. Nagle przy jakimś zakręcie Osborne zatrzymał wóz.

— Spójrzcie, panowie — rzekł wskazując ręką w górę na Pendragon, widoczny jak na dłoni z tego miejsca.

W starej zamkowej wieży, wykluczając wszelkie optyczne złudy, paliło się światło.

— Kto tam mieszka? — zapytałem.

— O ile mi wiadomo, od dwustu lat nikt... — odrzekł Osborne i zapuścił motor. Widać było po nim mocne zdenerwowanie i tylko dlatego nie dokończył zdania, by nie zdradzić swego stanu psychicznego. W milczeniu podjechaliśmy do pałacu Llanvyan.

— Pozwólcie panowie do mnie na drinka — powiedział Osborne.

Po wychyleniu ze zwykłych szklanek potrójnej porcji whisky poczuliśmy, że zasłuży-

liśmy na to pokrzepienie. Napięcie nerwowe Osborne'a zelżało.

— Siadajcie, panowie. No, i co sądzicie o tym?

— A co pan sądzi? — spytał Maloney. — Po mojemu pan zna tego przystojnego starca, co? Jakoś dziwnie jesteście do siebie podobni. Zapewne to stryj pana albo duch pańskiego dziadka nieboszczyka.

— Obym był cesarzem chińskim, jeśli go kiedykolwiek widziałem na oczy — odrzekł Osborne.

— To skąd ten dżentelmen wiedział, że tam jesteśmy? Patrzył w naszą stronę, jakby nas widział. Nie wiem dlaczego, ale było to diabelnie nieprzyjemne uczucie.

— Którędy oni mogli pójść? — rozważał Osborne. — Z drugiej strony jeziora nie ma drogi. Dosłownie dwadzieścia kroków za jeziorem zaczyna się skała, na której szczycie stoi Pendragon. Musi być jakieś tajne wejście do zamku... Trudno to sobie inaczej wytłumaczyć. Gdyśmy dojechali do zakrętu, oni byli już na górze. To oni zapalili światło w starej wieży.

— To możliwe — odpowiedziałem. — Jeszcze nigdy nie czytałem o starym zamku, który by nie miał tajnego wejścia. I to nie tylko w powieściach, ale i w życiu. To jeden z rzadkich wypadków, które niezbitnie udowadniają, że istnieje pewien organiczny związek między życiem a literaturą.

— Wobec tego nasze zadanie jest zupełnie proste — rzekł Maloney. — Jutro przy dziennym świetle przebadamy tamten brzeg jeziora. Proponuję zakład dziesięć do jednego, że wykryję tajne wejście. My ludzie z Connemary jesteśmy niezawodni w tych sprawach.

— W każdym razie musimy wdrapać się także na Pendragon — dorzuciłem — i zobaczyć, kto tam mieszka.

— Well, well — powiedział Osborne — coś protestuje we mnie przeciwko temu wścibstwu. Zechcą panowie mnie posłuchać: przypuśćmy, że ten ktoś, kogo widzieliśmy nad jeziorem, rzeczywiście tam mieszka. A więc czy ten ktoś jest człowiekiem, czy duchem, to wszystko jedno — niewątpliwie jest dżentelmenem. Czy wobec tego mamy prawo wtargnąć tam bez zaproszenia i zakłócić mu spokój?

— Doskonale rozumiem pana skrupuły — odpowiedziałem — my home is my castle. Szczególnie jeśli ten czyjś dom jest zamkiem. Ale pan będzie uprzejmy wziąć pod uwagę, że Pendragon do pewnego stopnia stanowi własność pana, jako przyszłego spadkobiercy earlostwa of Gwynedd. Pan ma większe prawo przebywać tam niż ktokolwiek, oczywiście poza earlem of Gwynedd.

— Coś w tym jest... — zgodził się Osborne — rozważę pański argument.

— Jeszcze jedno pytanie — powiedziałem. — Co wczoraj skłoniło pana do zwiedzania jeziora? Nigdy nie wspominał pan, że ulubionym pana sportem są nocne wycieczki.

— Wcale nie lubię tego sportu. Może to brzmi małowieszczańsko, ale w nocy lubię spać. Ta nocna wyprawa ma swoją historię. Proszę spojrzeć.

Otworzył szufladę biurka i wydobyl z niej skrawek papieru.

— Wczoraj rano znalazłem to przyklepione do chłodnicy mego małego wozu.

Dokładnie obejrzałem kartkę: pisana staromodnymi literami, jakie się spotyka w British Museum na rękopisach z XVII wieku. Dziś już nikt nie umie pisać takimi wygibasami.

„Pendragon, forte si vellis videre Petrum senem vade ad lacum castelli media nocte ubi et alium rerum mirabilium testis eris”.

— To po hiszpańsku — zawyrokował Maloney — a ja nigdy nie mogłem nauczyć się tego języka.

— Skądże znów! To po łacinie:

„Pendragon, jeśli chcesz zobaczyć starego Piotra (czyli Pierce'a), wybierz się o północy do zamkowego jeziora, gdzie będziesz świadkiem dziwnych spraw.”

— Dajmy na to — potrząsnął głową Maloney — że liścik napisał ów uroczy dżentelmen, to nasuwa myśl, że jegomość musi być nauczycielem, bo inaczej dlaczego pisałby po

łacinie? W każdym razie facet udaje cholernie ważnego.

— A może nie umie po angielsku? — wtrącił Osborne.

— A może!... — krzyknąłem i zamilkłem. Absurd mego pomysłu grubo przekraczał głupotę Maloneya.

Przyszło mi do głowy, co następuje: może ten obcy na brzegu jeziora, który napisał kartkę, to kilkusetletni matuzalem; w obawie, że może nie zrozumiemy starych nie używanych już wyrazów i zwrotów angielskich, wybrał nie podlegający czasowi wieczysty język — łacinę. Oczywiście nie wyłożyłem tej zwariowanej teorii, która tylko takiemu filologowi jak ja mogła strzelić do głowy.

— A czy wczoraj pan także widział naszego przystojnego dżentelmena? — dopytywał się Maloney.

— Nie — potrząsnął głową Osborne. — Wczoraj widziałem tylko Habakuka. Tak samo siedział w swojej balii, jak i dziś. Tamten ktoś nie przyszedł. A może i przyszedł, tylko ja nie doczekałem się tego momentu.

Wkrótce potem poszliśmy spać, każdy z nas na swój sposób analizując to wydarzenie. Maloney zapewne łamał sobie głowę nad jak najdoskonalszym, na jaki stać rodowitego connemaryjczyka, sposobem zapolowania na wiekowego starca.

*

Następnego dnia rano zgłosił się do mnie chłopczyk ze wsi, przysłany przez Rev. Dafyda Jonesa. Przekazał mi list z wiadomością, iż pastor pragnie nader poufnie ze mną pomówić. W stylu niebywale wyszukany przedstawił swoją prośbę, abym go odwiedził o dziesiątej na cmentarzu za kościołem, prosząc jeszcze raz o wybaczenie za fatygę, ale chodzi o niecierpiącą zwłoki sprawę.

Nie mogłem sobie wyobrazić, o co może mu chodzić. Może ten nerwowy i lękliwy człowiek prosi mnie o pomoc przeciwko jakimś wyimaginowanym potworom? Wtem stanęła mi w oczach nocna historia nad jeziorem i zaaferowany pośpieszyłem do wsi.

Bez trudu znalazłem okalające mały cmentarz drzewa, zapraszające do wiecznego spoczynku. Pastor przechadzał się dróżką tam i z powrotem. Nie spostrzegł mnie. Gestykułował, ale z umiarem, na ile przystało dostojnemu kapłanowi i Anglikowi. Zapewne przygotowuje się do niedzielnego kazania — osądziłem.

Kiedy usłyszał mój głos, zadrżał tak mocno, że aż ja sam się przestraszyłem i rozejrzałem nie wiedząc, co mu się stało.

— Tak, tak, tak — podjął bez wstępu — pan jest słynnym lekarzem.

— Nie, pastorze, w ogóle nie jestem lekarzem — odrzekłem zaskoczony.

— Rozumiem — odparł pastor — to tajemnica na życzenie earla... ale to daremny trud. Bo oto wyszło na światło dzienne coś, co nie wytrzyma światła. Panie, wie pan, co dziś rano znaleziono w zamkowym jeziorze?

— W zamkowym jeziorze? Co?

Wielebny spojrział triumfująco, jak gdyby przyłapał mnie na gorącym uczynku.

— Come along.

Spiesznym krokiem doprowadził mnie do jakiejś chałupki, gdzie rzędem stały złowieszcze narzędzia grabarza. Pomieszczenie ponure, mroczne, tchnące wilgocią. W kącie stolik, a na nim leżało coś; chociaż nie mogłem dojrzeć, co to było, ale budziło we mnie przykre uczucie.

— To!... — rzekł wielebny, oświetlając to coś latarką.

Leżał tam bez życia jeden z potworów earla.

Teraz nie był przezroczystry, lecz stanowił jakąś mętną masę o nieokreślonym kształcie, niczym gnijąca galareta. Widok wręcz odrażający.

— Wie pan, co to jest? — zapytał pastor.

— Wiem. To jeden z dziwacznych stworów earla... Skąd to się wzięło w jeziorze?

— To pan musi wiedzieć.

— Ja?

— Panie, odwołuję się do nieśmiertelnej duszy pana i proszę o interwencję! Dalej tak być nie może! Ja się w to nie mogę wtrącać. Jestem zależny od earla. Pan musi coś zadziałać! Dość, że earl w pałacu przeprowadza bezbożne doświadczenia, ale niechaj nie zaraża tymi potworami jeziora bożego.

— W jaki sposób znaleziono tego potwora?

— Wszystko panu opowiem. Czy wiadomo panu, że Pierce Gwyn Mawr znikł? Pewien półobłąkany wieśniak twierdził, że widział ducha Pierce'a, jak wioskował po jeziorze w świetle księżyca. Nie był sam...

Tu wielebny chwycił mnie kurczowo za ramię, rozejrzał się i ciągnął dalej szeptem:

— Nie był sam. Ktoś był z nim. Jakiś olbrzym — powiedział ów obłąkaniec — w dziwnym czarnym stroju jak nocni stróże pałacu. W pierwszej chwili myślałem, że to może nocny jeździec... Ale teraz już wiem, kto to był. Ten potwór zdradził... Fale go wyrzuciły...

— Więc kto to był?

— A któż mógł być, jeśli nie earl of Gwynedd? To on rzucił potwora do wody... Nad ranem udaliśmy się na brzeg jeziora...

Nie, to nie był earl of Gwynedd — pomyślałem. — Trochę był do niego podobny, a jednak całkiem inny. Nawet słowem nie wspomniałem pastorowi o swoich nocnych przeżyciach. Nie powinienem mieszać się do tej historii... Jestem János Bátky z Budapesztu, nic mi do tego... ja... jedynie przez ciekawość naukowca...

— Pan jest znanym lekarzem — pastor uderzył w ton kaznodziejski. — Etyka lekarska zobowiązuje pana do niesienia pomocy cierpiącej ludzkości, a nie wyrządzania jej krzywdy. Ja, jako lekarz dusz, ostrzegam pana, co więcej — nakazuję panu z racji swej mocy wymierzania pokuty i udzielania rozgrzeszenia, by zaniechał pan tych straszliwych doświadczeń...

— Pastorze, pan jest w błędzie!...

— Nie, nie jestem w błędzie! Wiem, co mówię. To zwierzę nazywa się axolotl. Żyje w Meksyku i earl przywiózł je z podróży po Ameryce. Tam axolotle mają o wiele mniejsze rozmiary. Earl jakimś tajemniczym sposobem hoduje je dziesięciokrotnie większe, niż je Pan Bóg stworzył, i to za pomocą wyciągu z bydlęcych gruczołów tarczycowych... To potworne.

— Dlaczego potworne?

— ... Wiem także, co earl wyprawia z tymi zwierzakami. Zamraża je, aby przerwać funkcjonowanie ich organizmów. Truje je. Potem wskrzesza w nich życie. Ma takiego axolotla, który zmarł już dziesięć razy, a wciąż jeszcze żyje.

— To zadziwiające!

— Wiem nawet, do czego earl zmierza.

— Do czego? — spytałem chwytając go za ramię.

— Dewiza albo raczej przekleństwo Pendragonów brzmi: „Wierzę w zmartwychwstanie ciała”. Ta dewiza stała się zgubą najwybitniejszych członków tego rodu — Asapha Pendragona, Bonaventury Pendragona, no i obecnego earla Owena Alastaira.

— W jaki sposób dewiza może stać się zgubą?

— Earl tak długo rozmyślał nad tym zagadnieniem, aż mu się w końcu wszystko pomieszało w głowie. Rozumie pan powiązanie? Za wszelką cenę pragnął zdobyć wiedzę, aby wskrzesić zmarłych earłów, którzy spoczywają w grobowcach pod zamkiem.

Nie miałem już wątpliwości, że mam do czynienia z obłąkańcem. „Trzeba mieć pewną dozę anormalności, aby przekroczyć próg Llanvygan” — powiedział Osborne.

— Wielebny ojciec wybaczy, że przerywam. Czy earl zwykł mówić z panem o swoich

doświadczeniach?

— Earl ze mną? Skądże znów! Earl uważa mnie za półgłówka. Temu właśnie zawdzięczam swoją parafię. Mądrego księdza nie tolerowałby w swojej bliskości.

— Wobec tego skąd wielebny czerpał wiadomości o tej sprawie?

— Od doktora McGregora. Biedny...

— Od kogo?

— Od doktora McGregora.

McGregor... Skąd ja go znam? Ach tak, to nazwisko wymienił przez telefon ów tajemniczy nieznajomy.

— Kto to był doktor McGregor?

— To ten młody lekarz, który przebywał tu przed kilkoma miesiącami i pomagał earlowi w dokonywaniu doświadczeń. Był to dzielny, miły Szkot, pomijając te bezbożne doświadczenia. Ale... Spotkało go nieszczęście. Wypadek samochodowy. Zmarł. To pana poprzednik; proszę się zastanowić, póki nie za późno! Panie, niechże pan pomyśli o nieśmiertelności swojej duszy! Mogę liczyć na pana, nieprawdaż? Widzę po oczach pana, że pod pozorną oschłością bije ludzkie, wyrozumiałe serce... Niech pan przyrzeknie...

Wielkie nieba, niechże ten obłąkaniec zostawi mnie wreszcie w spokoju! Co mnie obchodzi ten pałac i te galaretowate bydłaki!... Jeszcze dziś po południu wyjeżdżam.

— Pastorze... Daję panu słowo honoru, że nie jestem lekarzem. Ojciec mój, matka i ciotki co prawda namawiali mnie na medycynę, ale nie miałem żadnych zdolności w tym kierunku.

— Co? Nie jest pan lekarzem? — zawołał pastor do głębi wstrząśnięty. — A czym pan jest?

— Hm... Trudno mi to określić... Powiedzmy, że jestem historiografem. Albo czymś w tym rodzaju. Ale w żadnym wypadku lekarzem. Daję panu słowo honoru, że nigdy nie widziałem sekcji zwłok.

Pastor chwycił się za głowę.

— Nowe komplikacje!... historio i coś tam... To po co pan pozwolił mi tyle mówić? I o tak straszliwych sekretach!... Pan wybaczy... Jestem rad ze spotkania...

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Wzięłem głęboki oddech i wyszedłem.

*

Po południu wyruszyliśmy na Pendragon.

Jadąc przez wieś spotkaliśmy Rev. Dafyda Jonesa: zatrzymaliśmy się, jak to przystało, na krótką pogawędkę.

— Kiedy Padre był ostatni raz na zamku? — spytał Osborne.

— O, bardzo dawno. Będzie już chyba z pięć miesięcy, jak przyjechało tu kilku archeologów, których zaprowadziłem na Pendragon.

— Czy nie słyszał Padre, by ktoś mieszkał na górze w ruinach?

— Owszem — brzmiała nerwowa odpowiedź po chwili wahania. — Wiele osób widziało światło w starej wieży.

— I co ludzie myślą, kto tam może mieszkać?

— Nikt nic nie mówi, proszę pana. Ostatnio earl często bywał w Pendragonie. Możliwe, że to on spędzał tam noce. A może ulokował w zamku kogoś ze znajomych... Nie wypada go szpiegować... — Z zażenowaniem spuścił oczy.

— Nie wydaje mi się prawdopodobne, by we wsi nie komentowano tak niezwykłego faktu — rzekł Osborne.— Padre, proszę, proszę bez obaw, śmiało opowiedzieć, co ludzie mówią.

— Proszę pana, chyba nie posądza mnie pan o to, że zwracam uwagę na głupie gadanie wieśniaków. — Pastor obruszył się i zaczerwienił. — Zresztą earl jest właścicielem zamku i robi, co mu się żywnie podoba. Ale trudno sobie wyobrazić, żeby taki dżentelmen jak earl gościł swoje znajome damy w ruinach zamku.

Osborne zaśmiał się serdecznie.

— Damy? Nie przypuszczam: Pendragonowie zajmują się damami wyłącznie w ramach obowiązków małżeńskich i to niechętnie... Postanowiliśmy wybrać się do zamku. Może Padre dotrzyma nam towarzystwa? Obecność duchownego może być przydatna w razie jakichś egzorcyzmów.

Pastor zbladł.

— Proszę pana... Czy pan doprawdy wybiera się na zamek?

— Tak. Nie widzę żadnych przeszkód...

— O wielkie nieba!... — pastor załamał ręce. — Nie, nie!... Pod żadnym warunkiem!... Pod żadnym... Moja ukochana siostra, jak pan wie, posiada niezwykle dar...

— Wiem o tym.

— Właśnie dziś rano mówiła...

— Well...

— Że grozi panu śmiertelne niebezpieczeństwo na zamku...

— To kapitalne! A skąd ona wie?

— Proszę pana, niechże pan się zastanowi, moja siostra przewidziała niedawny zamach, którego earl omal nie przypłacił życiem. Wtedy nic nie mówiłem, bo nie miałem dość głębokiego przekonania do zdolności przepowiadania mojej siostry, nie chciałem wywołać zbyt dużej paniki, aby nie posądzono mnie, że wierzę w zabobony. Później gryzło mnie sumienie za moją małostkowość.

— Czy nie sądzi Padre, że... powinienem pomówić w tej sprawie z miss Jones?

— To świetny pomysł... Wielki to zaszczyt będzie dla nas powitać pana pod naszym skromnym dachem.

Wsiadliśmy do samochodu. Podjechaliśmy do plebanii, od której dzieliło nas zaledwie kilka kroków.

Miss Jones siedziała przy oknie tylnego pokoju i przepraszała, że przyjmuje nas siedząc.

Drobniutka, wąła dama całkiem nienęła pod niezliczoną ilością koców, poza szczupłą, nieprzeciętną brzydotą twarzą. Spojrzenie jej krótkowzrocznych oczu, intensywnie skierowanych do wewnątrz — to cecha właściwa dla jasnowidzów.

— Jane — podjął niespokojnie duchowny — pan Osborne wybiera się na zamek.

Twarz starszej damy wykrzywiła się, jak gdyby porażona prądem. Wydała z siebie nieartykułowane dźwięki. Z trudem odzyskała zdolność mówienia.

— Drogi, kochany Osborne, błagam, niechże pan nie wchodzi do Pen-Annwn! Bo Pen-Annwn to gardziel piekła. Cały ród Pendragonów stoi przed straszliwą przełomową chwilą i życiu całej rodziny zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. A szczególnie panu, jeśli pan wejdzie na teren Pen-Annwn.

— Bardzo dziękuję, miss Jones, za szczerą troskę o mnie. Ale jako strona zainteresowana, a także oddany zwolennik sztuki przepowiadania, jestem niezmiernie ciekawy, skąd pani z taką pewnością wie o tych sprawach? Może czytała pani w gazecie?

Starsza dama przybrała skupiony wyraz twarzy.

— Czy panowie wierzą w sny? — zapytała.

— Ja nie — odpowiedział Osborne — na szczęście, bo inaczej już dawno spotkałyby mnie niemiłe doświadczenia dotyczące kobiet. Często mi się śni kobieta, która, jak się okazuje, nie ma twarzy. Albo chcę wejść po schodach i zawsze ześlizguję się z powrotem, a w istocie, zapewniam panią, nigdy się nie ześlizgnąłem z żadnych schodów.

— Ja wierzę w sny — wtrąciłem.

— Otóż to — rzekła starsza dama usatysfakcjonowana.

— Wiara moja oparta jest na psychoanalizie.

— Proszę? — spytała miss Jones słysząc to niezrozumiałe, modne słowo.

— Well — to taka nieprzystojna sprawa, którą tylko naprawdę młodym dziewczętom wypada tłumaczyć...

— Jak panowie uważają — przerwała moje wywody miss Jones — ale jeśli panowie nie wierzą, czynią bardzo źle!...

Wstrzymaliśmy się od żartobliwego tonu: miss Jones czułaby się dotknięta, gdybyśmy nie traktowali jej na serio.

— Miss Jones, prosimy opowiedzieć nam swój sen i wyjaśnić jego znaczenie.

Twarz starej damy przybrała wyraz zadowolenia.

— Proszę przysunąć się bliżej z krzesłami i słuchać uważnie: minionej nocy śniło mi się, że jestem młodą dziewczyną i spaceruję brzegiem rzeki. Na głowie miałam słomkowy kapelusz z dużym rondem...

No cóż, trudno było to sobie wyobrazić.

— I Arthur Evans... Znaliście panowie Arthura Evansa? Ale nie, nie mogliście go znać... mniejsza o to, nie będę rozwodzić się nad szczegółami, opowiem tylko, co najistotniejsze. A więc mówiłam Arthurowi, aby nie czekał na mnie, że zaraz go dogonię. I wtedy nagle stanął obok mnie Pies... Tak, proszę panów, Pies.

Starsza pani zaczęła kaszlać znacząco.

— Przepraszam najmocniej — zapytał Osborne, kiedy miss Jones wykaszlała się — jaki pies? Może ten? — I wskazał na ledwie zipiącego ze starości pekińczyka u jej stóp.

— Skądże znów, to nie pies, to aniołek. Tam stał Pies, rozumie pan? Ten o białej sierści i czerwonych uszach.

— Ach tak...

— Ogarnął mnie strach, ale nie mogłam uciec, wrosłam w ziemię. Pies spojrzał na mnie i zapytał: — Co jadłaś na obiad? — Kalafior — powiedziałam — a potem napiłam się kawy. Aha, i kawałek tortu truskawkowego — dodałam, bo nie chciałam go oszukać. — To niedo-brze. Świeże pędy trzeba jeść — odpowiedział Pies. — To daje zdrowie. Ja dziś właśnie świe-że pędy mam na obiad. — A gdzie masz te świeże pędy? — Tu w mojej głowie — powiedział Pies. I rzeczywiście z jego głowy wyrastała jakaś zielenina. To mnie tak przeraziło, że się obudziłam.

— Bardzo ciekawa i pouczająca historia — zauważył Osborne — szczególnie tort mi się podobał, ale to rzecz gustu. Nie rozumiem tylko, co pani sen ma wspólnego ze mną i z Pendragonami?

— Nie rozumie pan? Doprawdy? A przecież to jasne jak słońce. Pies, chyba domyśla się pan, panie Osborne, że to Cwn Annwn, Pies Piekła, a młody pęd, który ma zamiar jeść — to pan, młody pęd z rodu earla. Głowa Psa to głowa Cwn Annwn, głowa Pen-Annwn, bo Pen po walijsku oznacza głowę, a Pen-Annwn to właściwa nazwa walijska zamku Pendragon... Sny zawsze mówią po walijsku...

— Aha, teraz już rozumiem.

— ... Kochany Osborne... przyrzeknie pan biednej starej kobiecie, że nigdy nie pójdzie pan na zamek?... Prawda?

Osborne wahał się przez chwilę, po czym ku naszemu zdumieniu solennie przyrzekł spełnić prośbę biednej starej kobiety. Pożegnaliśmy się z naszymi gospodarzami i wsiedliśmy do samochodu. Osborne przejechał przez wieś.

— No i co? — spytał Maloney. — Nie pojedziemy?

— Owszem, pojedziemy — odparł Osborne. — Ale musiałem przyrzec... Dobrze znam starą damę. Zamartwiłaby się na śmierć... I tak biedaczka kona już od trzech lat. Bardzo mnie lubi. Panowie, co za sensację wzbudziłoby, gdybym teraz naprawdę zginął na zamku!

Sprawdziłaby się przepowiednia. Stałbym się postacią legendarną jak moi przodkowie, którzy żyli w lepszych czasach! Wyobraźcie sobie panowie mnie w roli homerowskiego bohatera, którego śmierć zawsze przepowiadają trzy pieśni... Kapitalne!...

Zatrzymał samochód przy zakręcie i odbyliśmy naradę wojenną: czy szukać tajnego wejścia, czy też wejść na zamek normalną drogą. Ostatecznie zwyciężyła moja argumentacja: ponieważ tajne przejście zbudowano, aby było utajone, niewielką mamy nadzieję odkryć je — chyba przypadkiem... prościej będzie więc pójść normalną drogą. Tak też się stało.

*

Stara, zaniedbana droga, którą niegdyś jeźdźcy pędzili na Pendragon, była niezbyt stroma. Prawie do samej góry jechaliśmy samochodem. Tuż przy ruinach musieliśmy jednak wysiąść i piechotą pójść dalej, porośniętymi mchem schodami, wygryzionymi zębem czasu. Z zamku pozostały zaledwie gołe mury. Dach i piętra wykruszyły wieki. Na kamiennych posadzkach nagromadziła się ziemia zieleniejąca trawą. Ściany sterczały bez uzasadnienia, niczym dekoracja sceniczna, a brakujące sklepienia zastępował niski pułap nieba.

Przemierzyliśmy dudniącą echem przestrzeń — niegdyś przestronne sale zamku. Usiłowaniami zniekształcenia dzielnie stawiały czoła jedynie otwory okienne: bez szyb, ślepe, zachowały styl gotycki — specyficzny rysunek angielskiego gotyku, garbaty ośli grzbiet, który zmieniając jakby zamiary, przechodzi w odwrócony łuk.

Wreszcie dotarliśmy do zachodniego skrzydła: części najmniej uszkodzonej. Tu nawet dach został nienaruszony. Przechodziliśmy przez pokoje, które przypominały skalne grotty, spłoszyliśmy nietoperze, aż nieoczekiwanie znaleźliśmy się na małym dziedzińcu zamkowym, gdzie przed naszymi oczami wznosiła się stara wieża.

Stara wieża była jeszcze w doskonałym stanie. Dookoła w nieregularnych odstępach małe okienka patrzyły bez wyrazu w dół. Wieża, jak we wszystkich zamkach, służyła przypuszczalnie za więzienie, a więc niewiele uwagi zwrócono na jej wewnętrzne oświetlenie. Niczym nie urozmaicona płaszczyzna gołego muru wywierała niesamowite wrażenie.

Obeszliśmy okrągłą wieżę badając skrupulatnie każdy zakątek. Nie odkryliśmy jednak nawet śladu, który świadczyłby o obecności ludzkiej istoty. A poza tym nie znaleźliśmy wejścia do wieży.

— To dziwne — rzekł Maloney — czy przodkowie pana kursowali przez powietrze?

— Tak, przy uroczystych okazjach — odparł Osborne — ale musi być jakieś wejście przyziemne na co dzień. Coś mi świta w głowie, że pokazywano mi je kiedyś...

Z Osborne'em na przedzie wróciliśmy do zachodniego skrzydła i wkrótce natrafiliśmy na niezniszczone schody kamienne. Zeszliśmy i na samym dole wylądowaliśmy w korytarzu, który oświetlały otwory w dachu.

— Ten korytarz przebiega pod dziedzińcem, a w jego drugim końcu znajduje się wejście — orzekł Osborne.

Przeszliśmy przez cały korytarz, aż nagle zagroziły nam drogę potężne drzwi dębowe. Okalały je, niczym legendarne pieczęcie, stare żelazne okucia.

— Tych drzwi nie pamiętam — oświadczył Osborne — albo ich wówczas nie było, albo były otwarte...

Drzwi, jak przypuszczaliśmy, były zamknięte.

— Koniec, kropka — powiedział Osborne — teraz, kiedy wreszcie mogliśmy zobaczyć to, co najciekawsze, zamknęli nam drzwi przed nosem. Taki to mój los.

— Spróbujmy je otworzyć — zaproponował Maloney — już niejedne zamknięte drzwi otwierałem. My z Connemary mamy do tego żyłkę. Tylko że te wyglądają dość masywnie, a zamki mają jak mechanizm starego zegara.

— Dajmy temu spokój — zdecydował Osborne — wątpię, czyby nam się udało je

otworzyć, a zresztą... nie po to je zamknięto, byśmy otwierali. Nie bądźmy niedyskretni.

Zniechęceni, wyruszyliśmy w powrotną drogę.

Kiedy doszliśmy do schodów, zauważyłem:

— Może warto by zobaczyć pokój obok schodów. A nuż znajdziemy tam coś ciekawego.

Weszliśmy do mrocznej, pustej sali o łukowatym sklepieniu. Mieliśmy już wyjść, kiedy oswojony z półmrokiem, spostrzegłem znajomą rzecz na ścianie.

— Spójrzcie! Znak różokrzyżowców!

Na ścianie widniała mistrzowska płaskorzeźba: krzyż, a w czterech końcach stylizowane róże kamienne. Przyglądaliśmy się jej z cichym nabożeństwem.

Nagle odezwał się Maloney:

— Czy nie zwróciliście panowie uwagi, że kamień, pośrodku którego jest krzyż, a nawet sam krzyż różni się od reszty muru?

— Ależ tak — powiedziałem. — To relief. Później dopasowany do muru.

— No tak, ale może... — rzekł Maloney i przerywając wywody, podszedł do krzyża, coś tam pomajstrował i o dziwo, krzyż poruszył się. Maloney powoli, powoli obracał nim.

Równocześnie kawał muru został wprawiony w ruch i chował się jak rozsuwane drzwi. Przed nami rozdziawiła się paszcza tajnego wejścia.

— Schodzimy? — spojrzeliśmy po sobie niezdecydowani.

Cos się znajdowało za rozsuniętym murem? Trudno odgadnąć: było ciemno jak w worku.

Maloney wyjął z kieszeni latarkę.

— Musimy zejść. Koniecznie! Kto wie, może znajdziemy tam skarby? Panowie, spokojnie za mną! Miejcie zaufanie do instynktu doświadczonego wspinacza.

Posuwaliśmy się wąskim tchnącym wilgocią korytarzem, aż doszliśmy do prastarych krętych schodów i zaczęliśmy schodzić.

W samym środku krętych schodów stał gruby słup kamienny, wokół którego obracaliśmy się, jak nam się wydawało, godzinami.

Wreszcie skończyły się schody. Znaleźliśmy się w ogromnej sali o łukowatym sklepieniu. Przy mdłym świetle latarki z trudem dojrzelśmy ustawione rzędem kwadratowe i prostokątne stoły.

Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że to nie stoły. Były to trumny, a na nich herby Pendragonów ze znakiem różokrzyżowców. Trafiliśmy do krypty.

Obeszliśmy salę wzdłuż muru. Cóż to za przeogromna krypta. Ten, kto ją budował, przygotowywał przestronne miejsce dla swych potomków, aby nie zabrakło im pomieszczenia, gdy powrócą na wieczny spoczynek pod zamkiem.

— Czy z tej krypty rodzina już nie korzysta? — zwróciłem się do Osborne'a.

— Nie, nie wiedziałem nawet, że istnieje. Od XVII wieku począwszy Pendragonów chowają w parku Llanvygan.

— Moim zdaniem czas już powracać — rzekłem.

Miałem dość wrażeń. Kręte schody plus krypta to za wiele na raz. Dawne, dobrze mi znane złe przeczucie ogarnęło mnie na nowo: nie mogłem się doczekać, by wyjść na światło dzienne. Nie na moje nerwy były tego rodzaju podziemne podróże.

— Chwileczkę — powiedział Maloney. — Kiedyśmy szli dookoła sali, spostrzegłem na murze jeszcze jeden znak różokrzyżowców. A nuż za nim znajdują się jeszcze jakieś drzwi... Może ci szanowni przodkowie stosowali krzyże zamiast klamek.

I rzeczywiście znaleźliśmy znak różokrzyżowców, chociaż różnił się trochę od poprzedniego. Pod nim widniał napis. Przeczytałem go i zdjęty trwogą zatoczyłem się: gdyby nie Maloney, zwałiłbym się z nóg.

— Co się stało? Czy pan coś widzi?

— O tym czytałem w książce — zawołałem po węgiersku i zdziwiłem się, że nie zrozumieli.

POST CXX ANNOS PATEBO

Otworzę się za 120 lat. Napis jak na drzwiach grobu różokrzyżowca.

Maloney bez słowa zaczął mi rozluźniać krawat.

— Nie, niech pan przestanie, nic mi nie jest! Czytałem opis tego miejsca. Wiem, że tu też muszą być drzwi. A za tymi drzwiami czeka nas sensacyjne odkrycie.

Po dokładnym zbadaniu odkryliśmy w murze kontury drzwi. Maloney przez czas jakiś manipulował przy znaku różokrzyżowców i drzwi się rozwarły. Teraz wszyscy trzej odskokczyliśmy do tyłu. Z otworu biła na nas jasność, bardziej oślepiająca niż najmocniejsze światło elektryczne.

A potem... potem wszystko było jak w książce.

Weszliśmy do ogromnej siedmiokątnej sali. Na posadzce tajemnicze rysunki: kontynenty świata. Sklepienia także zdobiły znaki przedstawiające firmament.

À pośrodku zwisało rozżarzone do białości jakieś ciało świetlne — podziemne słońce, wiecznie płonąca lampa, o której wspominają stare księgi.

Jak stały bywalec zdecydowanym krokiem podprowadziłem swych towarzyszy na środek sali. Pokazałem im ołtarz z napisem:

A.C.R.C. HOC UNIVERSI COMPENDIUM VIVUS MIHI SEPULCHRUM FECI

Staliśmy nad grobem legendarnego różokrzyżowca.

Opowiadka, na temat której tyle ironizowały wieki, nie była opowiadką. Dotarliśmy do Domu Św. Ducha. Widzimy na własne oczy ołtarz, a na nim napis dokładnie taki, jak głosiła „Fama”... I nad nim wiecznie płonąca lampa.

Wobec tego... może reszta także okaże się prawdą?...

Skoro tak, to pod ołtarzem musimy znaleźć zwłoki różokrzyżowca lub tego, który zwał się różokrzyżowcem — i to zwłoki zachowane w stanie nietkniętym, gdyż nie ulegały one niszczącemu wpływowi czasu.

Wahałem się: odważyć się czy się nie odważyć?

I wówczas ciekawość intelektualna, moja nieuleczalna namiętność, przewyciężyła zabobonny lęk.

— Pomóżcie — zwróciłem się do moich towarzyszy. — Musimy podnieść ołtarz i zobaczyć grób.

Maloney przeżegnał się i odsunął o kilka kroków. Osborne i ja mobilizując wszystkie siły wzięliśmy się do podnoszenia ołtarza.

Ołtarz niespodziewanie lekko ustąpił ze swego miejsca, jak gdyby już czekał na nas.

Pod ołtarzem ukazała się kamienna płyta, jak zwykle na grobach. Na niej wyryty herb Pendragonów ze znakiem różokrzyża, dokoła zaś dewiza rodzinna:

WIERZĘ W ZMARTWYCHWSTANIE CIAŁA

I nieco niżej:

HERE LIETH ASAPH CHRISTIAN PENDRAGON THE SIXTH EARL OF GWYNEDD

Stałem pogrążony w myślach nad grobem nocnego jeźdźca. Jak mam rozwiązać tę zagadkę? Ten grób jest grobem różokrzyżowca, jak to opisano w ówczesnych książkach, a równocześnie grobem sir Asapha Pendragonona...

Istnieje tylko jedna możliwość. Różokrzyżowiec i Asaph Pendragon to ta sama osoba. Widniejące na ołtarzu cztery litery potwierdzały moje przypuszczenia: A.C.R.C. nie może oznaczać nic innego jak Asaph Christian Roseae Crucis.

Odkrycie to więcej mi dało, niż gdybym przeczytał całą bibliotekę Pendragonów. Odnalazłem źródło historycznej legendy różokrzyżowców. Przez chwilę oczami duszy widziałem, jak pracuję nad książką, która nadaje mi rangę naukowca światowej sławy.

Wtem myśli moje powróciły do grobowca i zwłok. A może nie dotarłem jeszcze do ostatecznej tajemnicy?

— Jak panowie sądzą, czy dałoby się podnieść tę płytę?

— Nie sądzę, że mamy do tego prawo — odparł Osborne, — Nie wolno nam przez zwykłą ciekawość zakłócać spokoju mego przodka.

— Ależ Osborne, niechże pan zrozumie, że tu nie chodzi o zwykłą ciekawość, to ciekawość uzasadniona z punktu widzenia naukowego. Jeżeli dalej wszystko zgadza się z dawnymi opisami, to tu, pod tą płytą, musimy znaleźć zwłoki Asapha Pendragonona w stanie nietkniętym.

Maloney zaprotestował:

— Chodźmy stąd. Nie lubię tego rodzaju rzeczy. Grób to grób, a nieboszczyk to nieboszczyk. Najlepiej zostawić ich w spokoju. Żałuję, że w ogóle tu przyszedłem... aż skóra na mnie cierpi od tego wszystkiego.

— Doktorze, może pan zechce mnie posłuchać — powiedział Osborne. — Albo uda nam się otworzyć grób, albo nie. Jeżeli nam się uda, to albo znajdziemy w nim szkielet, co jest bardziej prawdopodobne, albo... sprawdzi się wszystko, co czytał pan w książce, i znajdziemy zwłoki Asapha Pendragonona, jak tu leży z rękami złożonymi na piersi, na palcach czarodziejskie pierścienie, o których wspomina tradycja rodzinna... Weil, doktorze, wybaczy pan, ale nie chciałbym tego zobaczyć. Coś we mnie protestuje przeciwko podpatrywaniu tajemnic zmarłych.

Był błąd: patrzył na mnie z trwogą w oczach.

Doszedłem do wniosku, że nie ma o co kruszyć kopii. Natrafiłem na nieprzewidziane przeszkody: na poczucie taktu, dyskrecję i brak ciekawości mieszkańców Wysp Brytyjskich. Jeślibym nalegał, posadzono by mnie o cynizm albo o coś jeszcze gorszego.

Podczas naszej dyskusji z Osborne'em Maloney badał ołtarz szczegółowo. Nagle zobaczyłem, że pokrywająca grób kamienna płyta poruszyła się i odchyliła jak drzwi. Maloney na ołtarzu także znalazł znak różokrzyżowców i bezwiednie wykonywał takie same manipulacje, jak poprzednio.

Po odsunięciu płyty odsłonił się widok na czworokątne wgłębienie: pośrodku katafalk, z adamaszkowymi poduszkami, jak wygodne szerokie łoże. Ale łoże — z którego ktoś już wstał. Zwłok ani śladu. Nie było ani szczątków szkieletu, ani słynnych pierścieni.

— Coś to nie tak — rzekłem — pierścienie bezwzględnie powinny być. Nawet szkielet zachowuje się przez trzysta lat w takim zamkniętym miejscu.

— Grób okradziono, a szkielet usunięto — orzekł Maloney.

— Lub też ziemskie szczątki szóstego earla of Gwynedd złożono z biegiem czasu gdzie indziej. Muszę zapytać earla, on zapewne będzie wiedział — powiedział Osborne.

Jeszcze raz dokładnie przyjrzałem się grobowi różokrzyżowca, zbadałem ciało świetlne, lecz nie mogłem pojąć istoty jego działania, po czym opuściliśmy grobowiec.

Starannie zamknęliśmy za sobą drzwi. Nie mogłem pozbyć się wrażenia, iż zapomniałem zgasić światło, ale gdy pomyślałem, że lampa świeci już od trzystu lat, machnąłem ręką.

Przeszliśmy przez kryptę, następnie krętymi schodami wróciliśmy na górę. Dobrnawszy do końca schodów, dostrześliśmy, że korytarz, którym tu przybyliśmy, prowadzi w dwóch

kierunkach. Nie pamiętaliśmy, gdzie jest wyjście. Wreszcie zgodnie doszliśmy do wniosku, że po prawej stronie, i wyruszyliśmy.

Podjęliśmy błędną decyzję, co spostrzegliśmy dopiero po przejściu kilku podziemnych pomieszczeń. Trudno było się zorientować w całkowitej ciemności, którą oświetlała tylko kieszonkowa latarka Maloneya.

Z przykrym uczuciem musieliśmy się przyznać do tego, iż nie znamy właściwego kierunku powrotu. Każdy podziemny pokój połączony był z następnym i wszystkie były kropka w kropkę podobne do siebie.

— Możecie panowie polegać na moim instynkcie — pocieszał nas Maloney. — Connemaryjczyk widzi nawet w ciemności. Nie powiem, że zawsze, ale miewam dobre dni.

Polegaliśmy na instynkcie Maloneya.

To błądzenie podziemne nie było mi obce: ileż to razy śniło mi się, że chodzę po ciemnych nie kończących się korytarzach, bez świadomego celu i ze wzrastającym strachem w sercu... bo wiem, że jednych drzwi nie wolno mi otworzyć, nie wolno mi wejść do jednego pokoju, bo stanie się coś nieodwracalnie potwornego.

Maloney z latarką szedł przodem. Osborne i ja staraliśmy się deptać mu po piętach, aby nie stracić go z oczu i nikłego promyczka jego latarki.

Prawie na oślep brnąłem za Osborne'em, lecz na kolejnym zakręcie pozostałem w tyle, kierując się jedynie słuchem. Maloney od czasu do czasu krzyknął, byśmy wiedzieli, którądy mamy iść.

Osborne szedł przede mną o jakieś dziesięć kroków. Nagle wydał z siebie krzyk przerażenia. Dopadłem go.

— Co się stało?

— Doktorze, ma pan może zapalki?

— Nie mam, ale może zapalniczkę...

Przy wątłym płomyku zapalniczki rozejrzeliśmy się. W pierwszej chwili nie dostrzegłem nic godnego uwagi. Ale potem... O kilka kroków przed nami ziała otwarta paszcza lochu. Nieuchronnie runęlibyśmy w przepaść, a przede wszystkim Osborne, który szedł na przodzie.

— Czy pan nic nie słyszał? — zapytał, z trudem panując nad przerażeniem.

— Słyszałem tylko krzyk pana.

— Doktorze, czy pan wie, co się stało? Szedłem, a kiedy doszedłem do tego miejsca, ktoś chwycił mnie za rękę i powiedział: stop! Wtedy się zatrzymałem. Czy pan nikogo nie widział i niczego nie słyszał?

— Nie.

— To dziwne. Gdybym zrobił jeszcze trzy kroki, miss Jones miałaby rację.

Wtem Maloney wrócił z latarką i nieco się rozjaśniło.

— Panowie, dlaczego nie idziecie? Co się tu dzieje?

— Stop! Ani kroku dalej!

Maloney wrósł w ziemię. Spuściliśmy klapę lochu.

— Jakim cudem pan nie wpadł? — spytał Osborne.

— Widocznie nie tędy szedłem. Widzi pan, co to instynkt ludzi z Connemary!

Długo staliśmy tam komentując sytuację, owładnięci zabobonem i wiarą w przeznaczenie. W końcu ruszyliśmy i niebawem mroczny korytarz podziemny pozostał za nami.

Powróciliśmy do Llanvygan, ale... właściwie nie cieszyło mnie niebywałe odkrycie, nawet zazdrość kolegów... Prześladowała mnie gnębiąca myśl:

Czy to nie Maloney natrafił na loch i z premedytacją podniósł klapę, by Osborne runął w przepaść?

W pałacu panował większy niż zwykle ruch. Przyjechał earl of Gwynedd.

Przy kolacji zrelacjonowałem Cynthii, że znaleźliśmy grób różokrzyżowca, i wytłuma-
czyłem Osborne'owi, skąd wiedziałem o istnieniu grobu. Osborne słuchał mnie z nie spotyka-
ną u niego uwagą, co świadczyło o wewnętrznej walce, jaka się w nim rozgrywała. Widocznie
zaczęło docierać do jego świadomości, że otacza go niesamowita atmosfera — że coś wokół
niego się dzieje...

Cynthia zbladła, słuchając mego opowiadania.

— Mówiłam przecież, że legenda o grobie różokrzyżowca ma niezaprzeczalny folklor
walijski... Ale to... to potworne... naprawdę potworne...

— Mianowicie co?

— Nie umiem tego ująć w słowa... A czy pan tego nie odczuwa? Jakby to wszystko nie
dziś... i gdzie się podziały zwłoki?... gdzie się podziały zwłoki Asapha Pendragona?...

Po kolacji earl poprosił do siebie Osborne'a. Cynthia udała się do swego pokoju, a my w
dwójkę z Maloneyem popijaliśmy.

— Doktorze — zaczął i popatrzył na mnie tak przenikliwie, jak nigdy przedtem. Co
było tym dziwniejsze, że oczy Maloneya były raczej rozbiegane.

— Niech pan posłucha, doktorze. Siedząc tu z panem przypominałem sobie pewną
historię. Przed dziesięciu laty w Connemarze złapali mnie rewolucjoniści. Kanalie twierdzili,
że zdradziłem ich spisek grupie prorządowej. To nie było prawdą, ale pozory świadczyły
przeciwko mnie. Wówczas z życiem ludzkim u nas się nie patyczkowano. Za pół godziny
miałem być rozstrzelany. Eileen St. Claire uratowała mi życie. Rewolucjoniści byli jej ślepo
posłuszni.

Zamilkł i patrzył na mnie w oczekiwaniu.

— Maloney, dlaczego mi pan to opowiedział?

— No bo... Gdybym wtedy miał głowę na karku, zdradziłbym wszystko partii prorządo-
wej... a dziś miałbym w Civil Service w Indiach wysokie stanowisko. A że byłem durniem i
milczałem, zaledwie wyszedłem cało. Doktorze, niech pan będzie mądry...

— Nie rozumiem, co pan ma na myśli, Maloney.

— Doktorze, radzę panu zastanowić się nad tym, co mówiłem — i odszedł.

Ogarnęło mnie zdenerwowanie nie do opisania. Wstałem i poszedłem do swego pokoju.

Przez jakiś czas chodziłem tam i z powrotem w szalonym tempie. Wszystko mnie
drażniło, jak gdyby zakończenie każdego nerwu zostało nagle obnażone: pokój, szorstki dotyk
ubrania przy kolanie, gdzie nie dosięgała skarpetka, niedobrze wyprasowane spodnie — nagle
teraz przypominałem sobie, że już od dwóch tygodni odkładam odpowiedź na list znajomej.
W końcu wszystkie niepokojące sprawy zlały się w jednolitą całość, co było tym bardziej
nieprzyjemne, że już właściwie wcale nie wiedziałem, dlaczego jestem niespokojny. To naj-
gorszy stan psychiczny.

Usiadłem wygodnie w fotelu, wyjąłem z kieszeni notes, jak to zwykłem czynić, i w
kolejności notowałem przyczyny niepokoju.

1) Kto strzelił do earla of Gwynedd i w czyim to leżało interesie?

2) Kto dziś otworzył kłapę lochu?

3) Kto zatrzymał w ciemności Osborne'a?

4) Grób różokrzyżowca.

5) Czy sprawy te mają jakiś związek z sędziwym starcem na brzegu jeziora i z
potworami earla?

Na trzecie pytanie można by odpowiedzieć, że nikt. Instynkt samozachowawczy czło-
wieka wywołuje niekiedy zjawisko, które spokojnie można by nazwać cudem. Znałem kogoś,
kto strzelił do siebie po szczegółowym zbadaniu położenia serca pod żebrami, aby nie chybić.
Żyje do dziś dnia: według orzeczenia lekarzy, serce jego uskoczyło w bok w krytycznym

momencie.

Instykt ostrzega człowieka przed groźącym niebezpieczeństwem, jakiś zmysł nie odkryty jeszcze reaguje na zbliżającą się śmierć. Widocznie ten zmysł jest bardzo rozwinięty u Pendragonów. Earl zahamował zaledwie o dziesięć kroków przed rozpiętą liną z drutu, a Osborne zatrzymał się tuż przed otwartym lochem. Nakaz wewnętrzny działał w nim tak intensywnie, że zdawało mu się, iż ktoś chwycił go za rękę i powiedział: Stop! Chwilowe rozdwojenie świadomości.

Na drugie pytanie: kto zostawił otwartą klapę lochu, również można by odpowiedzieć, że nikt. Może stała otworem od trzystu lat. Temu jednakże zaprzecza strzał oddany do earla, co nie ulega wątpliwości... Jeśli ktoś zostawił otwartą klapę lochu, to mógł to być wyłącznie Maloney, który szedł o kilka kroków przed nami i dziwnym zbiegiem okoliczności nie runął w przepaść. I w tym wypadku strzał... Maloney jak kot wspina się po wyżłobionych zębem czasu murach... widziałem na własne oczy...

Nagle otworzyły się drzwi i Maloney wpadł jak bomba. Przez chwilę rozglądał się badawczo po pokoju. Następnie wyrwał mi z rąk notatki i podbiegł bliżej świecącej żarówki.

— Czy pan zwariował? — wrzasnąłem zrywając się na równe nogi.

— Co pan tu napisał? — rzekł. — Nie znam gwary węgierskiej albo jak jej tam, ale słowo Roscoe przeczytałem bez trudu — tu wskazał na papier, gdzie zanotowałem: grób różokrzyżowca.

— To nie Roscoe, ale różokrzyżowiec. Ale co panu do tego?

Maloney zaczął mówić gorączkowo, bez ładu i składu.

— Doktorze... niech pan się nie gniewa... pan jest taki piekielnie mądry, że i tak wie pan wszystko... Niechże pan siada... Może pozostało nam tylko kilka minut...

Jednym susem znalazł się przy drzwiach, wyrzwał na korytarz i wrócił.

— Doktorze — spytał w skrajnym zdenerwowaniu, chwytając mnie za ramię — czy pan widział te papiery?

— Jakie papiery?

— Niech pan nie udaje. Listy starego Roscoe, w których pisze, że chcą go zamordować... podając rzekome dowody... Zresztą pan chyba lepiej ode mnie wie.

— Well...

W mgnieniu oka setki możliwości przemknęły mi przez głowę.

— Tak, widziałem te papiery — rzekłem z nagłą decyzją.

— I co pan o tym sądzi?

— Co pana właściwie obchodzi, co ja o tym sądzę — odrzekłem wykrętnie — moje zdanie na ten temat mam obowiązek zakomunikować jedynie earlowi.

— Nic pan przecież nie ryzykuje, jeśli mi pan powie, czy chorobę, na którą umarł William Roscoe, można w sztuczny sposób wywołać?

— Można.

— A czy może pan to udowodnić?

— Tak — powiedziałem, kontynuując konsekwentnie swoją grę.

— Doktorze, radzę panu zastanowić się nad tym. Czego może pan oczekiwać od Pendragonów? Dostanie pan najwyżej normalne honorarium... bo niby dlaczego mają panu więcej płacić. Doktorze, niechże pan nabierze rozsądku i trzyma z nami sztamę... Nie starcza mi czasu na dłuższą rozmowę... w każdej chwili mogą tu się zjawić... Pan nie ma pojęcia, jaką oni mają forszę... Zapłaciliby tyle, ile by pan zażądał... Niech się pan skontaktuje z Morvinem. Jeśli zgodzi się pan, podam adres...

Nagle rozległo się pukanie i wszedł Osborne. Był niezwykle zafrasowany. A jego twarz o delikatnych rysach — zarumieniona.

— Sorry — zwrócił się do Maloneya — jestem zmuszony prosić pana na kilka słów w cztery oczy. Może pan pozwoli do mnie.

— Nie mam żadnych tajemnic przed doktorem. Doktor to mój przyjaciel.

— Jak pan uważa, Maloney. Ale to, co mam do powiedzenia, ma raczej przykry charakter, nie sądzę więc, że sprawi panu przyjemność, gdy to usłyszy ktoś obcy. Mam przekazać pewne wiadomości od mego stryja.

— Proszę, proszę!... Szlachetny lord nareszcie poniżył się łaskawie do rozmowy ze mną.

— Jestem w nader przykrej sytuacji — rzekł Osborne. Usiadł, wstał, zapalił papierosa, nie wiedział, jak przystąpić do rzeczy.

— Podczas nieobecności mego stryja — zaczął wreszcie — w pałacu działy się nowe, dziwne rzeczy. Włamano się do biurka i szafy stryja. Stryj z uznaniem ustalił, że był to nieprzeciętnie zręczny włamywacz, niemniej pozostawił po sobie ślady.

— Zabrał pieniądze?

— Nie. Nic nie zabrał.

— No to wszystko w porządku. Ale co ja mam z tym wspólnego?

— Earl of Gwynedd polecił zawiadomić pana, że papierów dotyczących sprawy Roscoe nie przechowuje w pałacu.

Maloney zerwał się jak rażony prądem.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że ja...

Nagle zamilkł.

— Mam jeszcze coś panu do powiedzenia, Maloney — rzekł Osborne z naciskiem. Zmieszanie jego zniknęło bez śladu: mówił z jakąś ponurą ironią. — Ten ktoś mógł się dostać do apartamentu earla jedynie przez okno. Drzwi były zamknięte i strzeżone. Tak więc earl znając pańskie zdolności wspinania się po skałach...

— Stop! — krzyknął Maloney. — Dość obrazy! Za pięć minut nie będzie mnie w pałacu. I earl będzie musiał odpowiadać...

— A ponadto earl kazał zwrócić panu to: widocznie zapomniał pan zabrać ze sobą.

Osborne podał mu mały, wygięty nóż, jakich często używa się w Indiach. Znałem ten nóż, widziałem u Maloneya.

— Damn! — krzyknął Maloney i to było jego słowo pożegnania. Za chwilę nie było go już w pokoju. Pobiegliśmy za nim korytarzem, pomogliśmy wstać Johnowi Griffithowi, którego Maloney przewrócił siłą rozpędu.

Odźwierny widział go biegnącego w kierunku garażu.

Ścigaliśmy wzrokiem motocykl, jak z szaloną szybkością skręcił w środkową aleję parku.

— Łobuz — zauważył Osborne — nigdy nie będę miał tak wspaniałego motocykla.

— A co teraz? — zapytałem.

— Zostawmy go. Earl nie ma zamiaru podejmować kroków przeciwko niemu.

Przez jakiś czas patrzyliśmy za uciekającym bezmyślnym wzrokiem.

— Doktorze, nie jest pan zmęczony? — przerwał milczenie Osborne. — Jeśli nie, to może pofatyguje się pan do biblioteki. Stryj mój pragnie z panem pomówić.

Pełen oczekiwania pospieszyłem do biblioteki.

*

Earl siedział za okazałym biurkiem. Wstał, kiedy wszedłem, co uznałem za nietakt, gdyż przy jego wysokim wzroście wydałem się wręcz karłem; a może właśnie celowo chciał podkreślić swoją wyższość?

Biblioteka była ogromną salą, ale teraz obecność earla zdawała się ją wypełniać. Nawet książki inaczej patrzyły z wysokości swych półek: nie jak eksponaty muzealne, lecz jak stworzenia świadome, które — że tak powiem — tuczy oko gospodarza. Nagle wszystko stało na

swoim miejscu — miejscu metafizycznym: prostokątne stoły, globusy, szacowni półnaczy starcy, którzy w charakterze rzeźb tkwili na szafach.

Przez jakiś czas milczeliśmy uprzejmie.

— A więc wyjechał — podjął w końcu earl. — Właściwie jestem rad, że tak się stało. Czy siedzi pan wygodnie?

Zapewniłem go, że tak, chociaż siedziałem „na baczność” i pochylony do przodu czekałem na jego słowa.

Earl wstał i nacisnął dzwonek: Rogers podał na tacy omszałą butelkę i dwa kryształowe kielichy.

— Może pan zechce spróbować tego portu: rocznik 1851... Pan jako koneser zapewne je doceni. Za naszą przyjaźń.

Wyśmienite stare porto rozczuliło mnie nieomal do łez. Łyknałem trunek tchnący blaskiem południowych mórz. Earl w zamyśleniu obracał w ręku jakiś klucz.

— Przypuszczam, że pan, doktorze, wie już wszystko. Pan z natury szereguje fakty i wierzy w zasady logiki. Jednakże muszę pana prosić o wybaczenie. Przyjąłem pana, jak kapitan oblężonego zamku przyjmuje dobrego przyjaciela, którego posądza się, że być może należy do wrogiego obozu.

— Milordzie, to porównanie jest nader trafne, nie mógł pan postąpić inaczej. Ja na pańskim miejscu wyrzuciłbym gości albo wyjechałbym sam.

— Tak pan sądzi?

— Bezwzględnie tak.

— Dlaczego?

Sposób bycia earla był zaiste królewski. Poczował się do obowiązku usprawiedliwić się, ale uzasadnienie swego postępowania włożył w usta tego, przed którym miał się tłumaczyć. Chętnie zgodziłem się na tę zamianę ról, gdyż darzyłem earla głębokim szacunkiem.

— Przed moim przyjazdem dwa razy dokonywano zamachu na życie milorda. A więc milord niewątpliwie miał wszelkie powody ku temu, by przypuszczać, że jeden z gości przyjechał bynajmniej nie z pobożnym zamiarem.

— Miałem powody, by podejrzewać Maloneya.

— A co do mnie, teraz już widzę, że na skutek zręcznej machinacji Maloneya przyjechałem tutaj tak doskonale wyposażony w dowody rzeczowe, że byłem bardziej podejrzany od Maloneya. Prawie na tacy przywiozłem bombę.

Earl uśmiechnął się.

— Skoro pan doprawdy w tak dżentelmeński sposób obwinił siebie za mój nietakt, sądzę, że z kolei ja powinienem stanąć w obronie pana. Przecież to ja zaprosiłem pana, jakże mógłbym pana podejrzewać?

— Fakt, że jestem w przyjaznych stosunkach z Maloneyem, musiał wzbudzić podejrzenia milorda.

— Pan pozwoli, że zadam mu pytanie? — wtrącił earl. — Czy pan dawno zna Maloneya?

— Nie. Zaledwie kilka dni temu poznałem go w British Museum.

— Ach tak... czyli że zawarł pan z nim znajomość po zaproszeniu do Llanvygan?

— Tak. Teraz jestem więcej niż pewien, że Maloney sprowokował ze mną znajomość, abyśmy razem tu przyjechali i aby w razie czego podejrzenie padło na mnie.

— A czy pan nie domyśla się, skąd Maloney albo ci, którzy go tu nasłali, wiedzieli o zaplanowanym przyjeździe pana?

— Pojęcia nie mam.

— Obawiam się, że mamy jakiegoś szpiega w Llanvygan. Trudno to inaczej wytłumaczyć... Ale kto to może być? Może dojdziemy do tego. Słucham pana dalej...

— Maloney zapewne powiedział Osborne'owi, a Osborne przypuszczalnie powtórzył to

panu, milordzie, że tylko dlatego przyjąłem zaproszenie lady Malmsbury-Croft, aby poznać pana, licząc na to, że zaprosi mnie pan do Llanvygan. A to absolutnie nie odpowiada prawdzie. Proszę mi wybaczyć, ale jestem cudzoziemcem i do owego dnia tylko przelotnie słyszałem o istnieniu milorda.

— Wiem. Później rozmawiałem z lady Malmsbury-Croft, która wspomniała mi, że pan właściwie nie miał wielkiej ochoty pójść na to przyjęcie.

— Niemniej przyjechałem tutaj w podejrzanych okolicznościach i w najgorszym momencie. Milord nie odpoczął jeszcze po zamachu w Londynie. Potem pierścionek, który przekazałem milordowi, stanowił jeszcze jedno ogniwo w łańcuchu podejrzeń. Szczerze mówiąc, historii pierścionka nie bardzo rozumiem...

— Ja także nie... właściwie w jaki sposób, dostał się w pana ręce pierścionek?

Kłopotliwa sytuacja. Powinienem zrelacjonować moje spotkanie z Eileen St. Claire, ale z reguły dotrzymuję danego słowa. Nerwowo odkaslnąłem.

— Niestety, nie czuję się upoważniony ujawnić tę sprawę milordowi. Osobie, od której dostałem pierścionek, dałem słowo honoru, że nie zdradzę jej nazwiska... Chociaż rozmawiałem z nią pierwszy raz i nie bardzo wiem, kto to właściwie jest. W każdym razie poznałem ją przez Maloneya.

— Well — rzekł earl. — Ja wiem, o kogo chodzi... Słucham pana dalej...

— W danej sytuacji milord był zmuszony zastosować pewna środki ostrożności w stosunku do gości.

— Bardzo mi przykro, ale zapewniam pana, że Rogersowi dałem tylko ogólne wskazówki, nie wiem więc, co pan ma na myśli.

— Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, - było to, że z mojego rewolweru wyjęto naboje.

— Ooo, to haniebne! — powiedział earl i zaczerwienił się po nasadę włosów.

— Może przy tej okazji pozwolę sobie poprosić milorda, by mi je zwrócono. Nie mam więcej naboji i mam nadzieję, że te wystarczą mi do końca życia. Źle sypiam, gdy mój rewolwer nie jest nabity. To głupie przyzwyczajenie, ale nic na to nie poradzę.

— Natychmiast otrzyma pan naboje.

Wstał i zadzwonił.

— A tymczasem z ciekawością słucham pana dalej.

— Równocześnie przeszukano moją walizkę i wyjęto z niej paczuszkę.

— Czy pan wie, co w niej było?

— Prawdę mówiąc, nie. Dał mi ją Maloney, bo nie zmieściła się w jego walizce.

— W paczuszce był ekrazyt. Niezmiernie mi przykro, ale pan rozumie, rzeczy tego rodzaju zmuszają człowieka do ostrożności. Nigdy jeszcze nie miałem gościa, który by przywiózł ze sobą materiał wybuchowy. Zresztą już wtedy sądziłem, że to Maloney powierzył panu paczuszkę do przechowania.

Wszedł Rogers: earl polecił zwrócić mi naboje i przeszukać park, czy się tam ktoś nie ukrywa.

— Dziękuję za zaufanie, milordzie. Ale czy wolno mi zadać panu kilka pytań?

— Proszę bardzo, postaram się odpowiedzieć na nie szczerze w miarę możliwości.

— Pragnąłbym wiedzieć, na jakiej podstawie milord przestał mnie podejrzewać? Bo musiałem być podejrzany! Jeszcze wciąż nie mogę pozbyć się uczucia przykrości, jak to zwykle nerwowy człowiek, który usłyszy, że z kieszeni sąsiada nieznany sprawca wyciągnął złoty zegarek. Dopiero wtedy odzyskam spokój wewnętrzny, kiedy się dowiem, że nawet cień podejrzenia nie plami mojej uczciwości.

— Well, coraz bardziej stawało się jasne, że Maloney ma złe zamiary. Jedynie przez okno można było strzelić do mnie i jedynie człowiek o wybitnych zdolnościach akrobatycznych mógł się wspiąć po kariatydach na drugie piętro.

— Ale to jeszcze nie stanowi gwarancji, że ja nie należę do spisku.

— Z opowiadania Cynthii i Osborne'a poznałem pana nieco bliżej. Zresztą dowiadywałem się o pana w Londynie i widziałem, że flirtuje pan w bibliotece...

— Słucham?...

— ... z moimi książkami. Doktorze, trudno byłoby pogodzić pański tryb i sposób życia z zaplanowanym morderstwem. Sądzę, że nawet kwiatu nie potrafiłby pan zerwać, tak nienawidzi pan przemocy. To nie jest pochwała. Pan nie jest ani dobrym, ani złym człowiekiem: intelektualistów nie podciąga się pod te kategorie. Pan potrafi przez egoizm lub z wygodnictwa nie uczynić tego, co każdy inny uczciwy człowiek wyświadczyłby w interesie ogółu. Natomiast nie potrafiłby pan z premedytacją wyrządzić komuś krzywdy. Na to ma pan zbyt bierny charakter.

— Dziękuję za diagnozę. Obawiam się, milordzie, że pan ma rację. Ale czy tego rodzaju psychologiczne argumenty są wystarczające na moje uniewinnienie?

— Całkowicie. Człowiek nigdy nie popełni tego, co jest niezgodne z jego charakterem. Nasz przyjaciel Maloney nigdy nie będzie się zajmował teologią neoscholastyczną, z Cynthii nigdy nie będzie śpiewaczka, a Osborne nigdy w życiu nie będzie miał porządnie zawiązanego krawata.

— Na podstawie tej teorii można by wyciągnąć wniosek, że Maloney, miast zajmować się teorią neoscholastyczną, w przyszłości będzie dokonywał zamachów na pańskie życie: aż do skutku.

— Niewątpliwie. Sądzę, że będę miał jeszcze przyjemność spotkać Maloneya lub kogoś w rodzaju Maloneya. Moi wrogowie są cierpliwi i wielostronni jak Borgiowie. Chwilami prawie jestem z nich dumny. Ostatecznie w grę wchodzi olbrzymi majątek, rozumiem więc, że nie szczędzą ani kosztów, ani fatygi...

— Słowem, milord wie, kim są jego wrogowie.

— Oczywiście.

— Spadkobiercy Williama Roscoe?

— Zostawmy to. Śledztwo ustali to po mojej śmierci.

Nie nalegałem. Wiedziałem, że natrafiłem na chiński mur. Skryty charakter earla nie zezwalał na dalsze wyjaśnienia.

— A jakie środki ostrożności zamierza milord podjąć dla swego bezpieczeństwa?

— Rzekłbym żadnych. Postaram się zejść z drogi nieprzyjacielowi i niebezpieczeństwu.

— W jaki sposób?

— Na razie skazałem się na areszt domowy. Po ucieczce Maloneya nic mi nie grozi w Llanvygan. Tu przeczekam, aż nadejdzie okazja... Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni... Doktorze, ja pana bardzo proszę, by został pan tu ze mną, dopóki panu czas na to pozwoli. Zdaję sobie sprawę, jak dalece jestem samolubny, prosząc pana, aby urozmaicił monotonię mego aresztu. Ale ze swojej strony uczynię wszystko, aby pan nie trwonił czasu bezużytecznie.

— Milordzie... — odrzekłem zastanawiając się gorączkowo nad zręczną formułką kurtuazyjną, aby wyrazić, jak chętnie zostanę w Llanvygan. Odpowiadało to prawdzie, ale z kurtuazją jestem na bakier.

— A więc zostanie pan — powiedział earl. — Bardzo słuszna decyzja. Książki, które pan dotąd przeglądał, nie należą do najbardziej interesujących. Białe kruki trzymałem pod kluczem. Otóż teraz pozostawiam je także do pańskiej dyspozycji. I w miarę mojej skromnej wiedzy chętnie służę dodatkowymi informacjami.

Otworzył szafę z lustrem stojącą za plecami, której dotąd nawet nie spostrzegłem, i jął wykładać na biurko stare, pożółkłe pliki papierów. Przez czas jakiś z rozkoszą pograżyliśmy się w czytaniu, niekiedy czytając nawet sobie wzajemnie na głos jakieś ciekawe zdanie i omawiając jego znaczenie. Miałem przed sobą korespondencję Fludda z Asaphem Pendragonem, nie wydane rękopisy dzieł Fludda, protokoły angielskich różokrzyżowców — materiały,

których wartość naukowa jest bezcenna.

Wizja następnych tygodni i miesięcy, które poświęcę studiowaniu rękopisów, zamajaczyła przed moimi oczami niczym nieprzerwany taneczny pochód bachantek z nieziemskim szczęściem na twarzach, wymachujących rękopisami w dłoniach miast tyrsami.

Ja także wymachiwałem rękopisem... Kodeksem pisanym prastarym gotykiem. Co wywarło na mnie tak niezwykle wrażenie — liliowa oprawa czy też znakomity pergamin, na którym był pisany? Nie wiem, ale ta księga miała w sobie coś magicznego.

— Co to jest? — spytałem earla.

— Pan bezbłędnie odkrywa skarb jak czarodziejska pałeczka weneccjan. Ta księga stanowi bodaj że największy skarb biblioteki. To księga T, o której tyle pisali dawni alchemicy i różokrzyżowcy.

— Jak to, więc ta książka naprawdę istnieje?

— Trzyma pan ją w ręku. To ona zawiera Mądrość Ostateczną różokrzyżowców.

— Ale przecież ta książka... — zawołałem — o tej książce wspomina „Fama Fraternalitatis”. Ta książka znajdowała się w grobie różokrzyżowca... To jedna z ukrytych świętych ksiąg...

Earl uśmiechnął się jakoś dziwnie i nic nie rzekł.

Gończkowo otworzyłem kodeks i chciwie pożerałem oczyma litery, jak Faust księgę czarów. Podświadomie czekałem, że zaraz stanie się coś niezwykłego, że scenerię ogarnie ciemność i wśród grzmotów uniesie się Duch Ziemi z zatważającą godnością...

Wkrótce poczułem wstyd za swoją naiwność. Książka, jak i inne, zawierała kwintesencję mądrości alchemików: mętne alegoryczne wyrażenia.

Jedyny znany mi grecki tekst utkwił w mej pamięci, mglista, acz piękna sentencja Osthanesa, perskiego mędrca: E physis te physei kratei. Przyroda raduje się przyrodą. Przyroda przewycięża przyrodę. Przyroda panuje nad przyrodą.

— Kiedy i kto napisał tę książkę? — spytałem earla.

— Nie wiadomo. Według treści nie da się tego stwierdzić. Niewykluczone, że to przekład łaciński prastarej księgi arabskiej. Oryginał przypuszczalnie pochodzi z XIV wieku.

— A tematyka?

— Według z trudem odczytanego sensu chodzi o to, w jaki sposób można przedłużyć ludzkie życie o kilka wieków.

— A czy daje jakieś konkretne wskazówki, czy też ogranicza się do alegorycznych uogólnień, jak pozostałe książki?

Earl zamyślił się, po czym cicho odparł:

— Można by rzec, że daje wskazówki dla tych, którzy je rozumieją...

— Milordzie... jedno pytanie: czy milord sądzi, że istniał ktoś, kto rozumiał te misteria?

— Tak. Fludd je rozumiał. Asaph Pendragon także.

Milczał przez chwilę, przyglądając mi się wnikliwie.

— Istnieje jakaś pramądrość, jakieś praobjawienie, w porównaniu z którym wszelka wiedza ludzka jest zaledwie słabym roztworem — powiedział cicho — coś, co człowiek tracił w miarę, jak zdobywał umiejętność racjonalnego myślenia.

— Tak — zgodziłem się — to dzisiaj już niemal naukowo udowodniona prawda. Mitologia każdego narodu zaczyna się od mędrca, głoszącego słowa prawdy: Hammurabi w Babilonii, Hermes Trismegistos w Egipcie...

— I każdy wielki myśliciel uważał, że prawdę otrzymali ludzie skądś z daleka, z praczasów. Proszę przypomnieć sobie bajkę o Atlantydzie Platona... Był sobie świat... wielka wyspa, którą połknęło morze... To stamtąd przywozili ze sobą tajemnice egipscy kapłani. Być może, że zatopiona wyspa to jedynie symbol — symbol wiedzy magicznej, która później utonęła w świadomości ludzi i tylko we śnie zjawia się niekiedy...

— Zawsze pojawiali się ludzie albo tajne stowarzyszenia — ciągnął earl — którzy

głosili, że to oni strzegą dawnej wiedzy. Wiedzę czy tajemnicę egipskich kapłanów przejęli aleksandryjscy mistrzowie; od aleksandryjczyków żydowscy kabaliści i gnostycy, od gnostyków templariusze, a od żydowskich kabalistów późniejsi średniowieczni mistycy: Pico della Mirandola, opat Trithemius, Cardano, Raimundus Lullus, Paracelsus i wreszcie różokrzyżowcy. Różokrzyżowcy to ostatnie ogniwo łańcucha...

— A co potem?

— Potem następuje racjonalizm. Człowiek zaczyna myśleć systematycznie, przyrodniczo-naukowo. Wynajduje maszynę parową i demokrację. I dawne poznanie staje się paradoksem, naszym systematycznym umysłem nie możemy go pojąć, podobnie jak nie możemy pojąć zabobonów murzyńskich. To, co później następuje — okultyzm — to oszustwo i parodia. Bał maskowy racjonalnego człowieka w irracjonalizmie. Wolnomularze osiemnastego wieku, spirytyści, teozofowie, St. Germain i Cagliostro twierdzili, że życie ich trwa od kilku tysięcy lat. Niewątpliwie kłamali. Ale cóż, czy dlatego, że wiele ludzi kłamie, iż zna księcia Walii, należy wnioskować, że istnienie księcia Walii jest tylko fikcją?...

— Dzisiejszym sposobem rozumowania nie potrafimy pojąć tych rzeczy. Uważamy, że ciało to mechanizm, który z biegiem czasu zużywa się i ulega zniszczeniu. Asaph Pendragon i Fludd natomiast byli zdania, że życie ludzkie można przedłużać dowolnie: *Physis physei kratei*. Przyroda panuje nad przyrodą.

Earl wstał i wielkimi krokami przemierzył salę.

— Milordzie... tyłu uczonych znało tajemnicę wyrabiania złota, a jednak nikt złota nie wyrabiał. Czy ci, którzy znali tajemnicę przedłużania życia, nigdy nie spróbowali urzeczywistnić swojej wiedzy?

Głos earla dochodził skądś z przeciwległej strony ogromnej sali:

— A skąd pan wie, że nikt?...

Błyskawicznie przemknęło mi przez myśl wszystko, co wiedziałem o doświadczeniach earla. Olbrzymie axolotle, których życie przerywał na całe lata, a potem je przywracał... A historia, że kazał się żywcem pogrzebać, a gdy go odgrzebano...

Doznałem błyskawicznego skojarzenia.

— Milordzie — zerwałem się na równe nogi — dziś po południu byłem na zamku Pendragon...

— Wiem — rzekł earl spokojnie.

— Doprawdy? Może milord był wówczas w starej wieży?

— Nie, ale to nie ma znaczenia. I o tym wiem, żeście byli w grobowcu. Domyślałem się nawet, że pan odgadł tożsamość różokrzyżowca.

— Różokrzyżowiec i Asaph Pendragon to ta sama osoba, prawda?

— Tak, Asaph był mistrzem. Pozostali to tylko uczniowie. Fludd także. Nawet nie był najlepszym uczniem, Fludd nie pochodził ze znakomitego rodu: pragnął opublikować wszystko, co wiedział. Dlatego napisał tak dużo, co dziś brzmi już śmiesznie. Każda publikacja fałszuje istotę prawdy. Uczni z prawdziwego zdarzenia niechętnie ogłaszają swoją wiedzę, Asaph nie pragnął, aby sklepikarze dowiedzieli się o jego odkryciach.

Wyczułem, że earl stara się unikać odpowiedzi na najważniejsze pytanie.

— Gdzie się znajdują zwłoki Asapha Pendragona? Grób jest pusty...

Earl długo nie odpowiadał.

— Może przewieziono je gdzie indziej... — rzekł w końcu. — Może do parku w Llanvygan. Trzynasty earl of Gwynedd, John Bonaventura, otworzył grób w zamku Pendragon...

John Bonaventura! To imię już wtedy uderzyło mnie, kiedy w Museum czytałem sagę rodzinną. Już wtedy zdawało mi się, że gdzieś o nim czytałem. Teraz nagle przypomniało mi się, gdzie...

— Wiem — wtrąciłem — otworzył grób i po stu dwudziestu latach zastał Asapha w stanie pierwotnym...

— Skąd pan wie? — wrzasnął na mnie earl osłupiały.
— Czytałem w pamiętnikach Lengleta de Fresnoy.
— Lengleta de Fresnoy? To ten, co napisał historię alchemików w 1760 roku?
— Tak. To on.
— I co on jeszcze pisze w swoich pamiętnikach?
— Nie pamiętam, ale coś przedziwnego... coś w tym sensie, że Asaph Pendragon wcale nie umarł... ale nie pamiętam dokładnie.
— W jaki sposób dotarł pan do pamiętników Lengleta de Fresnoy? Gdzie one się znajdują?
— Rękopisy znaleziono w spadku po wicehrabim of Braedhill. Rok temu skatalogowaliśmy je. Wtedy właśnie wpadły mi do rąk. Obecnie znajdują się w British Museum.
— Co, w British Museum? Przecież to potworne!
Earl przemierzał salę długimi krokami. Dopiero teraz zrozumiałem, że wymiar sali przystosowano do chodzenia tam i z powrotem. Podłoga dudniła pod jego krokami. Szacowni półnaczy starcy trzęsąc się kiwali głowami na półkach.
— Musimy coś przedsięwziąć, zadziałać... Świadomość, że najbardziej strzeżoną tajemnicę moich przodków... udostępniono ogółowi, jest nie do zniesienia. To tak, jakby urządzo- no promenadę w grobowcu rodzinnym... a poza tym muszę... muszę wiedzieć, co zawierają pamiętniki. Musimy zdobyć ten rękopis... ale ja nie mogę pojechać do Londynu... a ci gangsterzy... doktorze, mam pomysł!... pan pojedzie do Londynu w moim imieniu.
— Bardzo chętnie, milordzie.
Earl uspokoił się, powrócił do swego fotela, niby wielka fala po burzy.
— British Museum ma pewne zobowiązania wobec mnie. Kiedy przejąłem earlostwo, darowałem im wiele wartościowych dzieł. Doktorze, pan zgłosi się do dyrektora biblioteki i zaproponuje zamianę... jak pan sądzi, doktorze, co mu zaproponować?
— Może jeden z perskich kodeksów.
— Znakomicie. Jutro rano sporządzimy wykaz kodeksów perskich i pan będzie uprzej- my zakomunikować dyrektorowi, że ma wolny wybór. Takie perskie dzieło, wydaje mi się, ma dziesięciokrotnie większą wartość niż rękopisy Lengleta de Fresnoy. Gdyby miał pan jakiegokolwiek trudności, proszę zwrócić się do mego adwokata, mister Aleksandra Setona w Inner Temple. Na wszelki wypadek proszę go odwiedzić i naradzić się z nim. Zaraz napiszę listy do niego i do dyrektora Museum.
— Milordzie — wyznałem szczerze — wielki to dla mnie zaszczyt pójść do Museum w charakterze wysłannika Llanvygan...
Zapukano do drzwi i wszedł Rogers: zwrócił mi naboje.
— W parku nie widziałem nic podejrzanego — zameldował.
— Trzeba jeszcze raz sprawdzić wszystkie bramy — polecił earl — i postawić wartę na klatce schodowej — tu zwrócił się do mnie — wiodącej do pokojów Cynthii i Osborne'a. Bo po tej historii z otwartym lochem wszystkiego można się spodziewać...
Pożegnałem się i poszedłem do siebie.

*

Siedziałem w swoim fotelu, niespokojnie paląc papieros za papierosem. Była to jedna z tych nocy, kiedy człowiekowi nawet na myśl nie przychodzi, jak uspokajająco działa i do jakich filozoficznych rozważań skłania pykająca fajka w zębach.

Jutro jadę do Londynu na zlecenie earla ot Gwynedd. Ileż miałem przeżyć w ciągu dzisiejszego dnia: grób różokrzyżowca, otwarta kłapa lochu, nagłe zdemaskowanie Maloneya, jego ucieczka i tajemnica książek — sprawy nieodgadnione, zawile jak podziemny labirynt... Któż by mógł dzisiaj spać wśród chwiejących się, jak dekoracja, ścian pałacu?

Bywają chwile, kiedy wszystko nabiera głębszego znaczenia. Przez otwarte okno wiatr przynosi kompozycje zapachów: upajającą słodycz kwiatów z ogrodu, stateczny aromat szumiących drzew, woń słomy i stajni, i czegoś gorzkiego nie określenia.

Jesteśmy smutni — smutkiem szesnastolatków; przed oczami nieomal graficznie rysuje się linia naszych złamanych miłości, powściągliwie cieszymy się na jutro, pijemy na skórze niedźwiedzia w lesie i w obrębie dziesięciu kilometrów chwytamy każdy szmer.

Wiemy, że w kuchni wre jeszcze życie. Ktoś, może spóźniony ogrodnik, chodzi pod oknem. W pokoju Cynthii jeszcze się świeci — może wejść do niej?... Zapewne stuka na maszynie... Co drugi dzień pisze dwudziestostronicowe listy do swojej tajemniczej przyjaciółki.

Jest lato, ale intensywnie czuję, że będzie zima przywdziana w wigilijną biel, kiedy herbata smakuje szczególnie. Pragnąłbym płynąć statkiem wśród zielonych lagun Wysp Koralowych... Pragnąłbym wszystkiego, a przez moje pragnienie angażuję się wszędzie i we wszystko...

W takie dni zwykle ktoś umiera...

Tak właśnie się czułem owej nocy, kiedy biedny Joe napił się sublimatu z rozpaczy, że nie znalazł kupca na maszynę do pisania. Tak właśnie czułem się tamtego rana, zanim przeczytałem w gazecie, że Jennifer Andrews utopiła się w morzu z całą wycieczką. Nie wiemy, gdzie kończy się nasza dusza. Wydaje mi się, że to Madach * napisał.

Może pójść na spacer do parku?... O śnie i tak nie ma mowy. Ale dręczyło mnie poczucie grozy nie do określenia.

Wizje, przyprawiające o dreszcze, przesuwają się w wyobraźni jak w kalejdoskopie. Człowiek odpędza je od siebie, ale tym intensywniej wraca do nich myślami. Moją wyobraźnię zaludniły niesamowite potwory earla: galaretowate olbrzymie białe axolotle, kołyszące się leniwie pośród długich łodyg wodnych roślin. Niektóre zmarły już dziesięć razy... gdyby jeden z axolotli wydostał się stamtąd... i zjawił w moim pokoju...

Zapaliłem światło i długimi krokami przemierzałem pokój.

Ten gnębiący mnie niesamowity niepokój to wzmożona reakcja systemu nerwowego po zbyt bogatych wydarzeniach dnia. Normalnie przez cztery miesiące nie dzieje się tyle rzeczy naraz...

Ten szelest, który uchwyciło moje ucho, to zapewne sowa... Dziwny to ptak, widzi w nocy jak connemaryjczycy... Ten krzyk... wydał z siebie jakiś „skrzydłacz” zbudzony nagle ze snu. Gdybym znał się choć cokolwiek na ptakach, to poznałbym, jaki...

Ten trzask... to gałąź drzewa złamała się na silnym wietrze.

Teraz miękkie, aksamitne kroki... zapewne któryś z wielkich psów... Jednego nazywają Maxim, drugiego, bernardyna — Emir... nie do wiary, jak cicho potrafią stapać takie wielkie stworzenia...

I te odgłosy... jakby ktoś walił nas po głowie kijem owiniętym gąbką... Słyszę czyjeś kroki nade mną w apartamencie earla. Widocznie on także nie może spać. .

Księżyc wygląda jak... no jak?... Ech, któż by dziś potrafił wymyślić oryginalne porównanie... Księżyc jak księżyc.

A cóż to znowu za szmer? Jakby ktoś szorował ścianę. Może anioły stróże Llanvygan pragną mieszkańcom pałacu sprawić niespodziankę olśniewającą czystością ścian?...

Ależ doktorze Bątky... Ktoś rzeczywiście szoruje ściany!

Potem potworny, nieludzki krzyk przedarł na strzępy ciszę nocną. Po czym głuchy łomot gdzieś głęboko, bardzo głęboko... w otchłani. Dopadłem do okna. Na dole leżała jakaś ciemna postać wstrząsana drgawkami. A nade mną na balkonie ktoś stał. A może kołysał się w powietrzu?... czy ja wiem?... wszystko było jakieś nierealne. Może czarny płaszcz okrywający tego kogoś był tylko tworem imaginacji... a może cała postać była zjawą, którą moje oczy wyłowiły z gęstwiny ciemności?...

* Imre Madách (1823—64) — wielki pisarz węgierski.

A potem błyskawicznie zatriumfował realizm. Trzaskanie drzwiami, tupot nóg, ludzkie głosy rozlegały się zewsząd. Służba z lampami biegła do parku.

Jednym susem znalazłem się na korytarzu. Ja, János Bátky, będąc już całkowicie sobą zbiegłem po schodach do parku. Skończyły się czary.

W parku staliśmy nad zwłokami: earl z rozwichrzonymi włosami, w szlafroku. Osborne w gumowym płaszczu — wszyscy prezentowali się jakoś przedziwnie.

Któryś z nas uniósł głowę zmarłego i oświetlił lampą. Poznaliśmy Maloneya.

Człowiek po śmierci staje się prosty i naturalny. Dopóki Maloney żył, był sprytny i podstępny, maskując te cechy gadulstwem i münchhauseniadami. Teraz leży tutaj. Ucieczką na motocyklu uzyskał wystarczające alibi, po czym wrócił cichaczem, usiłował wspiąwszy się po murze dostać się przez okno do apartamentu earla i runął albo został zepchnięty przez nieznaną rękę. I connemaryjczycy także się zabijają spadając z dwupiętrowej wysokości...

Earl przyjął postawę głównodowodzącego. Obojętnie, po żołniersku wydał polecenie, gdzie przenieść zwłoki. Kiedy je podnoszono, zwróciłem uwagę, w jak dziwnej pozycji spadł nieszczęsny Maloney: szyję miał wykręconą, twarz obróconą do tyłu, jak czarownicy w „Boskiej komedii”.

Wolnym krokiem wróciłem z Osborne'em po schodach, słuchając zdumiewającego nekrologu zmarłego:

— Był najsympatyczniejszym mordercą, jakiego kiedykolwiek widziałem.

Tej nocy znowu słyszałem tętent końskich kopyt. Zawsze mam lekki sen, ale sensacje tego dnia trzymały mnie przez całą noc w napięciu. Co pięć minut budziłem się, przewracałem na drugi bok z jękiem i znowu zapadałem w sen...

O trzeciej nad ranem dobiegł mnie tupot koni. Rzuciłem się do okna i zobaczyłem jeźdźca z płonącą pochodnią jak pierwszej nocy, mknącego w stronę Pendragonu.

*

Następnego dnia earl zjawił się przy śniadaniu, na które zaprosił Rev. Dafyda Jonesa. Poza earlem każdy z obecnych był niespokojny i nosił ślady bezsenności, zwłaszcza Cynthia. Tego rana szczególnie zachwyciłem się nią. W ciemnej sukience, z podkrążonymi oczyma i błądząco wydała mi się niezwykle piękna — romantyczna kasztelanka, którą prześladowe fatum rodzinne.

Earl zrelacjonował pastorowi, w jakich okolicznościach zginął Maloney. Przedstawił, jak ciężkie podejrzenia obarczyły Maloneya, który nie mając argumentów na swoją obronę uciekł z pałacu motocyklem, po czym chyłkiem w nocy powrócił z zamiarem dostania się do apartamentu earla i runawszy z drugiego piętra zabił się na miejscu.

Earl wydał polecenie — chociaż nikt nie znał przynależności wyznaniowej Maloneya — aby go pochowano zgodnie z obrządkiem Kościoła anglikańskiego jeszcze tego samego dnia. Osborne zaś miał załatwić formalności. Nikt w pałacu nie znał jego rodziny, gdyż Maloney nigdy nie wspominał o nikim. Rogers twierdził, że Maloney nie otrzymał żadnego listu podczas pobytu w Llanvygan.

Z kolei earl powtórzył swoje życzenie, abym bezzwłocznie wykonał to, co wczoraj zostało między nami uzgodnione. Doszliśmy jednak do przekonania, że nie jesteśmy w stanie skatalogować kodeksów perskich, zgodnie z naszym wczorajszym planem, gdyż żaden z nas nie zna perskiego. Z kodeksów poza ilustracjami nie rozumieliśmy ani słowa Earl zaproponował, abym dowolnie wybrał pięć rękopisów, które sądząc po ilustracjach wydają się najbardziej wartościowe, i te zawiózł do Londynu.

Wybrałem więc i zapakowałem pięć kodeksów.

Po obiedzie pożegnałem się z earlem przyrzekając, że w możliwie najkrótszym czasie

powrócę z upragnionym rękopisem.

Następnie pożegnałem się z Cynthią nie bez wzruszenia: było to nasze pierwsze rozstanie. Cynthia z angielską powściągliwością zegnała mnie słowami:

— Mam nadzieję, że pobyt pana u nas był przyjemny... — Przy tym oboje byliśmy tak zmieszani, że wymowniej świadczyło to o naszych uczuciach niż górnolotne słowa.

Wieczorem przyjechałem do Londynu i udałem się do mego skromnego hoteliku w dżungli hoteli za British Museum. Rozpakowałem walizkę i zszedłem do restauracji, by spożyć potwornie przyrządzony rostbef z jarzynami, przyrządzonymi jeszcze bardziej potwornie.

Po kolacji z miną przegranego człowieka mieszałem żółty płyn, rozmyślając nad tym, czy to, że Anglicy nie potrafią parzyć po ludzku kawy, dzieje się na skutek purytańskich i metodystycznych hamulców religijnych, gdy wtem poczułem czyjaś rękę na ramieniu. Rękę kamiennego posagu.

Podniosłem wzrok i raczej z radością stwierdziłem, że niczym wieża sterczy nade mną stara znajoma: Lena Kretsch korzystająca z pruskiego stypendium w celu studiowania perskiej historii. Przerwy międzysemestralne z reguły spędzała w Londynie, pracując w British Museum. Zazwyczaj mieszkała w moim hoteliku, utrzymując ze mną przyjazne stosunki, zarówno jako z miłym kolegą, jak i stałym gościem Museum.

Chociaż mówiąc szczerze trochę jej się bałem i kiedy bywałem w nie najlepszym humorze, nie wracałem do domu, abym nie musiał pić piwa. w jej towarzystwie.

Nie jej brzydota mnie odstraszała, była raczej ładna, w typie „kawał kobiety”, i miała ogromne powodzenie u mężczyzn. Niewątpliwie dobrze się prezentowała. Należała do tych kobiet, u których oczko w pończosze dopiero co poleciało albo akurat oberwał się guzik lub trzasnęła bluzka, toteż człowiek odnosił wrażenie, że Lena znajduje się w nieustannym rozwoju fizycznym.

To raczej jej usposobienie wywoływało we mnie lęk. Lena Kretsch była w gruncie rzeczy „Gemütmensch” — ofiarna, wielkoduszna, a zarazem absolutnie nowoczesna, to znaczy zgoła wyprzedzająca o dwa tygodnie najnowszy rozwój umysłowy. Gardziła sentymentalizmem, była zawziętą zwolenniczką Neue Sachlichkeit, czyli współczesnej rzeczowości.

Nasza przyjaźń zaczęła się tak: Lena uratowała mnie, kiedy się paliłem. Pewnego razu siedziałem zbyt blisko kominka, czytając „Timesa”. Nawiasem mówiąc nigdy nie dawałem sobie rady z angielskimi gazetami. Widocznie trzeba mieć wrodzony dar. aby ogromne płachty papieru składać w tak mikroskopijne części. Toteż przerzucane strony „Timesa” zajęły cały pokój.

Przypuszczalnie boy hotelowy właśnie przed chwilą dorzucił — także nieostrożnie — drzewa do kominka. „Times” zajął się ogniem, ja musiałem sprawiać wrażenie płonącej pochodni. Szczegółów nie pamiętam, wiem zaledwie tyle, że Lena natychmiast wyrosła obok mnie, zdeptała płonąca gazetę, chlusnęła na mnie kilkoma filiżankami ciepłej herbaty, którą znalazła w pokoju, targała mnie za czuprynę poddając szczegółowemu badaniu, czy aby nie trawi jej pożar, po czym zaciągnęła mnie do swego pokoju, rozebrała, umyła i przyodziała w jakieś części damskiej garderoby w wybitnie męskim stylu — nie wymawiając, zbyt obszernej na mnie — a tego wszystkiego dokonała, zanim zdążyłem powiedzieć choć tyle, że jestem jej niezmiernie zobowiązany. Po czym okrutnie mnie zbesztła za niezdarność.

Od tego czasu nie sposób było wybić jej z głowy, że jestem niewydarzoną oferma życiową i że zginę niechybnie, jeżeli nie będę pod czyjaś stałą opieką — i siebie wyznaczyła na moją opiekunkę.

Co dzień bez pukania wpadała do mego pokoju — bo po co pukać? — wyrzucała z szafy moje ubrania, aby poprzyszywać brakujące guziki, odgrzewała mi mleko na noc i ostrzyła żyłki. Zanim wyszliśmy z Museum, podchodziła, pakowała moje notatki, wsadzała mi teczkę pod pachę albo machała ręką oświadczając, że woli sama zanieść do domu, bo jeszcze zgubię.

A przy tym w kółko rozprawiała, jaki jestem niezaradny. Powiem szczerze, że nie lubię tego tematu, bo Bogiem a prawdą, nie należę do najsprytniejszych, a poza tym opieka Leny stanowczo źle na mnie wpływała. Stopniowo rzeczywiście stawałem się takim, jakim ona mnie widziała. Coraz częściej potykałem się o dywan, usiłowałem otwierać drzwi w odwrotnym kierunku, przez pół godziny szukałem zegarka, który miałem na rękę, gubiłem swoje notatki i zapominałem zjeść obiadu, kiedy Lena nie przypominała mi o tym.

Sytuacja ta stawała się wręcz zatrważająca. Na szczęście pewnego upalnego dnia Lena stwierdziwszy stanowczo, że lato w Londynie nie służy mi, zapakowała moje rzeczy, wykupiła bilet i wysłała mnie do Szkocji.

Pomysł był świetny, odbyłem ładną trasę wśród jezior i powróciłem do Londynu dopiero wtedy, kiedy rozpoczęły się wykłady na uniwersytecie i Lena pojechała do Oksfordu. Oczywiście później także spotykaliśmy się podczas ferii i nasza przyjaźń, chociaż może w mniej burzliwej formie, trwała nadal.

Na szczęście Lena dość często zmieniała swoich podopiecznych. I to była druga cecha charakteru Leny, która napawała mnie trwogą: niezwykle bogate życie seksualne. Nie mam nic w sobie z purytanina, moim zdaniem miłość to osobista sprawa każdego i wiem, że Lena jedynie przez ofiarność i z dobroci serca była tak „oddana”, a jednak ta jej niebywała wielostronność budziła we mnie lęk.

Przez dwa dni widziało się Lenę z chińskim inżynierem, potem przez tydzień z jakimś kanadyjskim farmerem, którego zastąpił pewien znany żygolak francuski, aby ustąpić miejsca staremu niemieckiemu filologowi i wreszcie polskiemu mistrzowi ping-ponga. Historię każdej miłości opowiadała kolejnemu ukochanemu. Włosy mi się jeżyły na głowie, gdy słuchałem szczegółów nie upiększonych nawet cieniem uczucia, chociaż niekiedy podkreślała „das Moralische”, co „verstehst sich von selbst” (nigdy nie mogłem rozszyfrować, co miała na myśli), a to wszystko opowiadała rzeczowo: rażąco rzeczowo.

Otóż po przyjeździe z Llanvyan znowu roztoczyły się nade mną opiekuńcze skrzydła Leny Kretzsch. Rzuciła kilka lekkich, acz niewybrednych uwag pod adresem mego wyglądu, po czym zabrała mnie na piwo. Nigdy nie odważyłbym się wypić tyle piwa i wypalić tyle papierosów co ona. Z pewną melancholią śledziłem bogatą konsumpcję i do zamknięcia lokalu słuchałem o jej ostatnich wyczynach, jak wyciągnęła z rzeki dwóch tonących atletów oksfordzkich, jak uratowała przed całkowitym bankructwem bogatego Szkota, który zaczął trwonić pieniądze na rozwiązać życie, i jak uwodziła profesora teologii, który do czterdziestego piątego roku życia zachował niewinność. Nie przypuszczałem nawet, z jaką żołnierską swadą wkroczy w moją przygodę walijską. Gdyby nie uczyniła tego, nie mówiłbym tyle na jej temat, gdyż do pewnego stopnia ja także jestem zwolennikiem modnej rzeczowości i nie lubię tracić słów na błahe epizody. No, ale nie wyprzedzajmy faktów.

*

Następnego dnia wyruszyłem, by wypełnić swoje posłannictwo.

Nie natrafiłem na żadne trudności. Dyrektor, do którego się zwróciłem, już otrzymał list earla. Długo i szeroko pawił, jakie to jest bezprzykładne w historii British Museum, aby wyrzec się przedmiotu stanowiącego własność Museum, jednakże uwzględniają zasługi earla of Gwynedd wzbogacenia zbiorów. Tu wyliczył, jakie fantastyczne skarby przekazał earl w darze Museum, kiedy przejął earlostwo.

Przewertował kodeksy, prosił o cierpliwość do wieczora, przez ten czas od swych zwierzchników uzyska pełnomocnictwo do wydania rękopisu, poza tym wschodni rzeczoznawcy uzgodnią między sobą, którego z kodeksów mają zażądać w zamian. Pożegnałem się i telegraficznie zawiadomiłem earla, że nazajutrz przyjeżdżam z rękopisem.

Wstąpiłem na obiad do małej włoskiej restauracji w dzielnicy Soho, gdyż jedynie

kolację jadałem w hotelu — jak na mój gust jeden posiłek angielski wystarczał mi w zupełności.

Gdy wróciłem do hotelu, czekał na mnie list. Otworzyłem: był od Eileen St. Claire:

„Drogi doktorze, sądzę, że powrócił już pan do Londynu. Bardzo proszę, by mnie pan odwiedził w »Grosvenor House«”.

Nie miałem ochoty odwiedzić tej damy. Po historii z pierścionkiem straciłem do mej reszty zaufania. Nie ulegało wątpliwości, że należy ona do spisku przeciw earlowi of Gwynedd. Postanowiłem nie pokazywać się nawet w pobliżu „Grosvenor House”.

Po południu odwiedziłem kilku znajomych, po czym udałem się do British Museum. Wszystko było w najlepszym porządku, otrzymali już pozwolenie na wydanie rękopisu i rzeczoznawcy wybrali najbardziej atrakcyjny dla nich kodeks perski.

— Właściwie zamiana jest bardzo korzystna dla Museum — powiedział dyrektor. — Ten kodeks, mówiąc między nami, wart jest pięćset funtów, natomiast rękopis, moim zdaniem, to istne brednie. Widocznie earla interesują dzieje jego rodziny. Zawiera on bowiem jakąś nieprawdopodobną historię o jednym z earłów of Gwynedd.

Kiedy powróciłem z książkami, portier spojrzał na mnie znacząco.

— Jakaś dama czeka na pana w hallu.

W hallu zastałem Eileen St. Claire. Wokół niej goście hotelowi, starsze panie z Nowej Zelandii osłupiały siedziały nad swoimi robótkami ręcznymi. Milcząco przyglądały się Eileen St. Claire z tą charakterystyczną pogardą, którą kobiety niepowabne żywią do pięknej osoby.

Eileen St. Claire przywitała mnie z uśmiechem, siedząc wygodnie i flegmatycznie, jakby to było najzupełniej naturalną rzeczą na świecie, że tam na mnie czeka.

— Pójdziemy razem na kolację — oświadczyła. — Muszę niezwłocznie z panem pomówić.

Zmieszany jak uczeń, kłamałem jak z nut. Na ogół nie umiem kłamać. Toteż rzekome różne umówione spotkania z przyjaciółmi brzmiały niezbyt przekonująco. A przy tym sądzę, że mówiłem za wiele.

Eileen St. Claire nie zadawała sobie nawet trudu, by mi choć pozornie wierzyć. Nie reagowała na to. Po prostu domagała się, abym towarzyszył jej przy kolacji.

Opór mój słabł coraz bardziej. Ostatecznie nie co dzień mam okazję pójść na kolację z tak piękną kobietą. A poza tym co innego kolacja w „Grosvenor House”, a co innego w moim hoteliku. Ostatecznie co może się stać? Opowiem jej tyle, ile będę uważał za wskazane. A może nawet dowiem się od niej czegoś nowego... Powściągliwość moja właściwie nie miała realnej podstawy. W głębi duszy byłem święcie przekonany, że wszystko, co ma jakikolwiek związek z Eileen St. Claire, nie wróży mi nic dobrego. Może dlatego, że tak bardzo mi się podobała. Ludzie często mają takie paradoksalne zahamowania wobec tego, czego bardzo pragną...

W końcu zgodziłem się, i gdyby Eileen St. Claire rozmyśliła się, w skrytości ducha wpadłbym w rozpacz. Poczułem nieodparte pragnienie zobaczyć Eileen St. Claire jedzącą i pijącą, krótko mówiąc, przy zwykłych ludzkich czynnościach.

Odniosłem książki do swego pokoju i zamknąłem je w szafie. Następnie w możliwie najkrótszym czasie przebrałem się w wieczorowy strój i zbiegłem po schodach. Eileen St. Claire w hallu poprawiła mi krawat.

„Hispano”, jeden z samochodów Eileen St. Claire, czekał przed hotelem i pomknęliśmy w kierunku „Grosvenor House”.

W samochodzie bez ceregieli zapytała:

— W jakich okolicznościach zginął ten nieszczęśliwy Maloney?

— W takich, jak opisały gazety. Runął z drugiego piętra. Padł ofiarą swojej namiętności sportowej.

— To straszne, aż mi się wierzyć nie chce. Byłam kiedyś z nim w Szwajcarii: wspinał

się po najniebezpieczniejszych skałach. Trudno sobie wyobrazić, by spadł ze zwykłego balkonu.

— Zdarzają się takie wypadki. Człowiek szczęśliwie wspina się sto razy po skałach, a za sto pierwszym razem runie. Może właśnie z najmniej niebezpiecznej.

— Nie, Maloneyowi nie mogło się to przydarzyć

— A według pani, co mu się mogło stać?

— Zepchnięto go.

— Co za pomysł! Kto miałby go zepchnąć?

— No właśnie. Nie chciałabym na nikogo rzucać podejrzeń. Ale ja dłużej znam mieszkańców Llanvygan niż pan. Doktorze, pan nawet nie wie, w jaką sprawę pan się wplątał.

Wolałem nie mówić, że wiem. Że wiem, iż Maloney i ona są uczestnikami ciemnego spisku. Nie... Dziś pragnąłem po prostu zjeść kolację z Eileen St. Claire jako z piękną kobietą i mówić jedynie o tym, o czym się zwykle z piękną kobietą mówi.

Podjechaliśmy do „Grosvenor House”. Ze zdumieniem i z radością, lecz z domieszką tremy przyjąłem do wiadomości, że kolacji nie będziemy spożywać w restauracji, ale w apartamencie Eileen St. Claire.

Nasze pokolacyjne tête à tête zaczęło się beztrąsko, jak zwykle między kobietą i mężczyzną, którzy nie mają przed sobą żadnych tajemnic i chcą po prostu spędzić przyjemnie wieczór. Zabawianie Eileen St. Claire bynajmniej nie należało do najłatwiejszych. Ona sama mówiła niewiele i odpowiadała tylko półsłówkami. Ja zaś mówiłem niezwykle dużo. Dobra kolacja i wino rozwiązały mi język. Eileen St. Claire jadła i piła normalnie, rzekłbym, nawet z wyraźnym apetytem, a wino konsumowała w poważnych ilościach. Pod wpływem alkoholu stała się bardziej ludzka. Głos jej przybrał cieplejszy odcień i wydawała się naturalniejsza, patrzyła w oczy nieomal przyjaźnie, ale niezaprzeczalnie pociągająco. Niekiedy rzucałem jakieś pytanie dotyczące jej osobiście, ale uchylała się przed odpowiedzią.

Przy deserze odkryliśmy wielu wspólnych znajomych. Popijając kawę zaryzykowałem opowiadać to i owo: że lady Nichols w rosyjskim ludowym stroju przyjmuje intymnie odwiedziny swego rosyjskiego szofera, by ukoić jego melancholijną słowiańską tęsknotę do ojczyzny... Że Edwin Ponsonby dlatego woli chłopców, bo każda kobieta przywodzi mu na myśl królową Aleksandrę i przez to czuje do nich nieprzewyciężony respekt... że madame de Marignan złościły niektóre rażące nawyki rodaków i przed swoją willą w Juan les Pins wywiesiła tabliczkę na palmie: Pour chiens seulement. Słowem, byliśmy w dobrych stosunkach.

Stopniowo wprawiała się w ruch moja wyobraźnia. Może kiedyś będziemy sobie zupełnie bliscy... z Eileen St. Claire nigdy nic nie wiadomo. Cristofoli także nie spodziewał się wtedy, 14 Lipca... To dobry znak, że szczerze bawią ją te historyjki i nie wspomina o pierścionku i temu podobnych nieprzyjemnych sprawach.

Później ni stąd, ni zowąd, sam nie rozumiem dlaczego, rzuciłem:

— Pierścionek pani przekazałem earlowi of Gwynedd.

— Domyślam się. A earl, przypuszczam, nie był zbyt ucieszony...

— Nie. Nic nie rzekł i odszedł.

— A czy pan powiedział, od kogo pan dostał pierścionek?

— Skądże znów? Dałem pani przecież słowo honoru, że nie powiem.

— Biedny Maloney pisał mi, jakie potworne rzeczy działy się w Llanvygan. Ktoś strzelał do earla. Czy oni nie domyślają się, kto?

— Nie mówili mi o tym.

— A jeśliby mówili... mówiliby nieprawdę. Kiedyś, gdy poznam pana bliżej, opowiem mu to i owo o Pendragonach.

— A kiedy pani pozna mnie bliżej? Mam nadzieję, że pani często będzie dawała mi okazję, bym się pokazał we właściwym świetle. Zobaczysz pani, że jestem najlepszym chłopakiem pod słońcem.

— To od pana zależy, czy będziemy przyjaciółmi, czy nie. Dotąd tylko raz o coś pana prosiłam, a pan nie spełnił mojej prośby.

— Czy nie przekazałem pierścionka?

— Pierścionka?... To było już dawno... Nawet o tym zapomniałam. Prosiłam pana, by mi opowiedział, co pan wie o śmierci biednego Maloneya.

Opowiedziałem więc o nocnych treningach Maloneya i że na własne uszy słyszałem, jak runął, i że stałem nad jego zwłokami.

— Doktorze, a... przed wypadkiem czy nie było jakiejś sprzeczki między earlem i Maloneyem?

— Nie. Z całą pewnością wiem, że earl ani razu nie zamienił z Maloneyem więcej niż dziesięć słów.

Była to prawda — w dosłownym znaczeniu. Inna sprawa, że na polecenie earla Osborne przeprowadził z nim rozmowę. Wolałem nie ujawnić, że wiem o machinacjach Maloneya. Piłem ostrożnie, abym nie utracił kontroli nad sobą.

Eileen St. Claire zmieniła taktykę. Twarz jej przybrała sentymentalny wyraz i podjęła dłuższą pogawędkę.

— Doktorze, mówiłam panu, kiedy jechaliśmy do Chester, że earl of Gwynedd był kiedyś moim najlepszym przyjacielem. Nikt nie zna go tak dobrze jak ja i sądzę, że nikt nie lubi go tak bardzo jak ja. Ostatnimi czasy dzieją się rzeczy straszne... Usiłują zamordować earla of Gwynedd... Wiem o tym... Pan także o tym wie... A co najpotworniejsze, earl nawet palcem nie ruszy, aby się ratować... Tylko dwie osoby wiedzą, kto czyha na jego życie: on i ja. Ponieważ on nie podejmuje żadnych kroków dla swego bezpieczeństwa, ja czuję się w obowiązku ratować go za wszelką cenę. I bardzo pana proszę o pomoc... Przecież, o ile mi wiadomo, pan tak ceni earla...

— Tak, dla bezpieczeństwa earla gotów jestem na wszystko. Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

Oczywiście nie wierzyłem jej ani przez chwilę. Nawet gdybym nie wiedział tyle o Maloneyu, który był jej sojusznikiem. Po pierwsze dlatego, że znowu mówiła jak automat: chłodno, obojętnie, nieludzko... a po drugie, że była przepiękna.

Piękność kobiet budzi we mnie nieufność i pesymizm. Gdybym był dyktatorem — kazałbym aresztować każdą piękną kobietę. Losy świata toczyłyby się o wiele bardzkiej pokojowo.

— Proszę posłuchać, doktorze — ciągnęła Eileen St. Claire — być może, że to, co powiem, będzie się panu wydawało zbyt fantastyczne, ale nie wykluczam, że pan także o tym wie. W pałacu albo w okolicy pałacu musi ktoś być... ktoś tajemniczy, ktoś nie do określenia... — kto za pomocą całego arsenału magicznych rekwizytów staje się nieuchwytny. Maloney pisał mi o pewnym obłąkanym wieśniaku, który zaczął prorokować, i o jakimś przedziwnym starcu, którego widział pewnej nocy. Biedny Maloney, wtedy na myśl mu nie przyszło... Doktorze, jestem więcej niż pewna, że to on, ten starzec, zabił Maloneya.

Odsunąłem się z krzesłem i osłupiały gapiłem się na Eileen St. Claire. Tak, ja także odniosłem wrażenie, że tajemniczy nocny jeździec zepchnął Maloneya z balkonu. Widziałem go nawet przez ułamek sekundy...

Ale ja nie wspominałem o tym nikomu, jedynie Cynthii... Skąd więc Eileen St. Claire może o tym wiedzieć?

Przez chwilę byłem skłonny jej wierzyć. Lecz po krótkiej wewnętrznej walce przemo-głem się i nic nie powiedziałem.

— Za późno — triumfowała Eileen St. Claire — teraz daremnie stroi pan głupią minę. Zdradził się pan, że wie o tym, a o to mi tylko chodziło.

— No cóż, nie mogę zaprzeczyć, że widziałem tajemniczego starca nad jeziorem. Ale nie rozumiem, co to ma do rzeczy?

— Bo to on, to on zabił Maloneya i on czyha na życie earla. Ja wiem, kto kryje się za tą maską. Jeśli pan mi pomoże, to go zdemaskujemy.

— W jaki sposób?

— Aby go zdemaskować, potrzebne jest zeznanie pana. Musi pan potwierdzić na piśmie, że pan widział jakiegoś przebierańca na balkonie, z którego Maloney runął.

Ciarki mnie przechodzą... Skąd ona wie, że widziałem...

Nagle doznałem olśnienia. To pułapka, ale sprytnie pomyślana. Pozornie w wyłącznym interesie earla żądają ode mnie zeznania. Przypuszczalnie uwierzyłbym w jej szlachetną intencję, gdyby Maloney nie wygadał się tak pochopnie w ostatni wieczór swojego życia. Gdyby nie zdradził, że należy do szajki, która ma przeciwdziałać, aby majątek Williama Roscoe nie dostał się w ręce earla, i gdyby nie proponował mi współpracy.

— Niestety, nie mogę dać żadnego oświadczenia na piśmie bez zgody earla. Ostatecznie on jest najbardziej kompetentny, w grę wchodzi przecież jego życie. Jedyne on może powziąć decyzję w sprawie swego bezpieczeństwa.

— A może earl nie życzy sobie, żebyśmy uratowali mu życie, albo nie chce, aby w ten sposób...

— W każdym razie, zanim się zdecyduję, muszę z nim pomówić.

Eileen St. Claire zmieszała się na chwilę.

— Earl nie wyrazi na to zgody. Nie pozwoli, by policja wkroczyła w jego osobiste sprawy. Jest zbyt butny... A mimo wszystko trzeba go uratować...

Wstała, podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu. Piers jej prawie musnęła moją twarz.

Sądzę, że bliskość jej ciała nawet w mumii wzbudziłaby przyjazne uczucia.

Objąłem ją w pól.

— Niech pan mi zaufa — rzekła miękko, z łagodną perswazją. — Ufa mi pan, prawda? — spytała głaszcząc moje włosy.

Wyżej wspomniana mumia także zapewniłaby ją, że jej ufa... Ale we mnie wzbudziła się owa paradoksalna diabelska przekora, silniejsza od wszystkich instynktów, które niekiedy zmuszają mnie do popełnienia czegoś najmniej oczekiwanego w danej chwili.

— Ani trochę nie ufam pani — odpowiedziałem czule, ale bez cienia żartów. — Wiem o wszystkim. Wiem, że panią także interesuje spadek po Williamie Roscoe.

Eileen St. Claire odepchnęła mnie od siebie.

— Co pan o tym wie? — i zaśmiała się.

Wstałem. Przez dobrą chwilę patrzyliśmy na siebie bez słowa. Ze złością było jej do twarzy.

— Niech pan stąd idzie!

— Dobrze, pójdę — odparłem. — Ale czy nie byłoby rozsądniej porozmawiać?

— O czym?... Niech pan już idzie! Co za bezczelność... oszukał mnie pan... Pozornie wygląda na łagodną prostolinijną duszyczkę... Kim pan właściwie jest? — spytała gwałtownie i źrenice jej rozszerzyły się trwogą.

— Daję pani słowo, że nie jestem detektywem. I nic wspólnego nie mam z tą całą sprawą, to przez pierścionek pani wplątałem się w to...

Słyszac strach w jej głosie poczułem się panem sytuacji. Moja nieśmiałość zniknęła bez śladu. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się wzbudzić strachu w pięknej kobiecie, toteż z tym większym rozmachem wykorzystywałem to.

Podbudowany psychicznie, stałem się niemal okrutny. Poczułem się nagle jak gumowy wąż w ogrodzie zoologicznym, którego wzięto za grzechotnika.

— Może zainteresuje panią — zacząłem jadownicę, jak na grzechotnika przystało — co ja wiem: na ile jestem wtajemniczony w tę sprawę i jak dalece mógłbym szkodzić pani, gdybym tylko chciał.

— Pan mnie szkodzić?

— Jeśli interesuje to panią, proszę usiąść obok mnie na kanapce, a wszystko opowiem. Eileen St. Claire usiadła z rezygnacją.

Psycholog niewątpliwie zakwalifikuje moją postawę jako sadyzm — tę rozkosz, z jaką głaskałem to piękne kobiece ciało, podczas gdy pod palcami czułem napinające się mięśnie od dławionego gniewu. Najchętniej rzuciłaby się na mnie jak rozwścieczona kotka, lecz w tej sytuacji zmuszona była robić dobrą minę do złej gry, gdyż inaczej nie dowiedziałyby się tego, czego musiała się dowiedzieć za wszelką cenę.

Zrelacjonowałem to, co wiedziałem. Było tego niewiele: że Maloney na polecenie spadkobierców był w Llanvygan, że to on strzelał do earla, że to on otworzył klapę w zamku Pendragon, to on usiłował skraść papiery, przy pomocy których earl mógł udowodnić, że śmiertelna choroba Roscoe została wywołana z premedytacją... Mówiłem, że wiem, iż ona, Eileen St. Claire, współdziałała ze spiskowcami i po to tylko dała mi pierścionek, aby odwrócić uwagę od Maloneya i rzucić na mnie podejrzenie.

W mojej relacji nie było właściwie nic, co mógłbym wykorzystać przeciwko Eileen przed sądem. Nic konkretnego, same domysły. Kiedy skończyłem opowiadanie, odniosłem wrażenie, że i moja rola się skończyła. Eileen St. Claire wyrzuci mnie ze zdwojoną wściekłością, gdyż bezpodstawnie dała się nastraszyć... I wyniosłbym się bez sprzeciwu, aczkolwiek spragniony byłbym jej ciała, lecz z satysfakcją, że ją upokorzyłem.

Ale tak się nie stało. Kiedy moje opowiadanie dobiegło końca, wstałem. Eileen St. Claire uśmiechnęła się z lekką drwiną i rzekła:

— Well, już się znudziło głaskanie Eileen?

Wyciągnęła ku mnie ręce i zanim się zorientowałem, co i jak, złączyliśmy się w zapierającym dech pocałunku.

Wówczas ten przeczący wszelkiej logice pocałunek wydawał się najmniej zrozumiały w całej tak mglistej przygodzie w Llanvygan.

Dopiero później, kiedy Eileen nieoczekiwanie wyzwoliła się z moich objęć i usiedliśmy znowu do stołu pijąc szampana, zaświtał mi w głowie sens tej gry. Nie jestem próżny ani zarozumiały, nawet przez chwilę nie przyszło mi na myśl, abym „powodzenie” zawdzięczał swojemu męskiemu sex appealowi. Eileen poza tym nie należy do typu kobiet, które angażują się uczuciowo bezinteresownie.

Nie, Eileen interpretowała moje zachowanie po swojemu, poniekąd logicznie, lecz błędnie: skoro tyle złego o niej wiem, powinienem zawołać z angielskim oburzeniem „*apage satanas*”, ja natomiast w jak najlepsze jem u niej kolację i zmuszam ją do flirtu. To prastara prawda, że każdy sądzi według siebie. Eileen wyciągnęła wniosek, że jestem skłonny do pertraktacji, ale w odpowiednim momencie i za odpowiednią cenę. A cena, albo przynajmniej pewna część ceny, to ona sama.

I podczas gdy popijaliśmy szampana w najlepszej komitywie, nagle odezwał się we mnie człowiek, który co pół roku zdawał kolokwium z etyki Kanta:

Ponieważ Eileen St. Claire nie otrzymuje ode mnie tego, czego oczekuje — zeznania, poparcia czy też współdziałania w spisku — czy mam prawo przyjąć w darze jej ciało? Czy nie postępuję tak samo haniebnie jak człowiek, który po konsumpcji nie płaci za sprzedaną miłość?

Lecz wkrótce uspokoiłem swoje sumienie. W takim nastroju przedziwnie łatwo daje się ono uspokajać. Ostatecznie ja jej nic nie przyrzekłem. To ona gra *va banque*.

— Teraz już naprawdę musimy się rozstać — rzekła po wypiciu butelki szampana. Lecz oczy jej mówiły: „Zostań”.

— Eileen, czy kolacja ma się skończyć na *hors d'oeuvre*?

— Sądzę, że *hors d'oeuvre* była dość obfita... a zresztą... to od pana zależy...

— Well?

— Proszę grzecznie usiąść przy biurku i napisać, co pan widział ubiegłej nocy w Llanvygan.

Wstałem: etyka Kanta znowu wzięła górę.

— Eileen, dla mężczyzny nie może być nic gorszego, niż wrócić teraz do domu... ale wolę wrócić. Nie napiszę ani słówka o tej sprawie: proszę nie liczyć na mnie.

— To żegnam pana — powiedziała Eileen i już w następnej chwili leżała w łóżku w sąsiednim pokoju i uśmiechała się do mnie pełna oczekiwania.

Do dziś nie rozumiem, kiedy zdażyła to zrobić — musiała mieć olbrzymi trening w szybkim rozbieraniu się! Szczerze mówiąc, ja nie byłem tak szybki. O, skomplikowana garderoba męska!... sznurowadła zawsze mi się płaczą w tak uroczystych chwilach...

Podarunek Eileen St. Claire był doprawdy cenny. Nigdy nic spędziłem nocy miłosnej, która by nawet w przybliżeniu zawierała tak bogaty i urozmaicony program. Jej giętkie ciało wiło się w moich objęciach, wibrowało, wykonywało tysiące ruchów, a każdy był inny, upajający, nowy i niezbadany jak otchłań morska.

Nad ranem przebudziłem się z krótkiego, męczącego snu. Eileen spała jeszcze: niewymownie piękna twarz spoczywała w amforowym wygięciu ramienia.

Wstałem, podszedłem do okna i zapaliłem papierosa. Za szybą jaśniał Hyde Park w nieziemskich odcieniach błękitu. Nad zielenią murawy bezradnie błąkały się zapomniane tam mleczne kłębki mgły. Wtedy wszystko wydało mi się grzeszne, niedopuszczalne, zakazane. Nieczyste sumienie wychowanka księży wspólnie lamentowało z nieufnym neurastenikiem: skąd się tu wzięłem? Czemu nie spaceruję wypoczęty z podniesioną głową po zroszonym trawniku Hyde Parku?...

— Chéri — rozległ się głos Eileen, którą obudził dym papierosa. Podszedłem i roztargniony całowałem ją po rękach.

— Chéri — powtórzyła matowym zmęczonym głosem — nie namyśliłeś się?

— A nad czym miałem się namyślić, chérie?

— Zeznanie... Wiesz, chéri, że mi potrzebne to pismo... — upominała tonem karcącym, jakby sprawa była już uzgodniona, że napiszę wszystko, czego ona sobie życzy.

Najchętniej zabiłbym ją: wstydziłem się niewymownie.

Zjedliśmy śniadanie, po czym trzeba się było pożegnać.

Eileen siedząc na łóżku powiedziała z uśmiechem:

— Byłeś bardzo miły, chéri, chętnie zobaczę cię jeszcze u siebie... ale tylko wtedy, gdy przyniesiesz to pismo... inaczej nie chcę cię znać... Ale jestem pewna, że przyniesiesz... już jutro, prawda? So long!

Wsiadłem do taksówki krępiąc się smokinga o tej godzinie. Zmarzłem, byłem niewyspany.

W taksówce spokojnie przeanalizowałem sytuację i osądziłem, że rozszyfrowałem taktykę Eileen St. Claire. Przypomniała mi się historia z Cristofolim i wykombinowałem co następuje: Eileen sądzi zapewne, na podstawie doświadczeń, że kto raz spędził z nią noc miłosną, nie może żyć bez niej, a przynajmniej nie długo. Że wspomnienie jej ciała będzie mnie kusić, prześladować, i pobudzona wyobraźnia zawiedzie mnie do niej za wszelką cenę.

W tym miejscu, że tak powiem, cierpki uśmiech zaigrał na moich ustach — zbyt cennie, bo nikt nie widział w taksówce.

Eileen nie zna mnie. Ja nie jestem Cristofolim, który wyszedł od niej z odpychającym uśmiechem na twarzy i wpadł w obłąd, gdy się dowiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Po takiej nocy we mnie nie zostaje nic prócz niesmaku, uczucia niewyspania i dręczących wyrzutów sumienia.

Nie jestem smakoszem, którego oczarowuje piękna linia ciała i doskonałość miłosnej techniki — w danym wypadku Eileen. Niełatwo się entuzjazmuję, chyba że w grę wchodzi literatura i historia. W kobiecie poszukuję czegoś zupełnie innego niż przemijającej harmonii

kształtów lub sztuki miłosnej. Nic z tych tanich rzeczy... Szukam czegoś, czego właściwie nie ma w kobiecie... i tylko poprzez nią kocham to coś innego.

W każdej kobiecie tym się rozkoszowałem, że była symbolem czegoś. Jedną kochałem, bo była dla mnie Szwecją, inną, bo przypominała kruchą sewrską porcelanę. Jeszcze w innej odnalazłem postać Joanny d'Arc... albo Diany z Efezu o tysiącu piersiach. Kiedy całowałem Cynthię, zdawało mi się, że w danej chwili flirtuję z angielskimi sonetami pięcio- i półjambowymi. W niektórych rozkoszowałem się czarem łąk szwajcarskich Alp. „Die Weiber sind silberne Schalen, in die wir goldene Apfel legen.” Eileen St. Claire — była Grzechem. Stało się. Teraz już dowiedziałem się wszystkiego. Poznałem smak nocy spędzonej z kłamstwem, Moja ciekawość erotyczna została zaspokojona. Było przyjemnie, ale przestało mnie interesować. Byłem więcej niż pewien, że nigdy nie zatęsknię za pocałunkami Eileen St. Claire.

Gdyby ktoś wówczas mi powiedział, że Eileen St. Claire będzie jeszcze raz moją kochanką — roześmiałbym mu się w oczy. A gdyby przepowiedział, w jakich okolicznościach, to pomyślałbym, że zwariował.

*

Nie wiem, na czym to polega, że każdy mój pokój po najkrótszym czasie przybiera charakter nieprzytulny i niezamieszkały. Mówi się, że w jakimś pokoju na pierwszy rzut oka widać kobiecą rękę: drobiazgi, serwetki, kwiaty, bibeloty, kosmetyki promieniają intymnym ciepłem ciała kobiety. W moim pokoju dokonuje się wręcz odwrotna przemiana. Drobiazgi znikają, pokój zamienia się w celę. Na każdym płaskim miejscu gromadzą się książki, książki w byle jakiej oprawie, a ich szarzyznę ożywia jakaś tania kolorowa fajka.

Lecz kiedy dziś wszedłem, wygląd mojego pokoju był wyjątkowo ponury. Może to przez posłane na noc łóżko, w którym nie spałem, a może byłem po prostu niewyspany i zmarznięty — dość że pośepność pokoju przejęła mnie dreszczem. Ogarnęło mnie nieokreślone przykre uczucie.

Wtem błyskawicznie uświadomiłem sobie przyczyny przykrego wrażenia i rzuciłem się do szafy. Drzwi były wyłamane. Policzyłem perskie kodeksy. Żadnego nie brakowało. Ale rękopis — memuar Lengleta de Fresnoy, który miałem zawieźć earlowi of Gwynedd — znikł.

Skradziono go.

W pierwszej chwili chciałem wyskoczyć z okna. Potem w skrajnym zdenerwowaniu zbiegłem na parter do kancelarii właściciela hotelu.

Opowiedziałem, co się stało, pokazałem drzwi szafy. Właściciel szczerze zrozpaczony bezradnie rozłożył ręce. Tyle ludzi przewija się przez hotel... zwłaszcza wczoraj wieczór mnóstwo Szkotów korzystając z ulgowych biletów przyjechało na mecz rugby Anglia — Szkocja. Całe miasto roilo się od Szkotów z gołymi kolanami i w czapkach Tam-o-Shanter.

Na wszelki wypadek trzeba zawiadomić policję.

— Tak, pędzę do Scotland Yardu — zgodziłem się i moja mieszczańska dusza z ulgą schroniła się pod opiekuńcze skrzydła policji.

Wkrótce jednak znowu ogarnął mnie pesymizm: rękopis w żadnym wypadku nie znajduje się już w hotelu, a odnalezienie go w Londynie, gdzie żyje osiem milionów ludzi na obszarze wielkości województwa, wydawało się mało prawdopodobne. Zresztą możliwe, że rękopisu nie ma już w Londynie... Może samolotem India Mail leci właśnie nad wschodnimi morzami...

Ale na wszelki wypadek pójdę na policję. Wróciłem do swego pokoju, wziąłem kąpiel, ogoliłem się i włożyłem sportowe ubranie. Odzyskałem spokój wewnętrzny. Sportowe ubranie to wspaniała rzecz, przywraca człowiekowi pewność siebie: czar, niesamowitość, miłość i złodziejstwo załamują się na miękkim kołnierzu. Może wszystko skończy się pomyślnie...

W hallu czekał na mnie list. Według portiera przyniósł go przed kwadransem jakiś

chłopiec. List pisany na maszynie zawierał, co następuje:

„Nie radzę podejmować pochopnych kroków; jeżeli pan chce odzyskać to, co zginęło, to spotkamy się w »Café Royal« dziś wieczór o dziewiątej. Jeśli pan zawiadomi policję, nigdy nie odzyska pan tego z powrotem.”

Autor listu przypuszczalnie ma rację... Policja nie jest w stanie wpaść na trop... A zresztą nie byłoby to po myśli earla of Gwynedd, gdybym wtajemniczył policję. Nazajutrz pisałyby o tym wszystkie gazety, a earl właśnie tego boi się najbardziej...

Po krótkim namyśle kazałem boyowi nadać do earla depezę następującej treści:

„Rękopis skradziony stop Jestem na tropie stop Mam nadzieję odzyskać stop List w drodze”.

Po czym napisałem wyczerpujący list i przez boya nadałem ekspresem.

Następnie zjadłem obiad, wziąłem brom na uspokojenie i położyłem się spać. Gdyby świat kiedyś się zawalił, nawet pod ruinami nie zrezygnowałbym z popołudniowego snu.

„Café Royal” to jedyna w swoim rodzaju kawiarnia w Londynie. We wszystkim stara się zachować francuski charakter. Wejście, czapkę chasseura, filizanki, łyżeczki zdobi obramowana liśćmi laurowymi litera N — inicjał Napoleona. Czarną kawę podaje się w szklankach, powietrze jest pod psem, a krzesła tak niewygodne jak w Paryżu. Dawniej było to miejsce spotkań angielskiej inteligencji, a nawet jeszcze dziś ma ciekawą publiczność, składającą się z aktoreczek i cudzoziemców.

Usiadłem przy stoliku pod ścianą i rozpocząłem nerwowe oczekiwanie.

Kwadrans po dziewiątej podszedł do mnie jakiś nieznajomy.

— Doktor Bątky? — zapytał.

— Tak.

Nieznajomy usiadł.

Poznałem go natychmiast. Nieczęsto widuje się tak zdegenerowaną trupa twarz, bez uszu i o zapadniętych oczach... To był ten sam człowiek, którego widziałem w Fontainebleau w towarzystwie Eileen St. Claire i o którym mówiono, że jest lekarzem i przez którego tyle wycierpiał Cristofoli.

— Well, czy możemy tu spokojnie rozmawiać? — spytał obcy rozglądając się nieufnie.

Jeden ze stolików obok nas był niezajęty, przy drugim usiadł właśnie jakiś Hindus w turbanie w towarzystwie niezwykle wysokiej kobiety także w stroju narodowym.

— Jeśli panu nie robi to różnicy, to mówmy po niemiecku — powiedział wybitnie angielskim akcentem. — Sądzę, że nasi sąsiedzi nie zrozumieją.

— Jak pan sobie życzy.

— Ludzie na poziomie nie muszą za wiele mówić.

Trzeba przyznać, że mimo odrażającego wyglądu twarz miał zdecydowanie inteligentną.

— Rękopis, po który pan przyjechał do Londynu, znajduje się u mnie. My mamy o wszystkim dokładne informacje. Pan jeszcze nie dojechał do Londynu, a my już wiedzieliśmy, że pan poszukuje pewnego rękopisu, którym niezmiernie interesuje się earl of Gwynedd.

— Wypada wyrazić moje największe uznanie — odparłem. — Niemniej, by nie tracić czasu, pozwolę sobie na pewną uwagę. Następne zdanie pana będzie brzmiało: doktorze Bątky, pan jest słynnym lekarzem. — Otóż pan pozwoli, że wylegitymuję się swoim paszportem: nie jestem lekarzem...

— Wiem, ten etap mamy już za sobą. A więc po kolei: mówiąc otwarcie, rękopis sprawił mi ogromne rozczarowanie. Przedstawia pewne powiązania rodowe — znane hobby szlachetnego lorda, ale poza tym nic, co by nas interesowało.

— Co to znaczy „nas”?

— O tym za chwilę. Krótko mówiąc, rękopis właściwie nie jest mi potrzebny. Skłonny jestem zwrócić go panu pod pewnymi warunkami.

— Jednym słowem, chce mnie pan szantażować. Panie, ja nie mam pieniędzy i nie mam nic wspólnego z tą sprawą. Może zwróci się pan bezpośrednio do earla of Gwynedd.

— Co za pomysł. W porównaniu z nami earl of Gwynedd to istna mysz kościelna. Absolutnie nie potrzebujemy jego pieniędzy. Wszystko zależy od pana...

— Nie rozumiem.

— Powtarzam prośbę Eileen St. Claire: pan będzie uprzejmy napisać swoje zeznanie o śmierci Maloneya ze szczególnym uwzględnieniem, kto stał na balkonie, kiedy Maloney runął.

— Proszę pana, odmawiam. Tym bardziej że nikogo nie widziałem na balkonie.

— A ja z całą pewnością wiem, że kogoś pan widział.

— Skąd pan wie?

— Proszę to przeczytać.

Pokazał mi pisany na maszynie list tak złożony, że zaledwie ten fragment mogłem przeczytać:

„Wyraźnie widziałem, jak Maloney wyszedł na balkon ze swego pokoju i zaczął się wspinać na balkon o piętro wyżej. Wówczas zjawił się mężczyzna w jakimś czarnym stroju i rzucił się na Maloneya. Szamotali się przez kilka chwil, po czym Maloney runął z balkonu. Kiedy ludzie się zbiegli, już nie żył. Nikt nie wspomniał nawet, że kark miał wykręcony. Nikt poza mną i poza węgierskim doktorem nie widział olbrzyma na balkonie. W chwili gdy rozległ się śmiertelny krzyk Maloneya, pojawił się w oknie...”

A więc nie tylko ja widziałem koszmarną postać na balkonie. Nie było to zatem urojenie. Ktoś zepchnął Maloneya z balkonu, a przynajmniej szamotał się z nim i w trakcie tego Maloney stracił równowagę i runął. W ten sposób earl of Gwynedd uratował się za cenę życia Maloneya. A wrogowie earla chcą ten fakt wykorzystać przeciwko niemu.

Niewątpliwie mają w pałacu jakiegoś informatora, który wie jak najdokładniej o wszystkim. Kto to może być?...

— Sądząc po liście — powiedziałem — poza mną jeszcze ktoś był świadkiem nieszczęścia, jakie spotkało Maloneya. Co więcej, ten ktoś widział o wiele więcej niż ja. Czemu więc nie skorzystacie państwo z jego zeznania?

— Pan jest zbyt ciekawy — z nas dwóch tylko ja mogę zadawać pytania. Ale do rzeczy. Jeśli otrzymam od pana pisemne zeznanie, zwrócę panu rękopis.

— To się panu udało! Może zechce mi pan powiedzieć, na co mnie, Jánosowi Bátky, biorąc na zdrowy rozsądek potrzebny rękopis? Nie moja wina, że mi go skradziono. Jeżeli nie odzyskam rękopisu, to jutro wracam do Llanvyan, a resztę pozostawiam policji. Po dzisiejszym wywiadzie będę mógł chociaż podać dokładny rysopis pana.

— Słusznie. Ale czy nie sądzi pan, że policja przede wszystkim podejmie śledztwo przeciwko panu?

— Przeciwko mnie? Z jakiego powodu? Earl zna mnie, wie, że jestem niewinny.

— Jest pan tego pewien? — spytał mój rozmówca, ohydnie uśmiechając się pod wąsem.

— Tak. Jestem tego absolutnie pewien — odrzekłem zirytowany. — Earl osobiście oświadczył, że nikomu poza mną nie powierzyłby przywiezienia rękopisu z Londynu.

— To było przedwczoraj. Od tego czasu sytuacja się zmieniła. Możliwe, że pan jest niewinny, ale pozory świadczą przeciwko panu.

— Czyżby?

— Na skutek zadziwiającej naiwności pana. Jakie to budujące uczucie, że żyją na świecie ludzie tak prostolinijni. Niech pan mnie posłucha. Zanim pan dojechał do Londynu, earl napisał do swego adwokata, Aleksandra Setona, w jakiej sprawie pan przyjedzie. Kilkakrotnie miałem do czynienia z Setonem: to najostroźniejszy Szkot, jaki kiedykolwiek wyklął się w górach. Nie ulega wątpliwości, że od chwili przyjazdu obserwuje pana. Sądzę, że w obecnej chwili także jest tutaj jego zausznik. Pan popełnił serię błędów: nie odwiedził pan

Setona. Z drugiej strony to lepiej... pańska taksówka mogłaby ulec nieszczęśliwemu wypadkowi... Ale pan nie poszedł, natomiast uczynił pan wszystko, aby stać się podejrzanym...

— Na przykład?

— Zaledwie otrzymał pan rękopis, skontaktował się pan z mrs Roscoe — co więcej, był pan jej gościem przez całą noc.

— Mrs Roscoe?... Nie mam przyjemności znać tej pani.

— Oczywiście może pan twierdzić, że nie wie, iż Eileen St. Claire to wdowa po Williamie Roscoe, ale kto panu uwierzy? Każdy pucybut w dzielnicy May Fair wie o tym.

Chwyciłem się stołu: udało mi się wyrzucić szklanke po kawie. Na szczęście była pusta.

U przebiegającego kelnera trupia twarz zamówił brandy. Po tej miazdzącej wiadomości przydało mi się coś mocnego... A więc Eileen St. Claire jest ową tajemniczą spadkobierczynią, w której rękach zbiegają się nici spisku... A ja... nie, to potworne...

— No, lepiej się pan czuje? — spytał trupia twarz. — Szlachetny lord zniechęci pana na całe życie, chociażby za... gościnność mrs Roscoe... ze względów uczuciowych. Nie wiem — czy kocha jeszcze swą dawną narzeczoną, ale to jest jego pięta Achillesowa. Już niejednemu złamał karierę, za... że tak powiem, przyjaźń z Eileen St. Claire. Między innymi i mnie...

Kamienna okrutna twarz przybrała nagle zgryźliwy wyraz. Zdaje się, że w tym wypadku także wchodzi w grę pięta Achillesa...

— Zresztą, dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie przedstawiłem się panu. Jestem James Morvin, lekarz domowy rodziny Roscoe, ten sam Morvin, którego earl of Gwynedd podejrzewa o zamordowanie Williama Roscoe przez umyślne spowodowanie choroby tropikalnej. Teraz już zna pan całość zagadnienia.

— Tak — powiedziałem. Czułem niesmak. To niedopuszczalne, to niedopuszczalne, abym przyjmował poczęstunek od mordercy. Zamówiłem dwie brandy, żeby nie zostać dłużnikiem.

— A więc — ciągnął dalej — jeśli Seton kazał pana obserwować, to nie omieszka złożyć meldunku earlowi, że dzisiejszy wieczór spędził pan w moim towarzystwie. Sądzę, że trzeba mieć niebiańską ufność do ludzi, aby nie podejrzewać pana. Po przyjeździe do Londynu pan z nikim się nie skontaktował poza największymi wrogami earla.

— Wierzę, że prawda zatriumfuje nad pozorami — powiedziałem z godnością, lecz bez przekonania.

— Na tym jeszcze nie koniec. Do tego wszystkiego rękopis rzeczywiście zginął i pan nie jest w stanie wyjaśnić, gdzie się podział. Aż pewnego pięknego dnia earl otrzyma rękopis z załączonym życzliwym listem, w którym ujawnię mu sumę, jaką pan otrzymał w zamian.

— Nie sądzę, aby earl uwierzył panu.

— Drogi panie, nawet najbardziej oczywiste oszczerstwo pozostawia plamę na honorze człowieka. Ale jeszcze nie skończyłem... Zanim earl otrzyma list, usłyszy od kogoś, do kogo ma bezwzględne zaufanie, że pan na prawo i lewo rozpowiada w Londynie, że Maloney został zamordowany.

Nagle doznałem olśnienia.

— Pan chyba zapomniał o tym, że mam w ręku dowód rzeczowy: list, w którym pan przyznaje się, że rękopis znajduje się u pana.

Morvin wybuchnął śmiechem: przez kilka minut nie mógł wykrztusić słowa.

— A co panu to daje? List napisany na maszynie, na pańskiej maszynie royal portable... wszyscy powiedzą, że pan sam go napisał.

Byłem tak zdenerwowany, że ledwo panowałem nad sobą.

— Proszę pana, jeśli pan ma zamiar prowadzić przeciwko mnie kampanię kłamstw i oszczerstw, to może pan wymyślić o wiele fantastyczniejsze rzeczy. Na przykład, że w trzecim roku życia wbiłem na pal swoją babcie albo że ślubowałem ściąć brodę Jerzemu V. A

na litość boską, co pan na tym zyska? Co ja, János Bátky z Budapesztu, mam z tym wspólnego? Wolę już zaraz jutro wyjechać z tego kraju!

— Co za nerwus z pana. Trochę zimnej krwi, drogi panie. Chciałem tylko udowodnić panu, że sprawę z earlem przegrał pan z kretesem. Nie ma pan po co wracać do Llanvygan. Nie wiem, w jakim celu angażował się pan u earla: czy pan liczył na większą sumę za swoje usługi (o ile mi wiadomo, pańska sytuacja finansowa jest zadowolająca), czy też chciał pan porwać małą sawantkę Cynthię, a może przez miłość do młodego Osborne'a?... Wszystko jedno. Tak czy owak musi pan zrezygnować ze swoich zamiarów. I tym samym otwierają się przed panem wspaniałe perspektywy, jeśli będzie pan dość rozsądny i przyjmie moją propozycję.

— Jaka?

— Nie wiem, czy pan zdaje sobie sprawę ze stanu majątkowego mrs Roscoe i z jej wpływów? Fantazja takich uczonych dżentelmenów jest nie dość bujna, by to sobie wyobrazić. Nie będę wyliczał przedsiębiorstw, kopalni, nieruchomości... Ale żeby pan miał chociaż pojęcie... obliczyliśmy, że Eileen St. Claire nawet podczas snu zarabia w każdej minucie pięćdziesiąt funtów.

— To ohydne!...

— Otóż jedynie od pana zależy włączenie się do tego majątku. W dowolnej formie. Gdyby pan chciał zaangażować się aktywnie, mógłby pan zostać dyrektorem jakiegoś gigantycznego przedsiębiorstwa...

— Wolę nie.

— Tak sądziłem, że to nie odpowiada pańskim zainteresowaniom. Niech pan się zastanowi i przedstawi swoje życzenie. Jeśli pan ma ambicje naukowe, to proszę wskazać angielski uniwersytet, gdzie pan chce być readerem. Jeżeli bardziej pasjonuje pana literatura, to założymy takie czasopismo, przy pomocy którego może pan zmiążdżyć wszelkie kierunki literackie Zjednoczonego Królestwa. Chce pan być właścicielem ziemskim na Węgrzech? Proszę bardzo! Jeśli pan lubi podróżować, otrzyma pan jacht i pokrycie wszelkich kosztów na rok, na dwa lata, na trzy... A więc?

— ...

— A jeśli pan jest zwariowany na punkcie książek, jak ja pana oceniam, a rzadko się myślę — to mianujemy pana naczelnym bibliotekarzem w pałacu mrs Roscoe w Rainbow Head. Biblioteka w tej chwili jeszcze nie istnieje. Ale może pan tyle tomów zakupić, ile się panu żywnie podoba. A poza tym — dodał szczerząc zęby — zaskarbi pan sobie wieczną przyjaźń Eileen St. Claire, o ile panu zależy na tym.

— I co miałbym uczynić w zamian?

— Nic, co byłoby sprzeczne z pana etyką i wrażliwym systemem nerwowym... Musi pan jedynie złożyć zeznanie, że Maloney został zamordowany — zgodnie z prawdą.

Poczułem się jak człowiek, któremu meteor spadł na głowę. Oto w świetle odpowiedniej interpretacji nikczemność staje się prostym obowiązkiem uczciwego człowieka... Przecież Maloney rzeczywiście został zamordowany. Może spadkobiercy Williama Roscoe mają rację. Ale po chwili pozbyłem się pokusy.

— Nie wiem, w jakim celu, ale niewątpliwie usiłujecie państwo szkodzić earlowi i to za wszelką cenę. Ale bez mojej pomocy. Jeśli Maloneya zamordowano, to morderca działał we własnej obronie. Pan zna stan faktyczny: Maloney usiłował włamać się do apartamentu earla — zapewne nie po to, aby pożegnać się z nim ze łzami w oczach. Jeśli więc ktoś usiłował udaremnić włamanie, na skutek czego Maloneya spotkał nieszczęśliwy wypadek — nikt za to nie ponosi odpowiedzialności.

— W tym oświeceniu — nie. Ale wszystko zależy od tego, co i jak pan zezna. Rozumie pan? Kto zna fakty obciążające Maloneya i wie o jego ucieczce? Pan, earl, dwoje młodych Pendragonów i ewentualnie jedna lub dwie osoby ze służby. Pan jest świadkiem koronnym,

bo widział na własne oczy przebieg wypadku. Za zgodą pana można by udowodnić, że olbrzym nie był nikim innym, jak earlem of Gwynedd w przebraniu. Pan w dobrej wierze może zaświadczyć, że widział już pana earla w tym przebraniu.

Chwyciłem się za głowę. Ja jako koronny świadek! Nie wyobrażałem sobie roli, za którą bym mniej tęsknił. Wolałbym chyba zostać przywódcą rewolucjonistów w Ameryce Południowej. Nie... to koszmar...

— Powiem panu jeszcze coś, aby uspokoić pańskie lojalne i czułe sumienie. I to jest właściwie mój najsilniejszy argument. Pańska zgoda to jedyny sposób na uratowanie życia earla.

— Pan żartuje!

— Nie. Mówię całkiem serio. Co się stanie, jeśli pan postąpi według moich zaleceń? Będziemy mieli w ręku dowody, że earl zabił Maloneya. Earl zaś ma w ręku dowody, żeśmy sprzątnęli Williama Roscoe. Pan twierdzi, że Maloneya zabito w samoobronie... załóżmy, że tak było. Earl gotów będzie ponieść największą ofiarę, by nie stawać przed sądem i żeby nie pisano o nim w gazetach.

— No i?

— Nastąpi uczciwa wymiana dowodów i żadna ze stron nie będzie mogła szkodzić drugiej. Jeśli jednak to nie nastąpi... nikt nie może ręczyć za życie earla. Oczywiście ani Eileen St. Claire, ani ja nie wchodzimy w rachubę... Ale z biegiem czasu wmieszały się do tej sprawy różne indywidua... jak na przykład Maloney. Nie cofną się one przed niczym, pójdą choćby po trupach, aby nie dopuścić do wykorzystania dowodów przez earla...

A poza tym jestem zmuszony ostrzec pana — ciągnął dalej — że w tej sytuacji pańskie życie będzie również zagrożone... Stał się pan zbyt ważną osobą, by... spokojnie czytać w British Museum. W grę wchodzi największa fortuna Anglii. Będzie pan pod stałą obserwacją. Niebezpieczeństwo, które zagraża życiu earla i Osborne'a Pendragona jako spadkobiercom, odtąd czyhać będzie i na pana... ostrzegam po przyjacielsku...

— I wszystkie te potworności — krzyknąłem oburzony — mówi mi pan w sercu Londynu, w oświetlonej sali? Sądziłem, że tego rodzaju nikczemności usłyszeć można tylko w piwnicy przy świetle lampy naftowej. Czy nie boi się pan, że ktoś nas usłyszy?

— Tak, to racja. Może będzie pan uprzejmy mówić trochę ciszej — rzekł Morvin uśmiechnięty. — Gdziekolwiek rozmawiałbym z panem, byłbym narażony na to, że detektywi Setona przewiercili ścianę i podsłuchują. Dlatego wybrałem w Londynie to właśnie miejsce, gdzie każdy może mnie zobaczyć. Ja także mam oko na obecnych. Naszej rozmowy nikt nie mógł usłyszeć, najwyżej tych dwoje kolorowych. Zauważyłem, że cały czas żywo rozmawiali ze sobą. Zapewne oni także snują plany wyzwolenia Indii. Ale... pan nie odpowiedział na moją propozycję.

— Nie mam nawet zamiaru... Proszę o podanie warunków zwrotu rękopisu, reszta nic mnie nie obchodzi.

— Mój Boże! Jeśli dojdziemy do porozumienia w sprawie zasadniczej, może pan otrzymać rękopis z powrotem. To śmieszny, błahy szczegół.

— Czy ma go pan przy sobie?

— Tak.

— To proszę mi go pokazać! Skąd mogę mieć pewność, że mówi pan prawdę?

Morvin, szczerząc zęby, sięgnął do kieszeni i wy dostał rękopis. Przeczornie trzymał go w pewnej odległości...

Ach, gdybym był bardziej bojowy... teraz jednym skokiem... ale nie... nie rzuciłem się na niego. Morvin znowu śmiał się bezgłośnie.

Nagle wydało mi się, że wpadłem na genialny pomysł.

— Radzę panu. we własnym interesie zwrócić mi rękopis i cicho stąd odejść — powiedziałem z mrozącym krew w żyłach spokojem. — Doktorze Morvin, jest pan w potrzasku.

Przed południem poleciłem dwóm detektywom, aby dyskretnie ulokowali się w „Café Royal”. Są tu. W chwili, kiedy przekroczy pan drzwi, zostanie pan zatrzymany i w podskokach odprowadzony na policję. Jeśli natychmiast zwróci mi pan rękopis, zdążę jeszcze odwołać całą akcję.

Morvin śmiał się cicho dobrych kilka chwil, po czym powiedział:

— Czy ma mnie pan za głupca? Dobre sobie! Chyba pan nie wątpi, że od chwili przyjazdu do hotelu śledziliśmy każdy pański krok. Wiem, że do wieczora nie ruszał się pan stamtąd ani do nikogo nie dzwonił. Kazał pan nadać telegram i ekspres: oba do Llanvyan. Poczyłem zresztą starania, aby ich na razie nie wysyłano. Boy hotelowy nie jest bynajmniej tak nieprzystępny jak pan. Czy sądzi pan, że przyszedłem tu pertraktować nie będąc zorientowany w sytuacji? Ludzie Setona obserwują pana, a nie mnie!

Westchnąłem.

— Nie nadaję się do tego. Ma pan mi jeszcze coś do powiedzenia, czy mogę już odejść? — spytałem.

— Tak panu pilno? Czekam na pańską zgodę, jak młody człowiek na „tak” pięknej dziewczyny. Zresztą nie musi pan decydować zaraz, ale prawdę mówiąc nie bardzo rozumiem, nad czym się tu zastanawiać.

— Ja chcę rękopis — powiedziałem z uporem.

— Drogi doktorze, wydaje mi się, że brak panu szybkiej orientacji. Nie musi się pan wstydzić. To często spotykana cecha nawet u wielkich naukowców. Między umysłem abstrakcyjnym i praktycznym bywa niekiedy zatrważająca odległość. Radzę panu wrócić do siebie i wypaść się, gdyż zapewne jest pan zmęczony. Znajdę jeszcze okazję, aby kontynuować tę wymianę poglądów. Nie wątpię, że wcześniej czy później przyjmie pan mój punkt widzenia... Tymczasem niech pan się dobrze zastanowi.

Skierował się ku wyjściu. Przy kasie szybko zapłacił rachunek i zniknął.

Ja zaś stałem ogłupiały przy stoliku. Rzeczywiście, pomiędzy umysłem abstrakcyjnym a praktycznym bywa niekiedy zatrważająca odległość. Moja głupota i niezaradność sprawiły mi nieomal fizyczny ból. Sala stopniowo pustoszała. Hinduska para również opuściła sąsiedni stolik... Pośrodku sali siedziało hałasując niemiłosiernie dwudziestoosobowe towarzystwo Amerykanów. Mężczyźni w przekrzywionych krawatach i wiecznie młode starsze damy.

W szatni włożyłem płaszcz i z opuszczoną głową wolno poszedłem ku wyjściu. Tuż przy drzwiach usłyszałem swoje nazwisko. Podniosłem głowę i zobaczyłem hinduską parę pod rękę z Morvinem.

— Doktorze Bątky, proszę podejść — powiedziała hinduska dama po niemiecku.

Zbliżywszy się dostrzegłem, że dwoje potężnie zbudowanych Hindusów mocno trzyma drobnego Morvina, który rozpaczliwie usiłował się oswobodzić.

— Ruhe, Ruhe — mówiła dama grubym głosem niczym grenadier Fryderyka Wielkiego. — Niechże pan nie robi na ulicy widowiska, bo zaszkodzi to pańskiej reputacji. Doktor Bątky zawezwie tymczasem jednego z policjantów z Picadilly Circus. We trójkę złożymy zeznanie, że to pan ukradł rękopis znajdujący się teraz w pańskiej kieszeni. W razie potrzeby poprosimy tu także dyrektora British Museum, który potwierdzi, że rękopis przyjął osobiście od niego doktor Bątky. Zaoszczędziłby pan sobie, nam, a w szczególności niewinnemu, poczciwemu dyrektorowi Museum wszystkich tych nieprzyjemności zwracając nam rękopis.

— Jakim sposobem mogę go oddać, jeśli mam skrupowane ręce?

— Niech pan powie, w której kieszeni jest, doktor Bątky wyjmie.

— Po prawej stronie — jęknął Morvin.

Z rozkoszą wyciągnąłem rękopis z jego kieszeni i schowałem do swojej.

— Na tym kończy się część handlowa — powiedział Hindus. — Panie Morvin, ostrzegam pana, że w prawej kieszeni mam odbezpieczony rewolwer. Nie radzę żadnych sztuczek... Znikaj pan... i to już!

W następnej chwili zwolniony z uścisku Morvin w oka mgnieniu wszedł do taksówki i znikł nam z oczu.

— János Bátky... — przedstawiłem się oszołomiony.

— Bardzo mi przyjemnie. Jestem Lena Kretzsch.

— A ja Banerjee Sadh Mukerjee Osborne Pendragon — powiedział Hindus zdejmując brodę i turban.

— Musimy to oblać — powiedziałem ochłonawszy nieco.

Lecz napić się czegoś w Londynie po jedenastej wieczór nie należy do rzeczy łatwych. Nie pozostało nam nic innego, jak pójść do „Lyon's Corner House”, to znaczy do „Narożnej Kamienicy Lwa”, gdzie nawet późną nocą można się napić, jeśli człowiek zamówi coś konkretnego do jedzenia.

Zajęliśmy stolik na pierwszym piętrze czteropiętrowego pałacu-herbaciarni, gdzie pretensjonalnie udekorowane, wyłożone sztucznym marmurem ściany i hałaśliwie grająca orkiestra stwarzają biedniejszym obywatelom Londynu iluzję wspaniałego świata z filmowych dramatów.

Osborne afektowanym gestem przygładził włosy i poprawił krawat, podczas gdy Lena przyglądała mu się z nieukrywanym zachwytem. Zrobiła ruch, jakby chciała go objąć, ale Osborne zażenowany odsunął krzesło... Zorientowałem się w sytuacji...

— Czego się napijemy?

— Piwa — rąbnęła z przekonaniem Lena. — A ze względu na uroczystą chwilę — lagera!

Osborne jakby przybladł pod warstwą brunatnej farby.

— O, tego jeszcze nie piłem! Może państwo pozwolą coś innego?

Lena i ja ze smutkiem przyjęliśmy do wiadomości fakt zamówienia szampana „St. Cliquot”.

— Pan zapewne widzi we mnie wysłannika niebios — powiedział Osborne — który niekiedy widnieje nad prawym ramieniem męczenników z renesansowych obrazów.

— Coś w tym rodzaju. Może pan udzieli mi wyjaśnień o niezbadanych drogach Opatrzności.

— Niezbadane drogi bywają dość proste — odrzekł Osborne. — Nie widzę powodu, aby nie udzielić panu krótkich informacji. Przedwczoraj, po wyjeździe pana, stryj mój wezwał mnie do siebie i długo rozmawialiśmy, co niestety rzadko się zdarza. Ponieważ i tak miałem zamiar pojechać do Londynu, stryj prosił mnie, abym odwiedził jego adwokata mr Aleksandra Setona i opowiedział mu wydarzenia ostatnich dni. Znając stryja, sądzę, że chciał zaoszczędzić sobie pisania listu, bo tego serdecznie nie lubi. Woli zawsze posługiwać się posłańcem, co również świadczy o jego wielkopańskich manierach... Ale pana, doktorze, jako historia, zainteresują zapewne psychologiczne aspekty tych ważnych wydarzeń. Jeśli kiedyś napisze pan kronikę naszej rodziny, to radzę panu uwzględnić następujące fakty:

„W ostatnich dniach czerwca 1933 roku w najmłodszym potomku rodu Pendragonów dokonywały się niezwykle, godne podziwu przemiany: w duszy jego płonęło zawsze pragnienie przygód, które go trawiło nie znajdując ujścia. W owych letnich dniach pojął, na czym polega jego życiowa misja. Poczuli, że to na nim spoczywa ważne, być może niebezpieczne, ale niewątpliwie szczytne zadanie zerwania niezniszczalnej sieci zabobonów i grzechów, która spowiła w pierwszym dziesięcioleciu drugiego kwartału XX wieku prastare gniazdo rodzinne.”

— Prawdziwy krasomówca — wtrąciła Lena z nabożeństwem.

— Zacząłem śledztwo wzorując się na metodach Sherlocka Holmesa. Punktem wyjścia tej sherlockiady, a ściślej mówiąc, holmesjady, był zaobserwowany przeze mnie fakt, że Maloney nigdy nie otrzymywał listów w pałacu, a własną korespondencję zawsze osobiście nadawał na pocztę w Corwen. Towarzyszyłem mu tam dwa razy, ale do budynku z nim nie

wchodziłem. Niewątpliwie mógł przy tej okazji odebrać listy w poste-restante. Udałem się więc na pocztę wczesnym rankiem, kiedy jeszcze śmierć Maloneya nie została ujawniona, i zapytałem, czy nie ma listu dla mego przyjaciela. Panienska w okienku wiedziała, kim jestem, i bez wahania wydała mi list adresowany do Maloneya.

Niczym pirat mórz południowych postanowiłem pójść na całego i pozbywszy się konwencjonalnych skrupułów moralnych, jak początkująca kelnerka, bez wewnętrznej walki otworzyłem list. List napisany był na maszynie, bez podpisu i w niezbyt przyjaznym tonie. Grożono naszemu biednemu znajomemu, który i tak został tymczasem obywatelem któregoś tam kręgu otchłani piekielnej, że jeśli wkrótce nie stanie się nic konkretnego, to nie tylko wstrzyma mu się wypłatę dalszej sumy, ale zostanie oddany w ręce policji za jakieś dawne grzechy. Z listu wynikało, że nie było to pierwsze ostrzeżenie skierowane do Maloneya. To wyjaśniałoby rozpaczliwą próbę Maloneya ostatniej nocy.

Tyle i ja wiedziałem.

— Zaraz po przyjeździe do Londynu odwiedziłem Setona. W tym dżentelnie w niezrozumiały dla mnie sposób powstało przekonanie, że nagle wydorostałem, gdyż po raz pierwszy w życiu rozmawiał ze mną poważnie. Rozmowa nasza miała charakter zgoła zaskakujący. Dowiedziałem się mianowicie, że wystarczyłby jeden ruch ręki, aby stryj mój stał się panem tej ogromnej fortuny.

Od jakichś dwóch-trzech miesięcy — ciągnął dalej Osborne — ma on w ręku dowody, dzięki którym mógłby wykazać, że Williama Roscoe zabił jego lekarz. Właściwie nie są to dowody, lecz pewne odkrycie biologiczne. Nie znam się na tym i sędzę, że Seton wie niewiele więcej, ale udowadnia ono niezbicie, że popełniono morderstwo.

Zgodnie z treścią romantycznego testamentu spadek po Williamie Roscoe przejdzie w posiadanie earla of Gwynedd, gdyby udowodniono, że Roscoe zmarł śmiercią nienaturalną.

O tym też wiedziałem.

— Ale mój stryj, mimo zrozumiałej rozpaczki Setona, wzbraniał się przed podjęciem odpowiednich kroków. Przeprowadził wspólnie z lekarzem McGregorem pewne doświadczenia, ale lekarz ten zginął w wypadku samochodowym.

— O ile się nie mylę, wypadek samochodowy był także dziełem Morvina.

— Z czego pan wnioskuje?

— Przed moim wyjazdem do Llanvyan jakiś nieznajomy groził mi, że spotka mnie to samo. Teraz już wszystko rozumiem. Z początku Morvin i jego kompania uważali mnie za lekarza, który ma zamiar osiedlić się w Llanvyan, aby tam kontynuować to, co zaczął nieszczęsny McGregor... Ale dlaczego earl nie chce wykorzystać atutów, które ma w ręku?

— Jak rozumiałem ze słów Setona, przyczyną tego są wewnętrzne opory stryja, które z kolei mają podłoże czysto uczuciowe. Stryj mój, choć to wygląda nieprawdopodobnie, kochał się w pewnej damie, która jest teraz wdową po panu Roscoe i jego jedyną spadkobierczynią. Widocznie nadal żywi do niej sympatię, jest bowiem przekonany, że ta uroczą damę nie przyczyniła się do śmierci Williama Roscoe. Gdyby zechciał egzekwować testament, niewinna wdowa doznałaby krzywdy. Morvin i jego banda również dowiedzieli się o istniejących dowodach — ciągnął Osborne — gdyż stryj prawdopodobnie zawiadomił mrs Roscoe o wszystkim, pragnąc wywrzeć nacisk, aby zerwała z Morvinem, który w oczach stryja ponosi całą winę. Seton przekazał mrs Roscoe stanowisko stryja. Seton w przeciwieństwie do stryja jest przekonany, że Williama Roscoe zamordowano z wiedzą i zgodą jego żony. Według niego, aby nakłonić earla do działania, należy przekonać go, że mrs Roscoe wiedziała o tych zamachach dokonywanych w krótkich odstępach czasu w obawie przed ujawnieniem dowodów i o wysłaniu Maloneya. To bym musiał udowodnić.

Ale jak się do tego zabrać? Nawet chytry jak lis Seton nie potrafił mi udzielić rady. Nie miałem nic prócz nazwiska Morvina. Tyle Seton też wiedział. Podał mi jego adres i z tą zdobyczą wyruszyłem w świat. Była właśnie pora obiadu. Poszedłem do małej restauracji w

starym City, którą często odwiedzają przejezdni studenci kolegium. Tam spotkałem Lenę Kretzsch, którą znałem z Oksfordu. Była jedną z najznakomitszych atletek.

Well, nie chcę prawić komplementów, ale Lenę zawsze uważałem za rozsądną, energiczną i uczciwą dziewczynę. Słowem uważałem ją za prawdziwego mężczyznę. Zaproponowałem jej współpracę, a że miała akurat czas...

— Zawsze mam czas, kiedy nadarza mi się towarzystwo tak pociągającego człowieka — wtrąciła Lena.

Osborne zmieszany odwrócił głowę i ciągnął dalej:

— Od tej chwili wspólnie naradzaliśmy się, jak przystąpić do rzeczy. Staraliśmy się wpaść na dobry pomysł przypominając sobie przeczytane książki i obejrzone filmy, ale niestety nie byliśmy dawniej zwolennikami powieści kryminalnych nie wiedząc, jak bardzo potrzebne będą w życiu. Powstał nawet projekt przestudiowania całej bogatej twórczości Edgara Wallace'a, ale czas naglił... Przypomniał nam się niemiecki film „Emil i detektywi”, który kiedyś wywarł na nas silne wrażenie. Wspólnie odtworzyliśmy z pamięci treść filmu, jak to mały Emil i jego koledzy tropili pana w meloniku, i doznaliśmy olśnienia. Sprawa jasna jak słońce! Tak długo deptali człowiekowi w meloniku po piętach, aż przyłapali go na gorącym uczynku. „Musimy go się trzymać jak rzep psiego ogona” — oświadczyła Lena stanowczo.

Ale przyszło mi na myśl — kontynuował Osborne — że może Morvin zna mnie z widzenia lub z opisu. Przecież wydarzenia wskazują na to, że ktoś go stale dokładnie informuje o wszystkim, co ma związek z pałacem Pendragonów. Logiczne postępowanie systematycznego mordercy. Postanowiliśmy się przebrać. Ja, aby mnie nie poznano, a Lena ot tak, dla towarzystwa.

— Hinduski strój był dlatego tak korzystny — powiedziała Lena — że tu nie rzuca się w oczy, gruntownie zmienia wygląd zewnętrzny, a poza tym jest bardzo twarzowy. Mam wielu hinduskich przyjaciół i przyjaciółek, nie było więc trudno zdobyć odpowiednie części garderoby.

— Jednym słowem, po starannym ucharakteryzowaniu się stanęliśmy na czatach przed domem Morvina. Od chwili kiedy pojawił się człowiek, w którym na podstawie opisu rozpoznaliśmy Morvina, nie spuszczałyśmy zeń oka. Morvin przede wszystkim udał się do „Grosvenor House”, a następnie do pańskiego hotelu. Długo tam się szwendał i pertraktował z jakimś Szkotem. Przypuszczalnie to on ukradł rękopis. Potem Morvin pojechał do pewnej fabryki chemicznej, później zjadł obiad w restauracji „Słoń i Pałac”. My także. Po obiedzie kręcił się po mieście, ale nic godnego uwagi nie nastąpiło. Po południu w „Grosvenor House” pił herbatę ze świetnie prezentującą się damą.

— Wcale nie była ładna, tylko kosztownie ubrana — rzuciła Lena dotknięta do żywego.

— Mam nadzieję, żeście ją dobrze obejrżeli — powiedziałem. — To była prawdopodobnie mrs Roscoe.

— Ach, tak... A więc ona jest w typie stryja... — rzekł Osborne w zamyśleniu. Twarz jego nie zdradzała, czy aprobeje gust stryja, czy nie.

— Strasznie niesympatyczna niewiasta — zauważyła Lena. — Jak można mieć tak pospolite rudoblond włosy?

— W ten sposób znaleźliśmy się w „Café Royal”. Może pan sobie wyobrazić, jak byłem zdziwiony widząc, że Morvin pana szuka. Morvin miał rację. Pozory mocno świadczyły przeciwko panu, ale na szczęście podsłuchaliśmy waszą rozmowę i słyszeliśmy każde słowo.

— Tym samym zadanie pana zostało spełnione — powiedziałem. — Pan i ja wiemy już, że mrs Roscoe także znała cel wyprawy Maloneya do Llanvygan. Pan słyszał, co mi proponował Morvin? Skąd zresztą miałby pieniądze na spełnienie obietnic, gdyby nie majątek Roscoe. Z naszego dialogu dowiedzieliście się państwo, że spędziłem długie godziny z mrs Roscoe, w czasie których wielokrotnie próbowała mnie nakłonić do tego samego co Morvin, tj. abym złożył zeznanie, że Maloney został zamordowany. Sądzę, że jeśli wszystko to

opowiemy earlowi, nie będzie miał wątpliwości co do roli, jaką odgrywa mrs Roscoe w sprawie spadku i że osoba jej stanowi groźbę dla jego życia.

— Powiem panu, że nie gwarantuję za sukces. Stryj mój jest znacznie mądrzejszy od nas, a mądry człowiek zawsze potrafi dowieść tego, co mu dyktuje instynkt. Na próżno włącza pan argumenty obciążające mrs Roscoe, stryj znajdzie zawsze dowody, że mrs Roscoe jest niewinna. Zresztą... nie wiem... Ja na pana miejscu nie zdradziłbym mu tego, co pana z nią łączy. Sądzę, że ze względu na jego dawne, a może i aktualne uczucie byłoby to nieta-
ktem.

— Tak, to prawda, ale wobec tego co zrobić? Myślę, że sprawa jest pilna. Morvin po dzisiejszej porażce na pewno uczyni jakiś desperacki krok. Wydaje mi się, że nam wszystkim grozi niebezpieczeństwo.

— Hm... Nie ma obaw. Jutro zmienimy przebranie, a pan musi rano wrócić do Llanvygan i tam oczekiwać na rozwój wydarzeń. O tym, co się tu działo, poza gołymi faktami kradzieży rękopisu i jego odzyskania proszę nic nie mówić. Niech pan nie zapomni zwłaszcza opowiedzieć o moich niebywałych zasługach. My zaś jeszcze przez dwa lub trzy dni pocho-
dzimy tu i tam, tym razem śladami mrs Roscoe. Może znowu szczęście nam dopisze jak dziś.

— Nie wolno spuścić z niej oka — oświadczyła Lena.

*

Krowy pały się na łąkach, zaś angielskim damom siedzącym w przedziale podano herbatę. Wtuliłem się w miękko wyściełane oparcie i po raz drugi przeczytałem cudownie odzyskane pamiętniki Lengleta de Fresnoy.

Lenglet de Fresnoy był niespokojnym duchem. Zrzuciwszy sutannę, znalazł się w kręgu tych nieszczęśliwców, których później nazwano „poszukiwaczami”, lecz w XVIII wieku „poszukiwacze” nie nosili jeszcze bród i nie rozmyślali o istnieniu Boga. Lenglet de Fresnoy poszukiwał sekretu wytwarzania złota i pozostawił po sobie krótką historię alchemii, która do dziś stanowi cenny materiał źródłowy. W swoich pamiętnikach opisywał z wdziękiem bogate życie intelektualne drugiej połowy XVIII wieku, tej najmiłszej epoki. Lata wytwarzania złota i żelaza, rewolucje, świat dawnych łóż wolnomularskich, afektowanego humanizmu, świat znany z „Fletu czarodziejskiego” i dziejów Cagliostro. Prawdy wiary i głęboki humanizm przeplatały się z niewiarygodnie frywolnymi historyjkami, przez które przewinęła się także najbardziej obrazująca epokę postać Casanovy.

Aż nagle Lenglet de Fresnoy zetknął się twarzą w twarz z „niewiarygodnym”, w które zawsze wierzył, z okropnościami, w których natura przewycięża naturę. Od tego miejsca trzeźwy opis zmienia się, nabiera cech dramatycznych, znamienych dla człowieka do głębi wstrząśniętego. Zdjęty grozą obserwowanych zjawisk widzi je wyolbrzymione. Mógłbym zwątpić w wiarygodność jego słów, gdybym nie był głęboko przekonany, że nie bez powodu został nimi tak wstrząśnięty, i gdyby jego najbardziej niewiarygodne opisy nie znalazły potwierdzenia w mych własnych przeżyciach.

Lecz oddam głos samemu Lengletowi. W Llanvygan przełożyłem ważniejsze części pamiętników od chwili przyjęcia go do loży wolnomularskiej „Nadzieja” do chwili, gdy po raz pierwszy stanął wobec zjawisk pełnych grozy. Podaję je z pewnymi skrótami.

...Po usilnym naleganiu M. Ch..., Wielki Mistrz Loży oświadczył, że poczyni odpowiednie przygotowania, abym mógł osiągnąć wyższy szczebel wtajemniczenia. Z bijącym sercem stanąłem pod drzwiami Hotelu V... V... i zapukałem w umówiony sposób. „A więc dziś — powiedziałem sobie — dostąpisz szczytu postawienia pierwszego kroku na tej królewskiej dróżce, o której marzyłeś od wczesnej młodości”. Zarazem złożyłem w duchu ślubowanie, że zdobytą przy pomocy najwyższej sztuki fortunę użyję dla dobra ludzkości. Tego wieczoru działalność bractwa była bardziej uroczysta i wznioślejsza niż poprzednio. Po zwykłych,

wstępnych ceremoniach rozsunała się kotara oddzielająca od reszty sali podwyższenie niczym scenę, pośrodku której, pod girlandami i lampionami, wsparta o strzaskaną kolumnę siedziała pogrążona w głębokim smutku dama symbolizująca ludzkość. Tymczasem na podwyższenie wszedł utykający żołnierz, na widok którego dama wybuchnęła gwałtownym szlochem. Mój sąsiad wyjaśnił mi, że żołnierz ten nazwiskiem Thibaud odniósł w bitwie pod Rossbach rany i w obliczu śmierci głodowej zwrócił się do loży o pomoc. Byliśmy do głębi wzruszeni smutną dola godnego szacunku bohatera. Wówczas pojawił się na scenie smok, a za nim uzbrojony od stóp do głów templariusz. Przebił on smoka dzidą, wtedy rozległa się gdzieś z zewnątrz cicha i subtelna muzyka. Następnie rycerz wydobył z zanadru sakiewkę, wypełnioną datkami bractwa loży, i wręczył ją wojakowi, który łzami okazał mu swą wdzięczność. Dama zaś przytuliła do piersi rycerza będącego symbolem Wielkiego Mistrza Loży. Po czym wbiegły małe aniołki, które z niezwykłą gracją tańczyły w takt płynącej muzyki.

Po skończonym balecie Wielki Mistrz we wstrząsających słowach przedstawił dotychczasową nędzę bohatera i zachęcał obecnych do niestrudzonego działania dla dobra ludzkości. Bracia uściskali się ze łzami w oczach, po czym podążyli na wieczerzę.

Ja jednak pozostałem i po odszukaniu Wielkiego Inkwizytora w uprzejmy sposób przypomniałem mu o obietnicy. Na jego srogo brzmiące pytanie, czy poczyniłem odpowiednie przygotowania, odrzekłem, że przez trzy tygodnie nie wzięłem do ust mięsa ni alkoholu i że odmówiłem sobie zbliżenia z kobietą (ku zmartwieniu biednej Thérèse).

Mówiąc nawiasem później zorientowałem się, że jej zmartwienie nie mogło być aż tak poważne, skoro zdradzała mnie w tym czasie z młodym rzeźnikiem z rue St. Denis.

— Wobec tego pójdz ze mną — rzekł Wielki Inkwizytor.

Doszliśmy do pewnej sali, gdzie kilku panów w maskach stało wokół magicznego pentagramu. Wielki Inkwizytor również założył maskę, na której widniał symbol słońca i księżyca. Mnie postawiono pośrodku pentagramu, po czym nagle błysnęły klingi szabel skierowanych ku mnie. Poleciłem ducha Bogu, nie zdradzając jednak niczym strachu, tym bardziej że wiedziałem o tej ceremonii towarzyszącej przejściu na wyższy szczebel wtajemniczenia, jak również o tym, że nikogo jeszcze nie posiekano przy tej okazji.

Wielki Inkwizytor pogratulował mi odwagi, wymamrotał kilka magicznych słów w jakimś wschodnim języku, po czym także nałożył mi maskę. Następnie on i jeszcze jeden zamaskowany pan wzięli mnie za ręce i wiedli przez liczne, kirem obite korytarze aż do sali, gdzie pośrodku stała olbrzymia trumna. Z boku trumna miała drzwi, przez które weszliśmy do środka.

Wewnątrz trumny panowały nieprzeniknione ciemności. Nasłuchując oddechów, domyśliłem się, że prócz mnie znajduje się tu więcej osób. Nagle zrobiło się widno i stwierdziłem, że stoję przed małym stolikiem, na którym leżały pomiędzy dwoma pistoletami podwiązka i kryształowe naczynie.

Za stolikiem stał zadziwiająco dostojny mężczyzna o poważnej twarzy; sądząc po dystynkcjach, nie mógł to być nikt inny, tylko Wielki Wybraniec, najważniejsza osobistość naszej loży. U jego boku stał drugi mężczyzna, którego odznaki świadczyły, że jest to Rycerz Wschodzącego Słońca.

— Czy znasz miejsce Wschodu i Zachodu? — spytał Wielki Wybraniec.

W zakłopotaniu chciałem odrzec, że nigdy tam nie byłem, lecz Rycerz Wschodzącego Słońca trącił mnie łokciem, żebym odpowiedział — tak. Co też uczyniłem.

— Czy znasz sześciokątne słupy i kule, i zwierzęta o bazaltowych głowach, znajdujące się w przedsionku?

— Tak — odrzekłem, a Rycerz Wschodzącego Słońca uśmiechnął się z zadowoleniem. Poznałem go po tuszy; był to angielski gentleman, milord Bonaventura Pendragon.

— Czy potrafisz lewą ręką obracać koło, a prawą zaostrzać różgę?

Kiedy i na to pytanie odpowiedziałem twierdząco, Wielki Wybraniec wystrzelił z

jednego z pistoletów i wówczas trumna z wolna uniosła się w powietrze, zatrzymując się pod sklepieniem, my zaś staliśmy w pokoju wraz z Wielkim Inkwizytorem i pozostałymi panami, którzy przez ten czas także zdjęli maski.

— Przekonałem się, że brat Malakius (to było moje tajne imię) poznał tajniki niższych szczebli wtajemniczenia — rzekł Wielki Wybraniec. — Teraz zapytam tkwiącego w kryształowej kuli archanioła Uriela, czy ze względu na swoje cnoty adept może być przyjęty na wyższy szczebel. Przeprowadźcie tu dziewczę.

Dwóch panów wprowadziło nader wdzięczną i młodą, bo chyba trzynastoletnią panienkę w bieli. Wielki Wybraniec spojrzał przenikliwie na dziewczynę.

— Czy jesteś istotnie niewinna? — spytał. Dziewczę, dotknięte tą niewiarą, zapewniło o swej niewinności.

Wielki Wybraniec rozpostarł ramiona nad dziewczyną i w jakimś nieznanym języku szeptał słowa modlitwy, po czym podprowadziwszy ją do stołu, polecił, aby spojrzała w kryształową kulę. Dziewczyna wykonała rozkaz.

— Czy widzisz archanioła Uriela z wagą, kulami i dwugłowym wielorybem po prawicy?

— Nie widzę — odpowiedziała dziewczyna.

— To nie jesteś niewinna — zawołał Wielki Wybraniec zirytowany. Wówczas dziewczyna ponownie spojrzała w kulę i oświadczyła:

— Już widzę.

— Widzisz archanioła Uriela?

— Tak, widzę.

— Co robi archanioł?

Dziewczę milczało chwilę, po czym powiedziało:

— Daje jakiś prezent maleńkiej postaci, która podskakuje.

— W porządku — skinął głową Wielki Wybraniec. — Ta maleńka postać to brat Malakius: archanioł Uriel obdarowuje go Kamieniem Mądrości, który jest celem najwyższym dla nas wszystkich.

Po czym objął mnie, jak również i pozostali, składając mi gratulacje, z wyjątkiem milorda Bonaventury, który prowadził ożywioną pogawędkę z niewinną panienką.

Na tym skończyły się zajęcia owego dnia. Milord Bonaventura wziął mnie pod rękę i zaprosił na kolację.

W powozie zapytał mnie najpierw, czy to niewinne dziewczę nie wzbudziło mego zainteresowania, które to pytanie nader mnie zdumiało, jako wybitnie nie pasujące do powagi chwili. Ale Bonaventura był prawdziwym epikurejczykiem i poszukiwał Kamienia Mądrości tylko w tym celu, żeby uzyskawszy niezmiernie bogactwa móc zwielokrotnić rozkosze życia. Dlatego też nigdy nie znalazł Kamienia Mądrości.

I podczas gdy ja bezskutecznie oczekiwałem od niego jako od Rycerza Wschodzącego Słońca jakichś budujących pouczeń, on bez przerwy plótł o dziewczynie i snuł plany nawiązania znajomości z jej matką szlchetnego rodu, dręcząc mnie pytaniami, ile też złota będzie musiał jej przyrzec, by dziewczyna była jego. Byłem wielce rozczarowany, ale chcąc mu sprawić przyjemność, obiecałem, że w jego imieniu odwiedzę szlchetnie urodzoną matkę i delikatnie dowiem się wszystkiego.

Milord Bonaventura mieszkał w wynajętym pałacyku przy Ile St. Louis. Tam spożyliśmy wieczerzę.

Po posiłku, kiedy już znajdował się w przyjemnym nastroju, zrećtnie skierowałem rozmowę na dzisiejszą ceremonię. Z zachwytem wspomniałem o dostojnej, pełnej równowagi postawie Wielkiego Wybrańca.

Milord śmiejąc się powiedział, że Wielki Wybraniec nazywa się hrabia St. Germain, a w każdym razie tak się każe tytułować. Jest to nader tajemniczy człowiek, nikt nie zna jego

pochodzenia, a niektórzy twierdzą, że jest synem owdowiałej królowej Hiszpanii i żydowskiego bankiera. Jedno jest pewne, że na dworze Ludwika XV cieszy się ogromnym poważaniem. Król zamyka się z nim na długie godziny i razem zajmują się studiowaniem alchemii. Ale milord nie pokłada zbyt wielkiej nadziei w tych studiach, twierdząc, że gdyby one do czegoś doprowadzały, to francuski budżet państwowy nie byłby tak zachwiany.

Nie ulega jednak wątpliwości, że St. Germain zna jakąś tajemnicę, dzięki której potrafi zwiększyć diamenty, powodując ich napęcznienie, a potem ponowne stwardnienie.

Poza tym niewątpliwie jest posiadaczem niezmiernej fortuny, gdyż nader chętnie pokazuje naszym braciom szkatułkę z kosztownościami, którą zawsze nosi przy sobie.

— Jeżeli jest więc oszustem — powiedział milord — to nie dlatego oszukuje, żeby wyłudzić od nas pieniądze, tylko ot tak, dla przyjemności.

Wstrząśnięty do głębi spytałem, jak może Wielkiego Wybrańca macierzystej szkockiej łożyć podejrzewać o oszustwo. Zdjęło mnie przerażenie, że za chwilę rozsuną się ściany i uzbrojeni w świszczące klingi panowie posiekają nas na kawałki.

Milord uśmiechając się powiedział, że w ciągu wielu przeżytych lat, poświęconych poszukiwaniom kamienia filozoficznego, natknął się na tylu oszustów, że gdyby obecnie zjawił się osobiście archanioł Uriel z listem polecającym od Pana Boga, toby do niego też nie miał zaufania. Ze zgrozą słuchałem tych bluźnierczych słów.

Wracając do tematu, milord powiedział, że hrabia St. Germain nie przyjmuje żadnych pokarmów, tylko odżywia się jakimś płynem własnego wyrobu. Natomiast bardzo lubi kobiety, a co najdziwniejsze, że żyje już od kilku tysięcy lat. Opowiadają niektórzy, a konkretnie pewna leciwa hrabina, której imienia nie pamiętam, że zna hrabiego St. Germain od pięćdziesięciu lat i że wówczas wyglądał tak samo młodo jak obecnie. Widocznie jest on w posiadaniu eliksiru, pozwalającego zachowywać względnie odzyskiwać młodość.

Opowiadają również, że pewnego razu ofiarował jakiejś damie fiołkę, której zawartość odmłodziła ją o dwadzieścia pięć lat. Trzydziestoletnia pokojówka owej damy wypiła z łakomstwa resztkę płynu z owej fiołki i kiedy pani ją wezwała, wbiegło do pokoju, powłócząc dorosłymi sukniami, szlochające, pięcioletnie dziecko. Tak dalece się odmłodziła. Biedulka uczęszcza obecnie do szkoły urszulanek.

Następnego dnia odwiedziłem szlachetną damę, której adres podał mi milord Bonaventura, i w uprzejmy sposób wyjawilem jej, jak wielkie wrażenie uczyniła jej córka na milordzie. Oburzona dama początkowo nie chciała o tym nawet słyszeć, powołując się na to, że w żyłach jej płynie królewska krew Walezjuszków i że córka jest jeszcze zbyt młoda. (W czasach Lengleta de Fresnoy trzynastoletnie dziewczęta uważane były za w pełni dojrzałe, na co wskazuje wyraźny pociąg Casanovy do tego wieku).

Kiedy jednak wyjaśniłem rozsierdzonej damie, że milord skłonny jest zapłacić 2000 liwrow w złocie i w przypadku zerwania ofiaruje kosztowności za tę samą sumę — kochające serce matki nie mogło stanąć na drodze szczęścia córki, wobec czego uzgodniliśmy, że następnego dnia będą obie spacerować na dziedzińcu Palais Royal, gdzie milord może w grzecznej formie rozpocząć zaloty.

Milord podziękował za moje trudy i ofiarował mi w darze kosztowną tabakierkę, na której wryty był wizerunek kościoła Przyjaźni. Później już, nie opodal Lichfield, napadli na mnie rozbójnicy i zrabowali tabakierkę wraz z innymi kosztownościami. Któż jednak potrafi opisać nasze zdumienie, gdy ledwie zjawiwszy się na dziedzińcu Palais Royal ujrzeliśmy, że młoda dama podaje ramię hrabiemu St. Germain, wsiada do jego powozu w towarzystwie matki, nie racząc nawet rzucić na nas spojrzeniem.

Milord Bonaventura kłął jak Anglik i obrzucał stekiem obelg cały naród francuski, który nie zna cnoty słowności. Postanowił natychmiast pojechać do owej damy i wygarnąć, co o nich myśli.

Przed domem zastaliśmy karocę hrabiego St. Germain oraz jego sławnego sługę, który z

kamienną powagą stróżował przy bramie.

— Hej tam! — rzekł milord. — Twój pan to oszust. Opowiada o sobie, że żyje już kilka tysięcy lat!

— Nie wierz mu, szlachetny panie — odparł sługa. — Mój pan lubi przesadzać. Ja służę u niego już od stu lat, a gdy wstąpiłem do służby, nie miał więcej niż trzysta lat.

Milord zaczął wściekle dobijać się do bramy, której jednak nie otworzono, natomiast w oknie nad nami pojawiła się matka i chlusnąwszy nam na głowy zawartość trzymanego w ręku nocnego naczynia obsypała nas w dodatku ordynarnymi wyzwiskami. Milord oddalił się ze słusznym oburzeniem.

Nazajutrz w czasie obiadu, który spożywałem u milorda, lokaj zameldował hrabiego St. Germain. Przyszedł on, aby wyjaśnić sprawę. Nie wiedział bowiem, rzekł, że młoda dama wznieciła płomień w sercu milorda Bonaventury, i wyraził gotowość rezygnacji z niej, tym bardziej że żywi już tylko platoniczne uczucia do płci żeńskiej, jako że w pierwszych 500 latach swego żywota miał rozkoszy cielesnych aż nadto.

Milord podziękował mu za uprzejmość, oświadczył jednak, że po doznanej zniewadze nie pragnie z wyżej wymienioną damą nawiązać intymnych stosunków, tym bardziej że posiada już trzy kochanki, które wystawiają na próbę jego z dnia na dzień malejącą męskość. Zarazem poprosił hrabiego St. Germain, by pomógł mu jednym ze swych tajemniczych eliksirów, ponieważ nie chciałby kompromitować się przed trzema damami. St. Germain przyrzekł spełnić jego prośbę. W ten sposób nawiązała się między nimi przyjaźń, która stała się źródłem wspaniałych przygód.

Hrabia St. Germain ofiarował milordowi napój, który w sposób zadziwiający zwielokrotnił jego męskość, tak że opuszczając rano swą przyjaciółkę, wciąż jeszcze odczuwał głód miłości. Powyciągał więc z bram trzy senne uliczne dziewczyny, zawiózł je do siebie i każdej udowodnił swą męskość.

Odtąd milord ślepo ufał hrabiemu St. Germain. Zwierzył mu się, podobnie jak i mnie, który byłem już wówczas stałym jego gościem i towarzyszem, że jego sytuacja majątkowa (mimo olbrzymich posiadłości po drugiej stronie kanału) jest wręcz tragiczna i że cała jego nadzieja spoczywa tylko w alchemii, błaga więc hrabiego, by chociaż tyle mu zdradził, czy tę tajemnicę zna.

Podczas długiej nocnej rozmowy St. Germain przyznał się, że co prawda wie bardzo wiele, co dla zwykłych śmiertelników jest niedostępne, jednakże nie zna jeszcze *Mysterium Magnum*, sekretu przeistaczania minerałów w złoto. Jego zdaniem żaden dziś żyjący człowiek nie zna tej tajemnicy, dawniejsi mistrzowie także jej nie znali, tylko różokrzyżowcy w minionych stuleciach musieli być bliscy odkrycia sekretu. Wielcy uczeni minionego wieku, jak sławny Theophrastus Bombastus Paracelsus z Hohenheim i jego uczeń Robert Fludd, czekali tylko na chwilę, na tę mistyczną chwilę, którą określali jako moment przybycia Eliasza Artysty, proroka-mistrza, aby *Mysterium Magnum* doprowadzić do końca. Lecz prorok Eliasz nie przybył.

Milord Bonaventura po wysłuchaniu relacji hrabiego stwierdził, że posiada on rzeczywiście wiele tajemnic, ale on sam zna także jedną, jemu tylko wiadomą, przekazywaną dziedzicznie w jego rodzinie wraz z tytułem earla, i że gdyby połączyć tajemnice ich obu, może by się udało rozwiązać tę największą. Ale w tym celu musieliby pojechać do Anglii, gdyż jego tajemnica związana jest z miejscem.

St. Germain po krótkim namyśle wyraził zgodę na wyjazd do Anglii, gdzie miał wielu miłych znajomych, a ja także chętnie przyjąłem zaproszenie milorda, gdyż nic specjalnego nie trzymało mnie we Francji.

(Następnie Lenglet de Fresnoy długo i szeroko opowiadał, w jaki sposób zerwał z Thérèse, która właściwie już go nie pociągała. Zerwanie nie obyło się bez trudności. Niestety, mam wrażenie, że Lenglet de Fresnoy był dłużny pewną sumę poczciwej Thérèse i dlatego też

pozostawiając swój bagaż uciekł z Paryża i dopiero w Arras przyłączył się do Bonaventury. Tłumaczył się jednak, że kierowała nim tylko obawa, iż serce Thérèse pęknie z żalu).

Mocno zabiło mi serce, gdy pierwszy raz w życiu wsiadłem na morski statek. Patrząc na rozhukane grzywy fal, przyznałem rację Mojżeszowi, który wolał oddać się w opiekę Bogu i czekać, aż fale się rozstąpią. Cierpiąc na stale wzmagającą się morską chorobę, odbywałem podróż oddając się aktowi skruchy, podczas gdy dręczyły mnie ponure przecucia, dotyczące czekających nas przygód.

Lecz gdy wreszcie wyłoniły się białe brzegi Albionu, widząc ich piękno znów począłem wierzyć w opatrność boską.

W Londynie spędziliśmy zaledwie jeden dzień, który St. Germain poświęcił odwiedzeniu mistrzów angielskiego wolnomularstwa, ja zaś w towarzystwie milorda zwiedzałem restauracje i kawiarnie.

Pod wieczór spacerowaliśmy w lunaparku zwanym Vauxhall, obserwując damy, gdy w pewnej chwili podszedł do nas pan o szczególnej prezencji. Ów pan przyodziały był w strój, jaki noszą zwykle włoscy arystokraci za granicą; w całej krasie jaskrawych barw ubiór obwieszony był złotymi łańcuszkami, gdzie tylko się dało. Podczas naszej rozmowy wyciągnął cztery zegarki i trzy tabakierki, na każdym palcu miał po kilka pierścionków. Twarz jego bynajmniej nie odznaczała się urodą, lecz jej bogata mimika i wyraz płonących oczu zdradzały tak wielką żywość, jakiej nie widziałem u nikogo.

Powitał milorda jak starego znajomego i kierując wkrótce rozmowę na hrabiego St. Germain, ostrzegł przed nim milorda. Lecz milord zbył te uwagi żartem i zaczął wypytywać Włocha o jego przygody.

— Milordzie, nie jestem już taki, jaki byłem w Paryżu — odparł Włoch. — Czuję, że zaczynam umierać, gdyż człowiek nie umiera od razu, lecz stopniowo, wtedy gdy jego zmysły zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Teraz, gdy patrzę wstecz na swoje życie, nie wiem, czy byłem największym głupcem, czy mędrcem.

Milord zauważył żartobliwie, że taki słynny wszechwiedzący człowiek powinien znać środek, za pomocą którego St. Germain przywraca utraconą młodość. Na to Włoch zaczerwiecił się mówiąc, że to zapewne aluzja do historii z mme de Durfe, której to on rzekomo przyrzekł wieczną młodość, po czym zawołał gniewnie:

— Niechaj więc milord pozostanie w szponach hrabiego St. Germain! Człowiek drwiący zasługuje tylko na drwiny!

I oddalił się bez pożegnania.

Na moje pytanie, kim był ten dziwny gentleman, milord odparł, że nie wie, z czego ten człowiek bardziej zasłynął: ze swoich oszustw czy też z rozlicznych przygód miłosnych. On sam każe się zwać rycerzem Seingalt, ale jego prawdziwe nazwisko brzmi Giacomo Casanova.

Nazajutrz wyjechaliśmy do prowincji Walia, gdzie znajdowały się posiadłości milorda. W jego pałacu w Llanvygan goszczono nas po królewsku. Następny dzień upłynął na przyjmowaniu wizyt okolicznych pań i panów i dopiero późną nocą podjęliśmy na nowo rozmowę o sprawach tajemnych.

Milord drżącym ze zdenerwowania głosem opowiedział, że w pobliżu pod ruinami starego zamku zwanego Smoczą Głową leży pochowany jego przodek, Asaph Pendragon, który nie był nikim innym, tylko różokrzyżowcem i założycielem bractwa różokrzyżowców.

— Jeśli to prawda — zawołał St. Germain — to jego ciało musi leżeć w grobie w stanie nienaruszonym przez czas.

— To jest prawda — wyszeptał milord i przysunął się bliżej — że różokrzyżowiec jeszcze żyje, podobnie jak prorok Merlin albo Owain Krwaworęki, bohater walijski. Leży w grobie i czeka, aż nadejdzie czas wyjścia.

Według tradycji rodzinnej, która przekazywana jest z ojca na syna, gdy różokrzyżowiec

zaczął odczuwać starość, wezwał do siebie swego najlepszego przyjaciela, lekarza Roberta Fludda, również należącego do bractwa. Jemu powierzył przywiezioną ze wschodu wielką tajemnicę, dzięki której można uwiecznić życie ludzkie. Po dokonaniu ścisłych obrządków nieśmiertelne ciało spoczywa w grobie, żyjąc jednak i rozmyślając nad tajemnicami niebios i ziemi.

Po wtajemniczeniu przyjaciela położył się w grobowcu, który sam sobie przygotował na podobieństwo wszechświata, a Fludd dokonał obrządków, po czym zamknął grobowiec i poszedł. I jakby spełnił swoją misję, tego samego roku zmarł.

St. Germain i ja słuchaliśmy opowiadania milorda z przerażeniem i spytaliśmy, jakie ma plany i czego od nas żąda. Milord odrzekł, że różokrzyżowiec żyjąc leży w grobie i więcej wie od wszystkich śmiertelników, gdyż już za życia wiedział więcej, a teraz od stu dwudziestu lat leży pogrążony w medytacjach nad ziemskimi i nadprzyrodzonymi sprawami. Gdyby można było go wskrzesić i poradzić się go, byłibyśmy bliżej *Mysterium Magnum* niż ktokolwiek i kiedykolwiek. Jeśliby St. Germain, który potrafi przywracać młodość, skoncentrował całą swoją wiedzę, być może, udałoby się nakłonić żywcem pogrzebanego do udzielenia nam wskazówek.

St. Germain przez dłuższy czas nic nie odpowiadał, po czym wstając rzekł, że musi się zastanowić i zapytać swych domowych duchów — potem zaś udał się do siebie.

Zostałem sam z milordem Bonaventurą, który budził odtąd we mnie coraz większą trwogę. Jego niezmierna otyłość, która wydawała mi się zabawnym następstwem nieumiarowanego, epikurejskiego trybu życia, teraz przy migocącym świetle kominka nabrała jakichś diabelskich cech, jak gdyby siedziało tu ucieleśnienie złego ducha Mamraona, który własnych przodków wygrzebuje z grobów.

Milord zapytał mnie, czy byłem już wyświęcony, kiedy porzuciłem stan duchowny, i moja potwierdzająca odpowiedź napełniła go radością. Bo jeśli nic nie pomoże, powiedział, to już tylko czarna magia może pomóc, a do tego potrzebny jest wyświęcony ksiądz i poświęcony opłatek. Jeśli magiczne środki hrabiego St. Germain okażą się nieskuteczne, to kolej przyjdzie na mnie. Mam nad grobem celebrować diabelskie nabożeństwo, odmawiając święte słowa mszy w odwrotnej kolejności.

Zdjął mnie tak przeraźliwy lęk, że nie śmiałem się nawet przeciwstawić temu szatańskiemu planowi.

Wtem powrócił St. Germain. Przez czas swej nieobecności włożył na siebie insygnia wolnomularskie Wielkiego Wybrańca, w rękę zaś trzymał laskę i szlifowany flakon.

— Musimy się spieszyć — powiedział. — Jeżeli chcemy coś zrobić, to dziś w nocy, bo dziś jest nów księżycy a Wenus znajduje się w znaku Koziorożca. W takie noce skutkuje magia najlepiej.

Wtedy rzuciłem się na kolana i zacząłem błagać, by zrezygnowali ze swoich straszliwych zamiarów, przez które mogą zniweczyć zbawienie naszych dusz, ale milord śmiał się szyderczo, mówiąc, że za zbawienie naszych dusz nie dałby nawet złamanego grosza. Wtedy zacząłem ich prosić, aby chociaż mnie zostawili w domu albo pozwolili odejść stąd, bo czułem, że szykuje się coś potwornego. Wówczas milord wyciągnął kord i zagroził, że jeśli ich teraz opuszczę, kiedy wysledziłem wszystkie sekrety, przebiję mnie. W ten sposób zmusił mnie do współdziałania.

Na dziedzińcu czekały na nas trzy okulbaczone czarne wierzchowce i z milordem na czele pocwałowaliśmy błyskawicznie w ciemną noc. Droga wspinała się wysoko w górę, na szczycie której upiornie sterczały ruiny zamku. Kryjówka sów, czarownic i duchów. Konie uwiązaliśmy do słupa przy bramie, otoczonej resztkami muru; po czym milord zapalił przyniesione przez nas żagwie i wtargnęliśmy do ruin.

Na tajemniczy znak milorda ukazały się przed nami ziejące ciemnością, kręte schody. Zstępowałem w dół na drżących nogach. Któż potrafi opisać moje przerażenie, kiedy poczu-

łem, że stopień, na którym akurat stałem, zaczyna się obniżać pode mną.

Usiłowałem chwycić się jakiejś belki, która jednak odrzuciła z szatańskim chichotem. Prerażony wzywałem na pomoc milorda, ten jednak zataczając płonąca żagwią jakieś przedziwne koła, gnał przed nami jak szalony.

Tak dotarliśmy do ogromnej sali, z której kątów nie dających się ogarnąć wzrokiem dochodził szum fal morskich lub inny szum przypominający morze.

Sala była po brzegi wypełniona trumnami; wieko każdej uniosło się stopniowo w górę, po czym znów opadło niby potężna paszcza gotowa kąsać i jakby ostrzegając przed dalszą drogą.

W obłąkanym strachu zataczając się szedłem do następnej sali, gdzie czekało nas o wiele więcej potwornych przeżyć niż dotychczas.

Pośrodku sali stał ołtarz, i kiedy milord odsunął go, znaleźliśmy pod nim płytę grobowca, którą St. Germain odchylił za pomocą tajemniczych manipulacji.

W grobie stał katafalk, a na nim leżał olbrzymiego wzrostu, sędziwy starzec, w starodawnym uroczystym stroju. Na palcach miał pierścienie z tak kosztownymi kamieniami, jakich nie widziałem jeszcze nigdy. Leżał z otwartymi, nie widzącymi oczyma jak ślepiec, w zupełnym bezruchu. Milord i ja, ogarnięci strachem, schowaliśmy się za odsunięty ołtarz. St. Germain blady był jak ściana; może on także chętnie by się schował, ale wstydził się.

Uczył laską jakiś znak nad leżącym, po czym skropił mu czoło zawartością flakonu.

Wówczas leżący w letargu starzec zadrżał, głowę zwrócił ku nam, twarz przybrała wyraz człowieka widzącego, głowę uniosł z wolna, oparł się na łokciach i jakiś potworny krzyk wyrwał się z jego piersi.

Równocześnie podziemne światło oświetlające salę przygasło i widoczne na boku sali dzwony rozdzwoniły się głośno...

Skamieniali ze strachu ujrzelśmy, jak leżący podnosi się powoli i zamierza opuścić grób.

Wtedy St. Germain krzyknął i co tchu wybiegł z sali, a my za nim. Z trudem wspinaliśmy się po krętych schodach, gdyż milord ledwo trzymał się na nogach — musiałem go podtrzymywać, co ze względu na jego tuszę było nie lada zadaniem. Zanim powróciliśmy do pałacu, miał już wysoką gorączkę i mówił od rzeczy.

Lekarstwa hrabiego St. Germain nie odnosiły skutku. Nie odstępowaliśmy więc od łóżka milorda. Cierpiał około tygodnia, po czym zmarł nie wspominając o nas obu w swym testamencie...

*

W Rhiul przesiadłem się do lokalnego pociągu, wagony z sapaniem wdzierały się w serce gór północnej Walii, mijając posępny, owiany mistycyzmem krajobraz. Nazwy stacji miały coraz bardziej obce i barbarzyńskie brzmienie. Znaleźliśmy się w lasach celtyckich, na baśniowych ziemiach, gdzie urodziły się nimfy i czarownik Merlin, dziecię poczęte bez ojca, z matki zapłodnionej prochami zmarłych. Dzisiejsi Walijscy to lud trzeźwy, cyniczny... Lecz pozostały drzewa, skały, jeziora i atmosfera, które niegdyś rodziły cuda i nawet dziś jeszcze milcząco strzegą załączków nowego misterium.

W Corwen czekał na mnie w samochodzie osobiście earl. Przekazałem mu rękopis i chciałem z miejsca opowiedzieć, dlaczego nadprogramowo spędziłem dzień w Londynie.

— Pan jest teraz głodny i zmęczony — powiedział earl. — Przede wszystkim zjemy kolację.

Ale i on wyglądał na zmęczonego i był niespokojny. Toteż nie zamieniliśmy ani słowa, dopóki nie dojechaliśmy do hotelu, gdzie przyjęto earla z szacunkiem, należnym lennemu panu. Kolację jedliśmy w gabinecie, niewiele przy tym rozmawiając i dopiero przy kawie i

koniaku poprosił, abym mu opowiedział swe przygody.

Opowiedziałem wszystko, co było ściśle związane ze sprawą. Przemilczałem miejsce, w którym spędziłem noc, gdy skradziono mi rękopis. Napomknąłem zaledwie, że nie spałem w hotelu.

Najbardziej zdumiał go list, z którego Morvin dowiedział się, że śmierć Maloneya poprzedziło tarposzenie się z jakimś olbrzymem.

— Teraz już nie ulega wątpliwości — zawołał. — W Llanvygan musi być jakiś szpieg! Ktoś pisuje listy do Morvina. W ten sposób Morvin dowiedział się, że pan jedzie do Londynu po rękopis. Ale kto? Nikt przecież nie wiedział o powierzonym panu zadaniu, poza Osborne'em i Cynthia... Czyżby ktoś podsłuchiwał?

Pograżył się w myślach, po czym powiedział:

— Czy pan doprawdy widział, że ktoś był na balkonie, z którego runął Maloney?

— Tak, milordzie.

Earl odwrócił głowę.

Milczeliśmy długo.

Eileen St. Claire także mówiła o czyjejs tajemniczej, nieokreślonej obecności. Pamiętnik Lengleta de Fresnoy stanowił klucz do rozwiązania tych potwornych, niesamowitych tajemnic: jeździec z pochodnią, starzec na brzegu jeziora, głos z podziemi zamkowych, który zatrzymał Osborne'a tuż nad przepaścią, śmierć Maloneya, jego wykręcony kark.

Jaką tajemnicę kryło milczenie earla?

A może raczej, jaką wyjawi tajemnicę...

— Może opowie pan, co było dalej - rzekł nagle. Niesamowita atmosfera rozładowała się nieco.

Zdawałem dalej relację. Rozbawiło go niespodziewane pojawienie się Osborne'a.

— Jak się nazywa ta dama?

— Lena Kretzsch.

— Pan będzie uprzejmy przeliterować.

Przeliterowałem.

— Niebawale: T-z-s-c-h-! Pięć spółgłosek dla oznaczenia jednej litery! Bardzo ciekawe.

Cieszę się, że widział pan Osborne'a w towarzystwie dziewczyny — ciągnął — jego niechęć do kobiet sprawia mi wiele trosk, bo któryś z nas musi się bezwzględnie ożenić i wolałbym, żeby on się zdecydował. Jak ona wygląda? Chciałbym się zorientować, jaki Osborne ma gust.

— Sądzę, że w tym wypadku można by ustalić raczej gust dziewczyny. Odniosłem wrażenie, że Osborne odgrywa w tej przyjaźni absolutnie pasywną rolę. Poza tym Lena to ładna, zdrowa dziewczyna, doskonale zbudowana, w klasycznym pojęciu tego słowa.

— Czy chciał pan przez to powiedzieć, że ma ręce i nogi jak greckie posągi?

— Tak.

— Hm... a charakter?...

— Bardzo nowoczesna...

— Słowem kobieta lekkich obyczajów?

— Nie. Rzeczowa. Neue Sachlichkeit. Bauhaus. Nachtkultur. W miłości nie widzi niczego poza psychofizycznym faktem. Nie komplikuje spraw romantyzmem.

— I pan to uważa za nowoczesne?

— Well, według międzynarodowej nomenklatury dziennikarzy i powieściopisarek określeniem nowoczesnej miłości jest właśnie owa rzeczowość.

— Ale pan jednak powinien z tytułu swego zawodu wiedzieć, że kobiety już za czasów naszych babek nie zajmowały się na przemian ręcznymi robótkami i mdleniem. Były bardziej aktywne i władcze niż dziś, tylko w znacznie wdzięczniejszej formie. Madame Pompadour

czy królowa Wiktorja także paliły fajki, ale panowały. Och... złość mnie ogarnia, gdy słyszę legendy o nowoczesnych kobietach. Nie ma kobiet nowoczesnych. Ani nowoczesnej miłości. Zawsze bywali ubodzy duchem, którzy nie potrafili niczego więcej wnieść do miłości niż swoją rzeczowość, jak to pan określił. Dyscyplina duchowa była dawniej większa, nie pozwalała propagować w literaturze tej zdegenerowanej formy miłości. Między innymi to także należało do spraw, o których dobrze wychowanym pisarzom nie wolno było pisać.

A ci, którzy byli prawdziwymi mistrzami w miłości — ciągnął dalej — nigdy nie byli rzeczowi. W oczach Casanovy zawsze boginią była ta kobieta, która szła naprzeciw niego ulicą, i każda była piękniejsza niż wszystkie poprzedniczki razem wzięte. To było tajemnicą jego powodzenia. Rzeczowość... człowiek tym się różni od zwierzęcia, że potrafi zgłębić pewne rzeczy, widzieć nie tylko to, co ogarnąć może wzrokiem. Rzeczowość!... Czy coś takiego w ogóle istnieje? Każdy z nas buduje sobie odrębny świat z własnych przekonań i próbuje się porozumiewać z innymi za pomocą niedoskonałych znaków świetlnych... Ale zostawmy to... A więc wystawiony był pan na pokusy, jak święty Antoni na pustyni. Diabeł zjawił się w „Cafe Royal” i wabił pana. Ciekaw jestem, co by zrobił Morvin, gdyby pan przystał na jego propozycje? Skąd wzięłyby pieniądze?

— Z funduszków mrs Roscoe — wyrwało mi się mimo woli...

Zaraz pożałowałem tego. Jestem pewny, że od lat nikt nie śmiał wymienić w obecności earla nazwiska Eileen St. Claire i teraz poczuł się, jakby go ugodzono nożem. Chwycił się za kołnierzyk i zbladł.

— Co pan powiedział?... Skąd to posądzenie?...

Zrozumiałem, że zbladł ze złości, która go dławi. Ale nie mogłem się już wycofać.

— Morvin mi powiedział. Mówił stale w liczbie mnogiej: „Kupimy panu jacht... będziemy panu bardzo wdzięczni...”

Earl spojrział na mnie straszliwym wzrokiem. Potem schylił głowę i zadzwonił na kelnera. Zamówił whisky.

Po bardzo długim milczeniu odezwał się już ze spokojem:

— Święty Boże, diabeł pana kusił. Proszę pamiętać, że diabeł jest ojcem kłamstwa. Każde słowo Morvina to kłamstwo. To jego największa zbrodnia, a nie morderstwo. Kłamię, aby się dekować... przede mną. Potrafi wszystko przedstawić w takim świetle, jakby Eileen St. Claire była współwinowajczynią. Każdego potrafi wprowadzić w błąd... Nawet Setona, który jest najsprytniejszym Szkotem pod słońcem... Tylko mnie nie... Ja... ja zbyt dobrze znam Eileen St. Claire...

Przypomniały mi się jego słowa: każdy z nas buduje sobie świat z własnych przekonań... Earl stworzył sobie mit o Eileen St. Claire i kocha ten mit, chociaż jako od kobiety oddalił się już uczuciowo. Oczywiście nie wspominałem o tym ani słówkiem.

Po jakimś czasie earl ciągnął dalej:

— Eileen St. Claire... Mrs Roscoe ma pod wieloma względami nieszczęśliwe usposobienie. Jest w niej coś z automatu, coś nienaturalnego, jakby stale była w transie. Stwierdzenie, że jest podatna na wpływy, nie oddaje istoty sprawy. Nigdy nie uczyniła kroku, który według niej był właściwy, tylko zawsze podporządkowywała się cudzej woli. I jeżeli ktoś usiłował ją obudzić z tego lunatycznego snu, zniechęciła go na zawsze. Nie wiem, czemu panu opowiadam o sprawach, o których nigdy nie wspominam... może dlatego, że jest pan tu obcy... Dziś pan jest, a jutro nie będzie. Tak, jakbym pisał na piasku... Proszę mi wierzyć, że dla Morvina to igraszka stwarzać pozory na niekorzyść Eileen St. Claire.

— Milordzie, te pozory mają wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

— Dlaczego? — spytał znów zirytowany earl.

— Dlaczego? Otóż pan, milordzie, z jakiegoś powodu bardzo nie lubi Morvina i już dawno oddałby go pan w ręce sprawiedliwości, gdyby nie obawa, że Eileen St. Claire...

— Nieprawda! — krzyknął earl tracąc panowanie nad sobą. — Jak pan śmie mówić o

sprawach, o których pan nie ma pojęcia! Skąd mógłby pan znać pobudki moich czynów...

Ten właśnie butny, spontaniczny wybuch otworzył mi oczy. Wszystko stało się jasne. Earl mówił przed chwilą, że tym się różni człowiek od zwierzęcia, iż widzi więcej i głębiej pewne sprawy, niż ogarnia jego wzrok. Zwierzę widzi swą parę tylko w zwierzęciu. A człowiek — w nadczłowieku.

Dla dumnego człowieka nie istnieje straszliwsza pomyłka niż przyznanie się do pomyłki własnej, że kobieta, którą wybrał, nie jest taka, jaką sobie wyobraził. Nieodwzajemniona miłość jest dla butnych tym sroższym cierpieniem, że rani nie tylko uczucia, lecz i ambicję. Cierpią nad zbudowanym przez siebie mitem, który nie ma racji bytu. I jeżeli ktoś ma tak wybujałe poczucie dumy, jak earl of Gwynedd, to podtrzymuje ten mit wbrew wszystkim logicznym dowodom, byle nie musiał się przyznać przed sobą samym do pomyłki.

Dlatego ogarnął tego, skądinąd opanowanego człowieka taki niepoohamowany gniew, że ktoś ośmielił się podważyć mit o Eileen St. Claire. Gdybym mu teraz powiedział, że była ona moją kochanką, albo by nie uwierzył, albo udowodniłby, że Eileen działała pod wpływem hipnozy i wszystkiemu winien jest Morvin.

— Proszę mi wybaczyć, milordzie — powiedziałem — oczywiście było z mojej strony zuchwalstwem zabierać głos...

— Nie pan, lecz ja muszę przeprosić za brak opanowania — rzekł earl już zupełnie spokojnie. — Na swoje usprawiedliwienie tylko to mogę dodać, że w czasie pana nieobecności znowu działały się rzeczy...

— Jak to? Nowy zamach?

— Nie, stało się coś znacznie potworniejszego...

— Milordzie, na miłość boską...

— Doktorze, uczeń czarnoksiężnika Goethego... Die ich rief, die Geister... Miałem w ręku drogocenny kamień, upuściłem go na ośnieżonym zboczu i teraz potoczył się powodując lawinę... Ale to całkiem inna historia, której pan nie może zrozumieć... Proszę mi wybaczyć moją gwałtowność... Nie gniewa się pan, prawda? Nie pan jeden oczernia Eileen St. Claire, o nie! Pozory świadczą przeciw niej. Doprowadza mnie do szalu, kiedy słyszę bezmyślne posądzenia rzucane na niewinną istotę. I nie czyni są ważne, nie czyni. Czyny opadają z człowieka jak ścinane włosy. Człowieka trzeba widzieć niezależnie od jego czynów, tak jak to czyni Bóg... No, ale na nas chyba czas...

*

Była już noc, kiedy wsiedliśmy do samochodu. Wiatr niecierpliwie myszkował między drzewami przydrożnego lasu, a na niebie wyczierała niekiedy spośród goniących chmur czerwonawa, okrągła twarz księżycy.

Earl z kamienną twarzą zamknął w sobie cały tragizm konfliktu. Milczał tak, jakby przez najbliższe miesiące nie zamierzał powiedzieć ni słowa. Droga wiła się serpentyną.

Przy jednym z zakrętów earl zwolnił.

— Czy pan nic nie słyszy?

— Tylko szum wiatru.

Jechaliśmy dalej. Po kilkuset metrach zatrzymał wóz, wysiadł bez słowa i ku memu niewymownemu zdumieniu położył się na ziemi. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, że czegoś nasłuchiwał.

Po chwili wsiadł z zatroskaną miną do samochodu.

Znowu pojechaliśmy dalej, ale tylko kilka metrów, po czym earl zjechał z szosy w pole, gdzie zawrócił, a potem znów stanęliśmy.

— Proszę się nie gniewać za tę krótką zwłokę — powiedział i wysiadł.

Pole, na którym staliśmy, było oddzielone od szosy krzakami. Earl stanął za jednym z

nich i w skupieniu obserwował drogę.

W tym wilgotnym, zachodnim wietrze, o nocnej porze, pole nie wydawało się przytulne. Gdzieś czerniała grupka drzew czy fantastycznego kształtu krzak. Czasem w snach stoi człowiek na takim polu otoczony zewsząd kłębowiskiem pełzających żmij.

Co człowiek może w takiej sytuacji uczynić? Zapalić papierosa.

Ale ledwo zdążyłem się zaciągnąć, podbiegł do mnie earl prosząc, bym się na chwilę powstrzymał od palenia. Z żalem rzuciłem papierosa.

Powoli zdałem sobie sprawę z odgłosu, który tak zaprzętał uwagę earla: był to głuchy, rytmiczny tupot końskich kopyt.

Jednocześnie coś szybko się zbliżało. Mówię — coś, bo nie byli to jeźdźcy, tylko jakby kłęb gęstej mgły toczył się w błyskawicznym tempie, niby gnany wiatrem diabelski wóz.

Po kilku chwilach mgła otoczyła i nas. Wtedy właściwie poczułem, że nie była to mgła, lecz dławiący, oszałamiający dym, o zapachu przypominającym kadzidłom.

Stałem przy samochodzie, nie wiedziałem więc, czy mgła dosięgła również i earla.

Podbiegłem po omacku w to miejsce, gdzie spodziewałem się earla. Moje wyciągnięte przed siebie ręce natrafiły na kolce krzewu.

Przystanąłem.

Wówczas tętent konia rozległ się tak blisko, że natężyłem wzrok. Wydawało mi się, iż widzę jeźdźca cwałującego na złamanie karku szosą.

Potem mgła odpłynęła.

Wyłonił się księżyc i w jego poświacie widać było, jak mgła błyskawicznie toczy się po szosie.

Niewidzialność różokrzyżowców nie jest jednak w pełni baśnią.

Earl usiadł ponownie za kierownicą, opuściwszy głowę na oparte dłonie; nie śmiałem mu przeszkadzać.

Po chwili wsiałem także. Earl zapuścił motor i ruszyliśmy do Llanvyan.

*

Następnego dnia przy śniadaniu opowiedziałem Cynthii pokrótce przebieg sprawy. Naturalnie nie wspominałem o Eileen St. Claire ani też o przywidzeniu, czy jak to nazwać, Lengleta de Fresnoy. Przemilczałem również moje spotkanie z jeźdźcem.

Niektóre rzeczy jedynie w nocy bywają prawdziwe, wiarygodne. Nie byłem w stanie mówić o nich. Wstydzilem się. Człowiek wstydzi się zjawisk niezrozumiałych, irracjonalnych tak, jak na przykład choroby umysłowej. Starłem się o tym nie myśleć.

Zresztą, był taki piękny letni poranek! I tylko Cynthia na świecie i jej ulubione prosięta.

Spacerkiem weszliśmy na szczyt pagórka rozkoszując się słońcem.

Kiedy Cynthia milczała, była piękna. Na pagórku, opodal folwarku należącego do niej, pod walijskim słońcem, będącym jej własnością, była ta, która żyła w mojej wyobraźni i którą kochałem — kasztelanką, naiwną i daleką od kłopotów szarego człowieka. Była cudownie młoda, młodością bogatej dziewczyny. Ubogie dziewczęta nie są nigdy naprawdę młode, bo życiowe kłopoty zmuszają je do męskiej rzeczowości.

Jakże pięknie milczała, opromieniona słońcem, jasnowłosa Cynthia. Było lato, jeden z tych momentów, kiedy człowiekowi się wydaje, że czas stanął i wszystko jest w najlepszym porządku.

Cynthia leżąc na wznak tylko pozornie pogrążona była w filozoficznej zadumie. Wydaje mi się, że nie myślała o niczym, poddając się z rozkoszą dobremu samopoczuciu. Ja także czułem się wspaniale.

Nie trwało to jednak długo.

Cynthia podniosła się zdenerwowana i oświadczyła:

— Niech panu się nie wydaje, że ja teraz o niczym nie myślę. Nie znoszę dziewcząt, które nie mają żadnych zainteresowań.

— O czym pani myśli?

— Czytałam w dzisiejszej gazecie, że w południowej Walii wzrosła o pięć procent liczba bezrobotnych. To właściwie straszne, że człowiek tu się opala, podczas gdy...

— Dość! — przerwałem niegrzecznie.

Poczułem się jak oblany wodą. Nic tak mnie nie wyprowadza z równowagi jak litość bogatych nad biednymi. To jest tak samo nienaturalne i niewiarygodne, jak twierdzenie robotnika, że nie zazdrości bogactw fabrykantowi. Niechaj klasy czują nienawiść do siebie wzajemnie, tak właśnie powinno być. Ja chcę spokojnie korzystać ze słońca, które tak rzadko świeci nad Wyspami Brytyjskimi.

O, Cynthia!... Jakby w niej istniały dwie odrębne istoty. Wypowiedziane przed chwilą słowa tak nie pasowały do dziewczyny, która żyła w mojej wyobraźni.

Moja Cynthia należała do gatunku kobiet mdlejących na widok ukochanego, który prozaicznie wcina parówki, ale przy okazji potrafiłaby spoliczkować swoją pokojówkę — kasztelanka, dumnie królująca w świecie liryki i nie spostrzegająca, że narody przymierają głodem.

Nie traciłem nadziei, że Cynthia w gruncie rzeczy jest taka, jaką chciałbym ją widzieć, i że zawiniło jej wychowanie. Zapewne matka wpoila w nią przekonanie (nie wiadomo pod wpływem jakich rozczarowań i przeżyć), ten zabobon klas średnich, że inteligencja to cenna wartość i że każdy jest człowiekiem.

— Cynthia, biedakowi niech współczuje inny biedny, ale pani powinna być wyniosła i bezlitosna. Gdybym ja był na pani miejscu... całe moje życie byłoby trochę sadystyczną sztuką teatralną, wzorem obojętności i wyniosłości. Książki nie wziąłbym do ręki, cały dzień grałbym w golfa albo uprawiał, o ile to jest możliwe, jeszcze wytworniejszy i nudniejszy sport. Zwiedzałbym świat, oglądał dzieła sztuki i stwierdzał, że Leonardo da Vinci wcale nieźle malował jak na mieszczanina. Byłbym małowówny, gdyż dumę o wiele łatwiej wyrazić gestem niż słowem. Co prawda nie sądzę, że takie życie byłoby zabawne, ale spełnianie obowiązków nigdy zabawne nie bywa...

— Czy zamieniłby się pan ze mną?

— Bez namysłu...

— Nie rozumiem. Ja bym wolała być na pańskim miejscu. Życ dla nauki... w służbie sprawiedliwości i ludzkości...

— Zapewniam panią, że moja wiedza nigdy nie służyła ludzkości. Bo sprawiedliwość i ludzkość nie istnieją. Istnieją jedynie ludzie i prawda. Zawsze cieszyłem się, że moja praca naukowa, dajmy na to na temat dawnego ślusarstwa angielskiego, nikomu nie służyła.

— Tak pan mówi, jakby nie miał pan żadnych ideałów.

— To prawda. Jestem neofrywolny.

— Czym to się różni od frywolności dawnej?

— Głównie tym, że ma przedrostek „neo”. To brzmi znacznie bardziej pasjonująco.

Cynthia splatała dziecinny wianuszek z jakichś żółtych kwiatów, zwanych po angielsku dandelion, i zasmucona patrzyła przed siebie. Nasza przyjaźń przechodziła moment krytyczny. Żałowałem już teraz, że tak wiele mówiłem. Po co człowiek rozmawia z damą swego serca? Z tego wynikają zawsze jakieś przykrości.

Skruszony całowałem jej dłonie. Przez chwilę spoglądała na mnie czule, potem spoważniała i wstała.

— Boję się, że się nie rozumiemy — powiedziała jakimś sztucznym, scenicznym tonem. Powinna była jeszcze dodać słowo „panie”.

I zaczęła mi opowiadać o swojej przyjaciółce, jedynej istocie, która ją rozumie.

Ruszyliśmy z powrotem do pałacu. Milczałem, jak zwykle, gdy czułem, że popełniłem

niewybaczalne głupstwo. Byłem bardzo nieszczęśliwy.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem przywiązany do tej młodej kasztelanki.

*

W pałacu czekała na nas depesza.

„Osborne'a porwano stop Nie zawiadamiać nikogo stop Przyjazd pana konieczny Kretzsch”.

I znów tkwiłem w środku walki.

Szajka Morvina zapewne rozpoznała Osborne'a, kiedy śledził w jakimś niezwykłym przebraniu Eileen St. Claire. Teraz go unieszkodliwiono, o ile nie stało się jeszcze coś gorszego. Przecież na jego życie również czyhano...

Błyskawicznie się spakowałem. Co prawda nie bardzo sobie wyobrażałem, na czym miała polegać moja pomoc, ale nie mogłem się już doczekać, kiedy będę w Londynie.

Ani earlowi, ani Cynthii nie ujawniłem celu mego wyjazdu, nie chcąc ich straszyć zawczasu. Może wszystko dobrze się skończy, pocieszałem się w duchu.

Udało mi się wyjechać popołudniowym pociągiem. Nigdy Londyn nie leżał tak daleko od północnej Walii, jak tego dnia. A ile jest zbyt licznych stacji po drodze!...

W Londynie pogałem do hotelu i spytałem o Lenę.

— Miss Kretzsch?... Miss Kretzsch?...

Zaczęło się flegmatyczne szukanie miss Kretzsch. W czasie obiadu jej nie widziano ani przy śniadaniu. Wreszcie z wypowiedzi pokojówki wynikło, że w nocy również nie była w swoim pokoju.

Tymczasem nastąpiła pora kolacji. Leny ani śladu. O dziewiątej straciłem cierpliwość. Zostawiłem u portiera wiadomość, że wrócę na jedenastą. Jak czuły, pogrążony w żałobie kochanek obchodzi miejsca, w których bywał ze swą ukochaną, tak ja obszedłem wszystkie knajpy, w których pijałem piwo z Leną.

Wiedziałem, że Lena bez swego wieczornego piwa nie zaśnie, jeśli więc jest gdzieś w racjonalnie osiągalnym miejscu, to muszę ją odnaleźć w jednej z knajp.

Stęskniony za jej widokiem, wychylałem w każdej knajpie jedno, dwa piwa. Leny nie odnalazłem, ale gdy dotarłem po jedenastej do hotelu, czułem w głowie miły szum i błogą sennność.

— Czy nikt mnie nie szukał? — spytałem nieco niepewnie.

— Owszem, jakiś pan.

— Nie poznał go pan? To była na pewno miss Kretzsch w przebraniu.

— Możliwe, proszę pana — odparł uprzejmie portier. — Powiedział, że z polecenia mr Setona ma panu przekazać ważną wiadomość.

— Ta Lena ma genialne pomysły! — rzekłem do siebie. — Na pewno jest już w swoim pokoju. — I radośnie pogałem na górę.

Zapukałem do drzwi Leny; żadnego dźwięku z pokoju. Zacząłem się dobijać wrzeszcząc po niemiecku:

— Leno! Leno! Otwórz! To ja, Bátky! Otwórzże wreszcie!

Barbarzyńskie wrzaski zwały właścicielkę hotelu w nocnym stroju.

Miała ona dość srogie poglądy moralne. Hotel cieszył się dobrą reputacją, którą trudno zachować w Anglii. Gdy zorientowała się, że dobijam się do drzwi młodej kobiety, zbladła i spojrzęła na mnie takim wzrokiem, że gdybym był trzeźwy, zamieniłbym się w kamień.

— Mr Bátky!...

O, gdybym potrafił oddać grozę brzmiącą w tym okrzyku!

Ale miałem trochę w czubie, tak że moje zmysły wzroku i słuchu reagowały w sposób

nieco przytępiony. Poza tym byłem optymistą.

— Halo, mrs Stewart! Jak się pani miewa? — powitałem ją radośnie. — Jakoś tyjemy trochę, co?

— W moim hotelu damy nie mają zwyczaju przyjmować mężczyzn w swoich pokojach, zwłaszcza o tej porze. Mr Bátky, nie poznaję pana. Proszę stąd odejść, a jutro — opuścić mój hotel.

Przygnieciony jej niezaprzeczalnym autorytetem poszedłem do swego pokoju i natychmiast zasnąłem.

Wczesnym rankiem, już trzeźwy, szybko się ubrałem i zbiegłem do portiera, aby podjąć odpowiednie kroki, które planowałem już na poprzedni wieczór.

— Czy miss Kretsch wróciła?

— Nie, sir.

Coś mi majaczyło po głowie, że ktoś mnie szukał poprzedniego dnia.

— Kto o mnie pytał?

— Pewien dżentelmen zgłosił się ze zleceniem od mr Setona.

— Co powiedział?

— Że dziś rano znowu przyjdzie i żeby sir łaskawie zaczekał na niego.

Wiadomość ta uspokoiła mnie do pewnego stopnia. Moim największym błędem było to, że już wczoraj nie poinformowałem Setona o najnowszych wydarzeniach. Ale widocznie Seton już wiedział o wszystkim. Przypuszczalnie Lena się z nim skontaktowała. Dowiem się od tego dżentelmena.

Zjadłem śniadanie i czytaniem gazet skracałem oczekiwanie. Właściwie przebiegałem tylko oczami nagłówki i to z roztargnieniem. Nagle zafascynował mnie jeden tytuł:

CHILD KIDNAPPED MYSTERY RIDER IN ABERSYCH

(Porwanie dziecka. Tajemniczy jeździec w Abersych)

Dzisiejszej nocy działy się w Abersych, Merionethshire, przedziwne rzeczy. Sian Prichards, 36-letni farmer, obudził się po północy, usłyszawszy wołanie przed bramą. Wołano go po nazwisku.

Prichards wahał się przez chwilę, czy powinien wyjść, gdyż głos wołającego był mu obcy, i miał jakieś złe przeczucie. W końcu jednak zdecydował się wyjść. Przed bramą siedział na koniu starzec w czerni. Potężny wzrost, niezwykły strój i kredowobiała twarz budziły grozę. Mamrotał jakieś niezrozumiałe wyrazy. Prichards więcej nie pamięta. Kiedy odzyskał przytomność, stał jeszcze wciąż przed bramą, ale starzec znikł, a wraz z nim dziesięcioletni synek Prichardsa. Relacje Prichardsa zostały przez policję przyjęte ze zrozumiałą nieufnością. Z początku sądzono, że jest on umyślowo chory. Ale cała wieś znana Prichardsa jako człowieka rozsądnego, którego stan psychiczny nigdy nie budził zastrzeżeń. Tajemnicze zniknięcie jego syna zmusza jednak do uznania jego relacji za wiarygodną. Policja do chwili obecnej błądzi po omacku. Nie natrafiono na najmniejszy ślad tajemniczego jeźdźca, którego poza Prichardsem nikt nie widział.

Abersych leży najwyżej o dziesięć kilometrów od Pendragonu...

Nie mam żadnych wątpliwości, kim jest ten kidnaper. Ale dlaczego?

Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Sam fakt jest zaprzeczeniem logiki. Więc jak myśleć logicznie?

W pewnej chwili w moim umyśle przyzwyczajonym do asocjacji historycznych wyłonił się przerażający obraz: Książę Sinobrody! Sądziłem, że zrozumiałem wszystko.

Nie miałem na myśli literackiej postaci Sinobrodego, zabijającego swoje żony, lecz

postać historyczną.

Sinobrody, o prawdziwym nazwisku Giles de Rais, był marszałkiem Francji w XV wieku w czasach Dziewicy Orleańskiej i wojny stuletniej. Cały swój olbrzymi majątek poświęcił na bezskuteczne doświadczenia alchemiczne. W końcu postanowił zawrzeć sojusz z ciemnymi mocami.

Aby zaskarbić sobie względy szatańskie, setkami porywał i zabijał dzieci. Opustoszały całe okolice, jakby po przejściu dżumy.

Jak wynika z protokołów inkwizycji, morderstwa jego stawały się coraz okrutniejsze. Początkowo tylko katował i ćwiartował dzieci, z czasem jednak udoskonalił swój system paląc je żywcem na wolnym ogniu. Jeszcze później deprawował je, a następnie mordował. Sam wyznał, że największą rozkosz sprawiało mu siadanie na pociętym ciele swych ofiar. W ostatniej fazie zbrodni zbezczeszczał zwłoki nieszczęsnych dzieci.

Wszystkie te potworności nie odnosiły skutku. Szatan zjawiał się kilkakrotnie, ale zachowywał się wrogo. Pewnego razu niemal na śmierć zaćwiczył najserdeczniejszego przyjaciela Gilesa de Rais, pewnego włoskiego alchemika. Szatan nie jest łaskawy dla swych wyznawców.

W końcu Giles de Rais dostał się do więzienia inkwizycji i po wyklęciu go jako wyznawcy szatana, oddano go świeckiej sprawiedliwości, która skazała go na śmierć.

Giles de Rais wyraził skruchę i na klęczkach błagał o wybaczenie. Dobroduszny lud średniowiecza wybaczył mordercy swych dzieci i szlochając odprowadził marszałka na miejsce straceń, modląc się, by Pan Bóg miał litość nad jego duszą.

— Sir, ów pan przyszedł — zameldował portier.

Wybiegłem do hallu.

Czekał tam na mnie jakiś pan o przenikliwym wzroku, robiący wrażenie detektywa.

— Czy pan János Bátky?

— Tak.

— Proszę mi nie wziąć za złe, ale jestem zmuszony sprawdzić pańską tożsamość. To sprawa zbyt wielkiej wagi, tak że muszę być bardzo ostrożny. Takie jest życzenie mr Setona...

— Proszę bardzo — rzekłem pokazując dowód osobisty, który jako cudzoziemiec musiałem mieć zawsze przy sobie.

— Thank you. Wiadome panu jest, że James Morvin ze swą bandą porwali honourable'a Osborne'a Pendragona. Miss Kretsch zawiadomiła pana o tym.

— Tak.

— Na zlecenie mr Setona poszukujemy od wczorajszego południa honourable'a i dzięki przypadkowi wpadliśmy już pod wieczór na pewien ślad. Morvin jest właścicielem fabryki chemicznej w Southwark. Na podstawie kilku uwag, rzuconych przez robotników, doszliśmy do wniosku, że porwany został tam ukryty. Korzystając z niedzieli, zachowując wszelkie środki ostrożności, włamiemy się dziś przed południem do tej fabryki. Mr Setonowi bardzo zależy na pańskiej obecności w czasie tej akcji. Teraz już niewątpliwie dojdzie do poważnego procesu i mr Seton potrzebuje jak najwięcej świadków. On sam i miss Kretsch są już w Southwark i oczekują pana. Czy jest pan skłonny pójść z nami?

— Oczywiście.

— Wobec tego nie traćmy czasu.

Wsiadliśmy do taksówki i pojechaliśmy na drugą stronę Tamizy, przez nędną, ponurą dzielnicę fabryczną. Ulice były wyludnione, jak zwykle w Anglii w niedzielny poranek.

Zatrzymaliśmy się w małej uliczce. Podeszło do nas czterech panów. Wysoki, siwowłósy mężczyzna w meloniku podał mi rękę.

— Nazywam się Seton.

— Bátky jestem.

— To możemy ruszać. Czy ma pan rewolwer?

— Tak. Przepraszam... A gdzie jest miss Kretsch?

— Zaraz tu będzie. Chodźmy.

Doszliśmy do ogrodzenia. Brama nie była zamknięta. Wtargnęliśmy na dziedziniec.

W pierwszym budynku mieściły się biura. Człowiek wyglądający na detektywa, z którym przyjechałem, otworzył wytrychem drzwi. Lokal składał się z trzech pokoi, w których nie znaleźliśmy niczego godnego uwagi.

— Przypuszczam, że znajduje się w którymś z magazynów — powiedział Seton.

Ponury masywny wygląd jednego z budynków od pierwszej chwili wydał mi się podejrzany, czego nie omieszkalem powiedzieć Setonowi.

— Słusznie. Sprawdźmy przede wszystkim ten budynek. Sheridan, niech pan stanie w tym czasie na straży przy bramie.

Drzwi magazynu zamknięte były na kłódkę. Detektyw z wyglądu złapał z ziemi okazały pieniek i z imponującym zamachem rozwalił nim kłódkę. Zamek otworzył wytrychem.

— Proszę uprzejmie — eleganckim gestem ustąpiłem pierwszeństwa Setonowi.

— Za panem — odrzekł.

Po czym, bez dalszych uprzejmości, złapali mnie i brutalnie wepchnęli do magazynu.

Stoczyłem się po kilku stopniach. Masywne drzwi zatrzasnęły się za mną.

Kości miałem raczej całe.

Nie dane mi było długo sprawdzać stanu moich członków. Z kąta skoczyło na mnie dwóch potężnych Murzynów, którzy poczęli mnie dusić.

— Mr Seton, mr Seton! — wrzeszczałem zduszonym głosem.

Murzyni zwolnili uchwyt i gapili się na mnie, błyskając białymi zębami.

— Pan też? — krzyknęli i ryknęli śmiechem.

Ci dwaj Murzyni to byli Osborne i Lena.

— Co to znaczy, że ja też?...

— Więc pan też dał się złapać!

Nadal nie rozumiałem.

— Ale przecież... przecież ja tu przyszedłem z Setonem.

— Z Setonem? A jak on wyglądał?

— Starszy, przystojny dżentelmen z siwymi wąsami.

— Seton nigdy w życiu nie miał wąsów — powiedział Osborne. — Ale skąd się pan tu wziął? Dlaczego wyjechał pan z Llanvygan?

— Dlaczego? Bo Lena zadepeszowała, że pana uprowadzono i że bym natychmiast przyjeżdżał.

— Jaaa? — zdziwiła się Lena. — Siedzę w tej dziurze od wczorajszego południa i prowadzę z Osborne'em dyskusję na temat socjologii. Ale nie udało mi się go przekonać. A poza tym mdleję z głodu.

— Czy sądzisz... że skazali nas na śmierć głodową?

— Chyba tak. Przez cały czas wrzucali nam po kilka kanapek z serem i szynką, jak niedźwiedziom w ZOO. I kilka jabłek. Jak oni sobie to wyobrażają?

— Ale w jaki sposób wyście się tu dostali? — spytałem.

— Zwyczajnie. Zgodnie z planem, następnego dnia po naszym rozstaniu Osborne i ja, przebrani za Murzynów, zaczęliśmy śledzić mrs Roscoe. Prześladowani przez pech, nie odkryliśmy niczego. Mrs Roscoe prowadzi bardzo światowe życie. Natomiast wczoraj z samego rana przysłała do tej fabryki, gdzie już raz widzieliśmy wchodzącego Morvina. My za nią. Lena wpadła na pomysł wejścia tu jakoby w poszukiwaniu pracy...

— Pomysł był genialny — wtrąciła Lena. — Zaledwie weszliśmy, rzuciło się na nas z dziesięć osób i wepchnęli nas do tej piwnicy, zanim zdążyłam krzyknąć Heil Hitler! I od tego czasu tu siedzimy.

— To wszystko — dodał Osborne. — Zawód detektywa pociąga za sobą pewne ryzyko.

— A teraz pan też tu jest — powiedziała Lena. — Szajka Morvina idzie widocznie na całego.

— O co im właściwie chodzi?

— Chcą nas po prostu zagłodzić — stwierdziła ponuro Lena. — Kiedy pomyślę o bigosie u Schmidta...

— Albo chcą zaszantażować stryja — dorzucił Osborne.

Zamilkliśmy.

— Według powieści kryminalnych — podjąłem — powinniśmy teraz zastanowić się, jak wydostać się z matni.

— No to zastanówmy się.

— Klasyczne przepisy zawiodą w naszym przypadku — westchnął Osborne. — Trudno będzie paznokciami wydrapać otwór w ścianie, zwłaszcza że znajdujemy się pod ziemią.

— Może uda nam się wyważyć drzwi — podsunęła Lena.

— Mało prawdopodobne...

Rozważaliśmy tego rodzaju możliwości przez dłuższy czas. Moi towarzysze niedoli nie wykazywali zbyt wielkiej pomysłowości ani energii. Widocznie uwięzienie ujemnie wpłynęło na ich samopoczucie, mimo pozorów wesołości. Była pora obiadowa. Pomyślałem, że nawet hotelowy obiad wydałby mi się uczta... A tu nic... a co gorsza, nie można liczyć nawet na podwieczorek...

— Musimy spróbować sforsować zamek — zawyrokowałem. — Co prawda nie znam się na współczesnej technice, ale zajmowałem się dawnym ślusarstwem angielskim... Może wpadnie mi jakaś zbawienna myśl...

Wszedłem po schodach i bez przekonania nacisnąłem klamkę.

Drzwi się otworzyły. Były nie zamknięte.

Takiego rozwiązania się nie spodziewałem. Przez kilka minut stałem w otwartych drzwiach i nie byłem w stanie wykrztusić ani słowa.

Kiedy otrząsnęliśmy się z wrażenia, rzuciliśmy się na dziedziniec.

Rozglądając się na prawo i lewo, trzymając rewolwer gotowy do strzału, dopadliśmy do bramy. Nigdzie nie było żywego ducha... Znaleźliśmy się na ulicy. Na płocie wisiała spora tablica z napisem:

TO LET
(Do wynajęcia).

Nie zastanawialiśmy się zbyt długo nad tą zagadką. Z najbliższej budki telefonicznej zamówiliśmy taksówkę i pojechaliśmy do pałacyku Pendragonów na Eaton Square, gdzie Lena i Osborne zmyli z siebie „murzyństwo”, po czym poszliśmy na obiad.

Lena nie chciała pójść do Ritza.

— Nie chcę. Przekonacie się, dlaczego.

Poszliśmy do skromnej restauracji w Soho. Po leguminie Lena zamówiła sobie jeszcze jedną zupę. Potem danie mięsne. Szybko, i milcząco skonsumowała dwa obiady.

Potem wygodnie oparła się i stwierdziła:

— Teraz możemy się zastanawiać.

Zastanawialiśmy się.

— Tajemnica leży nie w tym, że nas uwięziono — zaczął rzeczowo Osborne — ale w tym, że nas tak łatwo wypuszczono. Jaki z tego wniosek? Że podczas gdy byliśmy uwięzieni, musiało się coś stać.

Ogarnął mnie niepokój. Kto wie, co się mogło w tym czasie przytrafić earlowi albo Cynthii...

Zapłaciliśmy i opuściliśmy restaurację.

Postanowiliśmy zatelefonować do Llanvygan. Czekać na połączenie, Lena w pewnej chwili stuknęła się w czoło:

— Sprawa jest prosta! Zamknęli nas, abyśmy nie mogli ich tropić. Trzymali nas pod kluczem przez dobę, żebyśmy stracili ślad.

Brzmiało to dość logicznie. Osborne rozmawiał. Podnieceni czekaliśmy na jego wyjście z kabiny.

— Rozmawiałem z Rogersem. Stryj ma się dobrze. Był w laboratorium i nie był skłonny zejść do telefonu. Natomiast...

— No, niechże pan mówi!

— Cynthia wczoraj po południu spakowała walizkę i wyjechała samochodem. Dotąd nie wróciła i Rogers nie wie, dokąd pojechała. Wie tylko, że otrzymała depeszę.

Ścisnęło mi się serce. Depeszę!... ona także... To była na pewno fikcyjna wiadomość... A ja stoję tutaj bezradny, przysięgły rycerz...

Lena pogłaskała mnie po głowie.

— Biedny doktorek. Ale uszy do góry! Zakładając nawet, że to sprawka Morvina, na pewno nie stanie się jej nic złego, tak samo jak i nam. Cynthia jest najmniej niebezpieczna dla tych bandytów.

— Well — powiedział Osborne — mamy jedną jedyną możliwość, pojedziemy do „Grosvenor House” i zobaczymy, co porabia mrs Roscoe.

Rada Osborne'a została przyjęta. Natychmiast pojechaliśmy. Samochód z herbem Pendragonów wywarł odpowiednie wrażenie. Służba przyjęła nas z wielkim szacunkiem.

Osborne podszedł do portiera i spytał:

— Czy zastałem mrs Roscoe?

— Mrs Roscoe wczoraj wyjechała.

— O, sorry. A dokąd?

— Zaraz sprawdzę.

I zaczął wertować w jakiejś księdze.

Drugi osobnik, potężniejszego wzrostu, brutalnie go odsunął i zwrócił się do nas:

— Mrs Roscoe nie zostawiła swego adresu.

Niewątpliwie miał polecenie niezdradzenia miejsca jej pobytu.

Wyszliśmy zdenerwowani i chodziliśmy po Lane Parku. Sznur wspaniałych wozów z bajecznymi kobietami wewnątrz przemykał koło nas. O, Londyn... Teraz mogę o tym mówić, ale wówczas miałem co innego w głowie.

Nagle Lena przystanęła i krzyknęła:

— Mam!

W napięciu patrzyliśmy na nią.

— Już wiem! Wiemy już, dlaczego uprowadzono Osborne'a i mnie: żebyśmy nie mogli ich tropić. Ale dlaczego wywabiono doktora i Cynthię z Llanvygan? Doszłam do następujących wniosków: nas porwali, abyśmy nie wiedzieli, że wyjeżdżają, a was zwabiono, żebyście nie widzieli, że przyjeżdżają do Llanvygan. Nie ulega wątpliwości, że wybrali się tam i chcieli zaskoczyć earla w czasie waszej nieobecności.

— To straszne!

— Na razie nie stało się nic strasznego. Pół godziny temu earl cały i zdrow pracował w laboratorium. Lubię ludzi, którzy pracują w laboratoriach. Ale mniejsza z tym... Jeżeli zaraz wyruszymy, możemy być przed północą w Llanvygan.

Pomysł wydał nam się słuszny. Wsiadliśmy do samochodu i wzięliśmy kierunek na zachód.

O wpół do dwunastej byliśmy w Llanvygan. Służba spała już głębokim snem. Otworzono nam dopiero po długim dobijaniu się. Kazaliśmy Rogersowi zawiadomić earla o naszym przybyciu.

— Bardzo mi przykro, ale to niemożliwe. Earl wziął wieczorem chloral i zabronił się budzić pod jakimkolwiek pozorem. Niezmiernie mi przykro, ale państwo łaskawie zrozumieją, że mógłbym zostać zwolniony...

Znaliśmy stanowczość Rogersa, trzeba było pogodzić się więc z tym, że dopiero jutro będziemy rozmawiali z earlem.

Nagle Osborne, tknięty jakąś myślą, zwrócił się do Rogersa:

— I say... czy nikt nie szukał earla w czasie naszej nieobecności?

— Tylko Rev. Dafyd Jones.

— Nikt więcej?

— Nie, sir.

Wróciłem do mego historycznego łoża. Pochodziło chyba z epoki królowej Anny. Pokój ten stawał się powoli moim domem. Niespokojnym domem. Gdzieś ponad moją głową pełzają ogromne axolotle. Kilka kroków od mego okna znajduje się balkon, z którego runął Maloney. I wspomnienie krążącego dookoła pałacu nocnego jeźdźca z płonąca pochodnią. Pokój był taką przystanią jak rów strzelecki dla żołnierza. Zadekowałem się pod kołdrą.

Rozległo się pukanie. Wszedł Osborne.

— Przepraszam, że pana niepokoję, ale Rogers kłamał. Zaraz poznałem to po jego baczkach.

— Jak to?

— Obudziłem Griffitha i wziąłem go na spytki. To nieprawda, że nikt o stryja nie pytał. Nawet dwukrotnie przyjeżdżała samochodem jakaś pani. Z opisu rozpoznałem mrs Roscoe. Pierwszy raz zjawiła się wczesnym rankiem, ale earla nie było w domu. W nocy też go nie było. Cały dzień gdzieś się wahał. Owa pani zostawiła wiadomość, że wieczorem znów się zjawi. I niech pan sobie wyobrazi — earl jej nie przyjął.

— Nie przyjął? To świetnie! To znaczy, że ominęliśmy największe niebezpieczeństwo... To znaczy...

— To znaczy, że nadal nic nie wiadomo. To są spryciarze i bardzo trudno będzie nakłonić ich, by zrezygnowali ze swoich planów. Ale teraz jesteśmy na miejscu i musimy mieć oczy stale otwarte. Co do czuwania, to Lena jest niezastąpiona.

Rozstaliśmy się życząc sobie spokojnej nocy.

Moja noc nie była najspokojniejsza. Widziałem Cynthię wystawioną na tysiące niebezpieczeństw, to w szponach Morvina, to axolotli.

*

Następnego dnia earl zszedł na śniadanie. Lena spóźniła się. Czekać na nią, zrelacjonowaliśmy earlowi nasze przygody. Słuchał całkiem obojętnie. Sprawiał wrażenie, jakby bujał myślami zupełnie gdzie indziej. Nagle przypomniało mi się zniknięcie dziecka i ogarnął mnie jakiś przytłaczający smutek.

— Uncle — spytał Osborne — dokąd pojechała Cynthia?

— Cynthia? — powtórzył earl z roztargnieniem. — Pojechała do Londynu. Wasza ciotka, duchess of Warwick, przysłała depezę, że zaniemogła, i prosiła Cynthię o opiekę. Zdaje się, że dostała podagry.

Osborne zerwał się na równe nogi.

— Zadzwoń do ciotki Doris. Obawiam się, że nie ma w tym ani słówka prawdy.

I wybiegł.

Wtedy właśnie weszła Lena w niezwykle niegustownej sukience, z rodzaju tzw. strojów zasadniczych, tak bardzo lubianych w Berlinie.

Earl przywitał Lenę z właściwym mu dystansem, jednak uprzejmie. Rzeczowość tego powitania najwyraźniej dotknęła Lenę.

— Pan mi bardzo przypomina mojego biednego stryja Otto — oświadczyła.

— Tak?

— Absolutnie. On także, gdy rozmawiał z człowiekiem, liczył muchy fruujące nad głową. Nie cierpię, kiedy podczas rozmowy nie patrzy się w oczy rozmówcy.

Earl spoglądał na nią osłupiały.

— O, teraz jest lepiej. Właściwie ma pan zupełnie rozumne spojrzenie. Ogólnie biorąc pańska rodzina jest dość inteligentna. A ja zawsze sądziłam, że takie stare rody są zupełnie zidiociałe.

— Osborne oprowadzi panią po parku, jest dość ładny — powiedział earl i schronił się za szklanką herbaty.

Osborne powrócił bardzo blady.

— Jest niedobrze. Ciocia Doris czuje się świetnie.

— Dzięki Bogu — powiedziała Lena.

— Była zdziwiona. Twierdzi, że depesza do Cynthii musiała być pomyłką. Cynthia przyjechała do niej przedwczoraj wieczorem. Następnego dnia rano ruszyła do domu i jeszcze jej nie ma.

Spojrzałem na earla. Zamyślony gładził się po czole.

— Gdzie ona może być? — spytał bezbarwnym głosem. Musiało go gnębić jakieś ciężkie zmartwienie, bo ten nowy cios przyjął obojętnie.

Byliśmy bezradni i zrozpaczeni. Nawet Leny nie stać było na uspokajające grubiaństwo, jak zwykle w podobnych sytuacjach.

Osborne zaprowadził Lenę do parku. Ja zaś nerwowo przechadzałem się po tarasie, kiedy zjawił się Rev. Dafyd Jones.

— O, doktorze, co za szczęście, że pana spotykani. Pan ma tak przebogate życie duchowe. Muszę z panem koniecznie pomówić.

Milcząc, ze swoją przerażoną twarzą, zaciągnął mnie w odległy zakątek parku.

— Co pan o tym sądzi? — spytał mnie szeptem, gdy straciliśmy pałac z oczu. — Prawda, jakie to potworne?

— Tak, to potworne — potwierdziłem. — Nie mam pojęcia, gdzie może być.

— Drogi panie, to było do przewidzenia. Mówiłem panu, że to do niczego dobrego nie prowadzi... Te doświadczenia...

— Ale co ma Cynthia do doświadczeń?

Pastor jakby nie słyszał.

— Bo to tak bywa. Z początku na zwierzętach... Axolotle — wstrząsnął się — a potem na ludziach...

— Ale o czym pastor mówi?

— O tym dziecku, które porwał w Abersych.

— Och tak... o dziecku... A kto je porwał?

— Earl — wyszeptał pastor.

— Ależ po co by je porywał?

— Do doświadczeń, mój panie. Zabić, a potem wskrzesić... Znudziły mu się już zwierzęta.

— Ale przecież chłopca porwał jakiś starzec w czerni. Jeździec nocny!

— Ten nocny jeździec to earl of Gwynedd. Mówiłem już. Jestem tego pewien. A jeśli nie earl of Gwynedd, to jego sobowtór.

— Albo inny earl of Gwynedd — zauważyłem.

— Od tego czasu earla nigdy nie ma w domu. Wciąż błąka się nie wiadomo gdzie. I jest chory. To sumienie... Chłopca nie ukrywa tutaj. Gdzieś w górach.

— Ależ pastorze! Na własne oczy widziałem, że earl i nocny jeździec to dwie różne osoby.

— Doktorze, niech pan nie wierzy własnym oczom. Proszę spróbować wejść w moje położenie... Moim obowiązkiem byłoby odprawić nad nim egzorcyzmy... Ale tak, żeby tego nie zauważył. Obraziłby się. Ostatecznie on jest panem na Llanvygan, a ja jestem całkowicie od niego zależny.

W tym momencie mój niezawodny słuch wyłowił dźwięk trąbki samochodowej. Zostałem zwariowanym pastora i rzuciłem się biegiem w kierunku pałacu.

Nie pomyliłem się. Na podjeździe stał mały znany mi „rover”.

Jednym susem znalazłem się w pałacu. Cynthia siedziała przy śniadaniu, w świetnym humorze, i przywitała mnie donośnym: halo!...

— Cynthio, gdzie pani była?

Cynthia spojrzała na mnie ze zgorzeniem.

— Doktorze, odkąd to jest pan tak niedyskretny?

— Przepraszam, najmilsza, jedyna. Ale umieraliśmy ze strachu. Osborne dzwonił do ciotki duchess of Warwick, która powiedziała, że nie depešowała i że pani już wczoraj rano wyjechała. Sądziliśmy, że... wpadła pani w sidła Morvina.

Cynthia roześmiała się.

— Skądże. Czegoż mógłby chcieć ode mnie Morvin? Czuję się świetnie i bawiłam się wyśmienicie. Jeśli pan jest taki ciekawy, to panu opowiem. Od cioci Doris pojechałam wprost do mojej przyjaciółki i okazało się, że to ona depešowała, bo stęskniła się za mną i chciała mnie za wszelką cenę ściągnąć do Londynu. Zastałam ją w domu. Była tak piękna jak nigdy. Wybierała się właśnie na niedzielę do Llandudno, pojechałyśmy więc razem. Spędziłyśmy tam cały dzień. A teraz jestem... Jest pan zadowolony?

Nie wiem, co się ze mną działo. Ja, który jestem ostrożny jak krótkowzroczny inżynier, nie zwracając uwagi na konsekwencje, podbiegłem do niej i wycałowałem ją, uszczęśliwiony, że nie stało się nic złego.

Przeżona Cynthia wyrwała się z moich objęć i z trudem łapiąc oddech oświadczyła, że czytała ostatnio rozprawę naukową o Iwanie Groźnym.

Wkrótce nadeszła pora obiadu.

Przyznam się, że czuję słabość do kobiet, które jedzą dużo i z rozkoszą. W moich oczach największą wadą Cynthii było to, że uważała się za zbyt pełną intelektu, by rozkoszować się jedzeniem. Jadła zawsze z takim roztargnieniem, jakby widelec tylko przypadkiem trafił do jej ust.

Lena była jej przeciwieństwem. Lena nie jadła. Ona się pożywiała. Gorączkowo wrzucała paliwo do potężnej, będącej w ciągłym rozwoju i ruchu maszyny, którą było jej ciało. Zauważyłem, że earl mimo najlepszych chęci nie może na nią patrzeć. A ile w siebie wlewała niebezpiecznie ciężkich, francuskich win z pałacowej piwnicy! Stawała się coraz hałaśliwsza w swych opowiadaniach o studenckim życiu i aż drżałem ze strachu, że zacznie mówić o swych przygodach miłosnych.

Osborne i ja siedzieliśmy jak te sieroty podczas szalejącej burzy.

Ale earl z jakąś masochistyczną rozkoszą słuchał opowiadań Leny i zachęcał ją pytaniami.

— Jeszcze pani nie wspomniała, jak się pani podoba pałac — powiedział uprzejmie.

— Właściwie to nijak. Te słupy przy wejściu... Po co te słupy, przecież dom i tak nie runie? I na każdym piętrze inne ozdoby! A po co tyle mebli? Każdy z innej beczki. Jeden pokój w stylu królowej Anny, drugi w stylu Chippendale — zbieranina. Budynek bez konkretnego stylu. Ani metafizycznego uzasadnienia. I niech mi pan powie, po co wam taki olbrzymi dom? Sześćdziesiąt pokoi... To po prostu bez sensu.

— Wydaje mi się, że to pozostałość dawnych czasów odparł earl. — Podobnie było z małżonkami królów wschodnich. Nie po to mieli po trzysta sześćdziesiąt żon, że tyle potrzebowali, ale po prostu dlatego, że byli królami.

*

Po południu my, młodzi, zeszliliśmy spacerkiem do wsi przez wiodący z pałacu szpaler drzew.

Naprzeciw nas pojawiła się jakaś dziwna postać, szła wolno, wsparta na kij, a za nią drobniejsze figurki. Moja krótkowzroczność nie pozwoliła mi rozpoznać, kto to taki. Moi towarzysze spaceru zatrzymali się.

— Co to może być za procesja? — zastanawiał się Osborne. — Cynthio, może ty wiesz? Czy nie ma dziś jakiejś walijskiej uroczystości?

— To na pewno szczurołap z Hameln, a za nim dzieciaki — stwierdziła Lena.

— Ależ nie! — wykrzyknął Osborne. — Przecież to Pierce Gwyn Mawr, stary prorok Habakuk! Nie wiecie mu się chyba zbyt dobrze.

Pośpieszyliśmy naprzeciw dziwnemu pochodowi. Teraz już i ja rozpoznałem proroka. Nieborak, był bardziej proroczy niż kiedykolwiek. Święty Jan Chrzciciel mógł tak wyglądać jak on. Odzież jego była klasycznym strojem wołającego na pustyni. Tylko wokół bioder przewiazaną miał jakąś szmatę, poza tym był goły, jak nikt na Wyspach Brytyjskich w biały dzień. W ręku gruby konar, jako kij wędrownika, siwa broda i włosy zwichrzone w różne strony świata, jakby groziły. A we włosach te komicznie sterczące żdźbła słomy, które od czasów króla Leara musiał mieć każdy uczciwy, umyślowo chory Anglik.

Za nim procesja dzieci z wioski. Szły, bynajmniej nie z zamiarem przedrzeźniania, lecz zafascynowane, gotowe na każdy niespodziewany ruch proroka odwrócić się na pięcie i czmychnąć.

— Halo, Pierce Gwyn Mawr, co słyhać na szerokim świecie? — zawołał Osborne.

Prorok nie odpowiedział, spojrział na nas, ale jakby niewidzącym wzrokiem. Miał rozbiegane ekstatyczne spojrzenie i wydawało mi się, że widzę w nim jakieś nieludzkie przerażenie. Ale może się myliłem, nie umiem czytać z oczu.

Kiedy Cynthia odezwała się doń po walijsku, prorok zatrzymał się, spojrział i poznał ją. Ale widać było, jak strach w nim narasta. Nadal jednak nic nie mówił.

Cynthia znowu go o coś spytała, na co prorok odwrócił się i biegiem ruszył ku wiosce. Dzieci za nim.

— Na litość boską, Cynthio, co pani mu powiedziała, że się tak przeraził? — spytałem.

— Nic takiego — odpowiedziała speszona Cynthia. — Spytałam go, czy nie jest głodny.

— To dziwne — zauważyła Lena. — Odnosiło się wrażenie, że spytała go pani o rozkład piekieł.

— Język walijski jest niezwykle osobliwy — wtrącił Osborne. — Wszystko brzmi w nim inaczej, jakoś nie z tego świata. Na przykład, czy można by sobie wyobrazić, że piwo, zwykle piwo nazywa się „cwrw”.

A we mnie w tym czasie kojarzyły się pewne wiadomości i znów się zaniepokoiłem. Wszak to właśnie Pierce Gwyn Mawr był jedynym, oprócz earla, który rozmawiał z nocnym jeźdźcem. Jezioro zamkowe...

Podążyliśmy za nim w kierunku wioski. W połowie drogi dogonił nas earl swoim samochodem.

— Czy nie widzieliście Pierce Gwyn Mawra?

— Tak. Poszedł do wsi.

Wsiedliśmy do samochodu.

Na głównej ulicy wioski zastaliśmy zbiegowisko. Wszyscy rozprawiali o czymś ze zdenerwowaniem. Widząc zbliżającego się earla zamilkli i z szacunkiem ustąpili mu z drogi.

Wszyscy wysiedliśmy z samochodu.

— Kto z was widział Pierce Gwyn Mawra?

— Wszyscy — powiedział jeden z farmerów — widzieliśmy, jak przeskoczył mur cmentarny i potem zniknął.

Pośpieszyliśmy w kierunku cmentarza. Naprzeciw nam szedł Rev. Dafyd Jones.

— Zniknął — stwierdził — zniknął, jakby go połknęły groby.

Earl poszedł dalej. Mijając kościół, spostrzegliśmy Johna Griffitha, który oparty plecami o zamknięte drzwi kościoła machał do nas triumfująco.

— Mam go! — wołał. — Stąd mi nie umknie!

— Prawda, kościół ma przecież drugie wejście od strony cmentarza, ale nie sądziłem, że jest ono otwarte — stuknął się w głowę pastor.

Stary siedział w kościelnej ławce, z opuszczoną głową, bez ruchu. Gdy pastor przemówił do niego po walijsku, uniósł głowę i rozejrzał się nieprzytomnym wzrokiem. Robiło to wrażenie, że nas nie widzi, ale gdy jego spojrzenie padło na earla — twarz wykrzywił mu grymas przerażenia.

Zerwał się ze zdumiewającą, małpią zwinnością, przeskoczył kilka ławek i rzucił się ku wyjściu, ale stojąca w pobliżu Lena chwyciła go za kark i trzymała długo, póki pozostali nie pośpieszyli z pomocą.

— Weźcie go! — rozkazał earl Griffithowi i drugiemu słudze pałacowemu, którego dopiero teraz spostrzegłem.

Ci dwaj wynieśli proroka z kościoła i wsadzili do samochodu. Earl wsiadł również i skinąwszy nam na pożegnanie pojechał do pałacu.

Staliśmy przed kościółkiem i odprowadzaliśmy go wzrokiem. Prorok sprawiał wrażenie porwanego chłopca pańszczyźnianego. Nikt nie domyślał się, o co chodzi.

Ja osobiście miałem swoją teorię o tej sprawie. Na skutek treningu umysłowego w ostatnich czasach moje zdolności spekulatywne rozwijały się gruntownie i wręcz imponująco.

Prorok był ostatnim człowiekiem, który widział nocnego jeźdźca. Przecież to on był jego sługą, kiedy mieszkał w Pendragonie. Musiało się więc wydarzyć coś potwornego, jeżeli Pierce Gwyn Mawr opuścił go na pograniczu obłędu. Porwany chłopiec, Giles de Rais... Widocznie trwoga ogarniała Pierce'a na widok wszystkich Pendragonów, nawet Cynthii...

Po powrocie do pałacu dowiedzieliśmy się, że earl szykuje się do wyjazdu.

— Niezmiernie mi przykro, miss Lena, że muszę wyjechać goszcząc panią u siebie. Jednak moja obecność w Caerbryn jest nieodzowna. Proszę mi przekazywać pocztę — zwrócił się do Osborne'a. — Będę mieszkał u Mansfielda na farmie Oaklea.

— Drogi earl — powiedziała Lena — jestem wręcz oburzona, że nie zareagował pan na moje kobiece wdzięki. Ale niezależnie od tego, najenergiczniej zakazuję panu opuszczania Llanvygan. Bądź co bądź jest tu sześćdziesiąt pokoi. I trzydziestu nierobów z halabardami. No i ja. Tutaj znajduje się pan pod naszą opieką. Ale na farmie... Kogo zabierze pan ze sobą?...

— Nikogo. Stary Mansfield świetnie się mną opiekuje. Wiele razy mieszkałem u niego.

— Purytańskie skłonności. Ale czy nie boi się pan, że wrogowie skorzystają z okazji? Trudno mi zdecydować, czy to brak inteligencji, czy obojętność z pańskiej strony. Bo pan jest zadziwiająco obojętny.

Earl uśmiechnął się.

— Nie mógłbym znaleźć lepszej kryjówki przed wrogami. Jeżeli nikt z was nie napisze do Morvina, nigdy nie dowie się, gdzie jestem. Zachowuję ostrożność na tyle, że nawet Rogersowi nie powiem, dokąd jadę. Czy to wystarczy, aby uzyskać pani zgodę?

— Dobrze. Niech pan jedzie z Bogiem. Ale ostrzegam pana, że przyjadę tam na kontrolę.

— Cała przyjemność będzie po mojej stronie.

Domyślałem się przyczyny wyjazdu earla. Przypuszczalnie dowiedział się od proroka,

gdzie przebywa nocny jeździec, i chce go odszukać. Zapewne pragnie uratować chłopca stawiając czoło każdemu irracjonalnemu, niezbadanemu niebezpieczeństwu.

My młodzi zostaliśmy w pałacu. Czuliśmy się wyśmienicie. Morvin znikł z horyzontu, a drugie, tajemnicze niebezpieczeństwo było tak w tej chwili nierealne, że nie potrafiłem brać go na serio.

Rano następnego dnia podszedł do mnie Osborne.

— Doktorze, nie miałby pan ochoty na małą przejażdżkę? Trzeba by rozejrzeć się po okolicy. Ufajmy szczęściu głupich, a może natrafimy na trop Morvina. Jeżeli jeszcze gdzieś są w tej okolicy, to na pewno na nich natrafimy. Choć od paru dni nic o nich nie słychać.

— Chętnie dotrzymam panu towarzystwa — zgodziłem się. — Ale może byśmy zabrali i Lenę?

— Hm, tak... tego... Miss Kretzsch zapowiedziała, że dziś późno wstanie. Pojedziemy we dwóch.

Objechaliśmy okolicę. Byliśmy w Corwen na dworcu, w Abersych, skąd porwano chłopca. Widzieliśmy tam pełno policji i dowiedzieliśmy się, że są już na tropie sprawcy.

Co to będzie, jeśli go naprawdę złapią? Morze skandalicznego absurdu zaleje świat pławiący się w cywilizacji... Każdy będzie o tym mówił... Earl of Gwynedd będzie zmuszony udzielić wywiadu o przebiegu wydarzeń... I Osborne... Być może i ja także... Wyciągną sprawę śmierci Maloneya... Earl nie przeżyje tego, że ojcowie rodzin, z wypiekami podniecenia na twarzach, czytać będą w londyńskich gazetach i opowiadać o tych sprawach w autobusach.

Wróciliśmy do domu na obiad, niestety bez żadnych wyników.

Kiedy po poobiedniej drzemce zszedłem do parku, zastałem tam Lenę. Była w wyśmienitym nastroju i z apetytem zajadała dorodne brzoskwinie, które stały w koszyczku na ogrodowym stole. Gdy zawiesiła na jakiś czas konsumpcję, wzięła mnie pod ramię i zabrała na przechadzkę w głąb parku.

Usiedliśmy na brzegu nastrojowego strumyka.

— Czarujące miejsce — stwierdziła Lena. — Pasuje do mojego dzisiejszego nastroju. Jestem szczęśliwa.

— To zdanie słyszy się niezbyt często. Podoba się pani w Llanvygan?

— Bardzo. Ludzie są tu mili, nieskomplikowani. Earl ma co prawda trochę nie po kolei w głowie, ale głowę ma za to piękną. Dziewczyna jest czarująca, chociaż bardzo konwencjonalna. Dziwię się, że się panu jeszcze nie znudziła. Ale co mi do tego. Pan wie, że nigdy nie wtrącałam się do pańskich spraw. Jestem szczęśliwa. Stało się.

— Co?

— A jak pan myśli, po co przyjechałam do Llanvygan?

— Żeby uratować życie earla of Gwynedd.

— Między innymi. Ale to uboczna sprawa. Ostatecznie co mnie obchodzi earl of Gwynedd i inni sędziwi arystokraci? Nie są w moim guście.

— Wobec tego przyjechała pani z powodu Osborne'a.

— No widzi pan, nie jest pan takim durniem. I czuję się w obowiązku zakomunikować panu, jako staremu przyjacielowi, że mój przyjazd okazał się owocny. Wczoraj w nocy...

— Leno, moje gratulacje... W porównaniu z Osborne'em, cnotliwy, czterdziestopięcioletni teolog...

— Taka już jestem.

— Nadzwyczajne! Ale niech się pani przyzna, że Osborne uległ tylko przemocy. Na pewno sterroryzowała go pani rewolwerem.

— No, aż tak źle nie było. Ale sprawa nie była łatwa. Jeśli interesują pana szczegóły, to mogę zdać dokładną relację... Do wczorajszego dnia Osborne zachowywał się wobec mnie powściągliwie. To znaczy nie tyle powściągliwie, ale traktował mnie tak uprzejmie jak kolegę... Gdybym była obraźliwa, jak nasze matki, czułabym się dotknięta. Ale dzięki Bogu, nie

jestem wrażliwa. Cieszyłam się nawet, że traktuje mnie jak mężczyznę. Uznałam to już za sukces, że nie czuje do mnie odrazy. Bo musi pan wiedzieć, że gdy kiedyś ujęłam go za rękę, zarumienił się i z przejęciem zaczął rozprawiać o dramatach Szekspira. Poczekaj no, pomyślałam sobie, jeszcze ty do mnie przyjdiesz!

Stopniowo zroszczyłam, że normalne kobiece chwytaki nie działają na niego. Po prostu nie dostrzega ich w swojej niewinności. Wtedy w Londynie, kiedy przebieraliśmy się w różne stroje, na próżno czarowałam go powiewnymi toaletami. Za wszelką cenę chciał wyjść z pokoju, kiedy się przebierałam. Powiedziałam mu, że może zostać, że mi nie przeszkadza, wtedy zapalił papierosa i został. Potem uważał już za rzecz naturalną, że chodzę przy nim nago. Ale widziałam po jego twarzy, że nie budziłam w nim męskich zachcianek. A we mnie ta jego niewinność budziła coraz większe kobiece zachcianki.

Wbrew własnym przekonaniom, spróbowałam wziąć go na sentymentalizm. Jak zwykle w takich wypadkach, opowiadałam, jaka się czuję samotna, jakie smutne są moje wieczory, że mnie nikt nigdy nie kochał i jak mi ciężko na sercu. Słuchał tego bajdurzenia ze współczuciem i przyrzekł, że wprowadzi mnie do najlepszego towarzystwa w Oksfordzie (uważał pewnie, że każdy jest takim snobem jak on) i radził mi tymczasem zająć się współczesną literaturą angielską, bo książka to najlepszy przyjaciel.

W tym stanie rzeczy przyjechaliśmy do Llanvyan. Już mi było naprawdę wstyd. Przez ten czas mogłabym zostać wszechpotężną metresą francuskiego króla albo uwieść trzech magnatów filmowych i dwóch ambasadorów. Więc kiedy wczoraj wieczorem udało mi się wywabić go do parku, wiedziałam, że muszę wykorzystać tę szansę. Anglicy lubią przebywać na łonie natury.

Zaproponowałam, żebyśmy usiedli na trawie. Ale Osborne miał obawy, że będzie zbyt wilgotno. Usiedliśmy więc na ławce. Wsparłam głowę na jego ramieniu i zaczęłam całować go w ucho. Osborne milczał uprzejmie. Kiedy znudziła mi się ta niewinna sielanka, Osborne zauważył z uśmiechem, że to prawdopodobnie staroniemiecki zwyczaj, nader ciekawy. Odpowiedziałam, że nie wiem, ale że zwyczaj jest miły. To bardzo interesujące, stwierdził rozmarzony. — Czy nie miałby pan ochoty mnie pocałować? — spytałam. — Bardzo chętnie — zgodził się uprzejmie i ucałował mnie w czoło. — Gdybym była mężczyzną, wołałabym całować w usta. — Na to on, że to niezdrowe. — Czy chciałaby pani być mężczyzną? — zapytał. — Tak, a pan? — odparowałam.

Osborne był dotknięty, ale wiedziałam, że ta rozmowa do niczego nie doprowadzi. Wtedy wpadłam na genialny pomysł. Oświadczyłam, że mam ochotę wleźć na drzewo, i prosiłam go, by mi pomógł. Jakoś wlaźłam na gruby konar. Osborne mnie trzymał. Następnie zebrałam się w sobie, krzyknęłam i runęłam na niego. Może pan to sobie wyobrazić, przy mojej budowie...

Oboje zwałiliśmy się na ziemię. I w ten sposób, po wielu trudach, cała w sińcach dopięłam tego, że zaczęliśmy się całować. Potłuczony bok bolał mnie potwornie, ale wreszcie znalazłam się na właściwej drodze.

Nie muszę chyba nadmieniać, że i w tej sytuacji Osborne nie był zbyt przedsiębiorczy. Nie było z jego strony za grosz inwencji. Kiedy po jakiejś pół godzinie wyzwoliłam go z objęć i spytałam, czy sprawiło mu to przyjemność, odpowiedział dość poważnie, że tak. I dodał, że wzbogacił swoje doświadczenie życiowe, co mu sprawia dużą radość. I że tak oto ma wreszcie pierwszą kochankę

Na to wpadłam we wściekłość, że Anglicy to źle wychowane durnie, jeśli po tak niewinnej igraszce mówią o człowieku, że jest „lover” i żeby przyjął do wiadomości, że nigdy nie będzie moim kochankiem. Na to Osborne znów się zamyślił i powiedział „sorry”. I chciał wstać. Ale ja chwyciłam go za marynarkę, według biblijnej recepty, i powiedziałam, żeby nie był smutny i że jeśli mnie ładnie poprosi, to może zostać moim kochankiem i dzięki temu będzie miał o jeszcze jedno doświadczenie więcej. Przyznał mi rację i siedział dalej zamyślo-

ny.

W końcu nie wytrzymałam i spytałam, na co czeka. Odpowiedział, że nie może sobie przypomnieć, co się mówi w takiej sytuacji. Uspokoiałam go, że czyny mówią same za siebie. To dobrze, stwierdził i siedział nadal. — Już czas na czyny — powiedziałam. — Człowieku, trochę namiętności! — Na to Osborne chwycił mnie za ramiona i potrząsnął jak lekarstwo przed użyciem.

Nie będę się wdawać w dalsze szczegóły, bo widzę po pańskiej twarzy, że zachowałby się pan inaczej będąc na miejscu Osborne'a. Ale teraz nie mam na pana chęci. Pierwszy raz w życiu mam dzień wyraźnie monogamiczny. Zostanę wierna Osborne'owi.

— Well — odparłem. — A wolno mi sobie wyobrazić resztę?

— Proszę. Dalszy ciąg odbył się już nie w parku, ale u mnie w pokoju. Przez całą noc Osborne nie rozczarował mnie. On także był zadowolony, bo oświadczył, że już dawno tak dobrze się nie bawił. I że ma nadzieję, że niedługo odbędzie się nasz ślub.

Przeraziłem się. Taki mezalians! Moje snobistyczne serce krwawiło. Biedny earl... Tylko tego jeszcze brakowało prześladowanym przez los Pendragonom. To będzie koniec wszystkiego.

— Moje gratulacje! — rzekłem zdławionym głosem.

— Ależ z pana idiota! Chyba nie myśli pan, że za niego wyjdę?

— Dlaczego? Przecież to świetna partia!

— Nie, mój drogi, taka głupia nie jestem. Związać się z taką zdegenerowaną rodziną? Co by powiedzieli moi przyjaciele w Berlinie? A zresztą, jestem jeszcze za młoda. Zbyt mało korzystałam z życia... Nigdy jeszcze nie spałam z żadnym tenorem. Ani z Hohenzollernem. A z Murzynem też tylko raz. Na razie nie mogę wyjść za mąż.

— Ma pani świętą rację — odetchnąłem z ulgą. — Całe życie jeszcze przed panią.

— Ciekawi mnie tylko — odpowiedziała Lena — czy pod wrażeniem tego „życiowego doświadczenia” Osborne zmieni się choć trochę? Czy w przyszłości będzie się zachowywał jak mężczyzna?

— Wobec pani tak — uspokoilem ją — dopóki pani będzie miała ochotę, ale nie dłużej. Ale o ile ja znam angielskich młodzieńców, to po pani odejściu wszystko będzie po staremu. Może kiedyś, spędzając noc w gronie najbliższych przyjaciół, gdy rozmowa zejdzie na kobiety, on także powie, nie wymieniając oczywiście nazwiska, że miał kiedyś przyjaciółkę i że było to cudowne przeżycie. I z tym wspomnieniem będzie żył przez najbliższe dziesięć lat, aż zjawi się druga Lena, która go uwiedzie.

— Boże, cóż to za głupi, niemoralny i ograniczony człowiek — ubolewała Lena. — Ale czy nie uważa pan, że jest coś pięknego i wzniosłego w tej czystości ducha?

Nie odpowiedziałem. Przypomniała mi się nasza przedpołudniowa wycieczka samochodowa i pewna uwaga, której wówczas nie przypisywałem żadnego znaczenia. Droga nasza wiodła przez las, wzdłuż potoczka. Osborne zatrzymał wóz, wysiadł, rozebrał się i wykapał, chociaż było dość wietrzno. I podczas gdy trzęsąc się z zimna ubierał się, powiedział:

— O, doktorze, gdyby człowiek mógł mieszkać na bezludnej wyspie... na koralowej wyspie. W Polinezji... rozmawiać tylko z ptakami i rybami, jak franciszkański święty... i nie widzieć ludzi, a zwłaszcza kobiet... łatwiej byłoby mu zachować ludzką godność...

A twarz miał przy tym tak smutną, jak obity pies, który się wstydzi.

*

Noc miałem znów niespokojną. Śniła mi się Eileen St. Claire jako ulicznica w jakimś portowym mieście, gdzieś na końcu świata. Przytrafiały mi się straszne, obsesyjne rzeczy. Rano obudziłem się zdenerwowany, z dziwnym uczuciem, że we śnie pojąłem, dlaczego earl kocha Eileen St. Claire, ale potem zapomniałem.

Cynthia była w doskonałym nastroju, jej blond włosy lśniły niby złoto: siedziała przy śniadaniu, w sukience bez rękawów, upajając mnie widokiem opalonych, dziewiczych ramion. Znad filiżanki herbaty rzuciła mi przekorne spojrzenia i pytała, czemu jestem taki markotny. Kiedy zostaliśmy sami przy stole — Lena i Osborne poszli się kąpać — podeszła do mnie i łaszcząc się jak kotka, spytała, co mi dolega.

— Miałem dziwny sen — odpowiedziałem.

— Proszę mi opowiedzieć.

— Cynthia, pani wybaczy, ale nie mogę...

— Och — spieszyła się. — Kobieta?...

— Tak.

Cynthia milczała przez dłuższą chwilę, ale potem się zdecydowała:

— Chodzi o mnie?

— Niestety, nie.

— Niewierny, zdrajca! Więc kto?

— Pani jej nie zna.

— Proszę mi ją opisać.

— Jest wyższa niż pani, włosy rudoblond, świetnie zbudowana, a twarz jej chwilami wygląda jak etruska rzeźba.

— A jak się nazywa?

— Pani jej i tak nie zna. Ale pewnie pani o niej słyszała. Nazywa się Eileen St. Claire.

— Eileen St. Claire? Przecież to moja najlepsza przyjaciółka! Z nią właśnie byłam w niedzielę w Llandudno! — krzyknęła Cynthia zarumieniona. — Pan ją zna? Prawda, jaka ona jest cudowna?

Odłożyłem fajkę i wyjąkałem:

— Jak to? Najlepsza przyjaciółka?

— To ona jest tą kobietą, o której tyle panu opowiadałam, a nie chciałam wyjawić jej nazwiska. To moja największa miłość i największy przyjaciel...

O gąsko, głupiutka gąsko. Kto wie, ileś przysporzyła kłopotów w swej niewinności?...

— Skąd ją pani zna?

— Przed dwoma laty spędzałam wakacje w Bretanii, a, ona mieszkała w sąsiedniej willi. Wtedy byłam jeszcze zupełnie załamana po śmierci matki. To ona przywróciła mi chęć do życia. Była dla mnie bardzo dobra. Ale nie tylko dla mnie. Eileen zna dobrze mojego stryja. Kiedyś byli bardzo zaprzyjaźnieni. Ona jedynie wie, jakim wspaniałym człowiekiem jest mój stryj. Ale czemu pan na mnie patrzy jak inspektor policji?

— Nie, nie... Proszę dalej opowiadać.

— Cóż mam więcej opowiedzieć. Mówiłam już, jak bardzo ją kocham i jak wiele znaczy w moim życiu...

Powoli zacząłem wszystko kojarzyć. Cynthia nie ma pojęcia, kim jest Eileen St. Claire. Nazwiska jej nikt nie miał odwagi wymówić w obecności earla. Nikt nie ujawnił więc Cynthia, że Eileen St. Claire i mrs Roscoe to ta sama osoba.

Ja także, opowiadając o niej, używałem tylko nazwiska mrs Roscoe. Nie wspominałem, jaka ona jest, że ją znam. Nie chciałem również wspominać o nocy, którą z nią spędziłem.

Cynthia, romantyczna jak wszyscy Pendragonowie, widząc piękność Eileen uzupełniła ją wyimaginowaną dobrocią i szlachetnością.

— I od tego czasu... utrzymuje pani z nią kontakt? Koresponduje z nią? — moje przerażenie narastało. — Czy pisała jej pani o earlu?

— Naturalnie. Przyrzekłam ją szczegółowo powiadamiać o wszystkim, co dotyczy earla. I dotrzymuję obietnicy. A teraz może mi pan powie, skąd ją pan zna?

A więc Cynthia była tym szpiegiem, który dostarczał wiadomości przeciwnikom.

Zerwałem się i wielkimi krokami przemierzałem salę.

— Pisałam jej o wszystkim — ciągnęła dalej rozmarzona Cynthia. — O panu też wiele pisałam. Zanim pan przyjechał, powiadomiłam ją, że oczekujemy pańskich odwiedzin. Przechytałam, że pan będzie kimś interesującym. A kiedy pan wyjechał do Londynu, napisałam, po co pan tam jedzie. O panu pisałam same złe rzeczy. Sama panu to potwierdzi przy najbliższym spotkaniu. Ale co się z panem dzieje? Co to za żarty?...

Wydaje mi się, że szarpałam ją za rękę.

— Cynthia... czy to też pani napisała, gdzie obecnie przebywa earl?

— Oczywiście. Dokładnie napisałam, bo Eileen prosiła mnie, żebym nie zapomniała opisać nawet najbłahszego wydarzenia.

— Kiedy pani jej napisała o wyjeździe earla?

— O co panu właściwie chodzi? Wczoraj napisałam.

— Na jaki adres?

— Do hotelu „Palace” w Llandudno.

Zacząłem obliczać gorączkowo; list mógł nadejść już wczoraj wieczorem, tak że już dziś mogą być u earla. Nie ma czasu do stracenia. O ile w ogóle mamy jeszcze coś do stracenia.

— Cynthia, my dear, błagam, niech pani natychmiast zadzwoni do swojej przyjaciółki. Musimy bezwzględnie się dowiedzieć, czy jest jeszcze w Llandudno.

— Ale dlaczego?

— Później wyjaśnię wszystko. Teraz proszę dzwonić. Pod jakimkolwiek pretekstem.

I zaciągnąłem ją do telefonu.

Po kilku minutach miała połączenie z hotelem „Palace”. Mrs St. Claire (pod tym nazwiskiem była zameldowana) wyjechała wczoraj wieczorem. Nie wiadomo, kiedy wróci...

Jasne było, że otrzymała list Cynthii...

— Niech pani się szybko spakuje i proszę kazać przygotować wóz. Jak najprędzej — powiedziałem nakazująco.

Przerażona Cynthia wybiegła. Zadzwoniłem na lokaja i posłałem go po Osborne'a i Lenę, którzy kąpali się w potoku. Następnie poszedłem się spakować.

Sam siebie nie poznawałem. Byłem pełen energii i bojowości. Wiedziałem, że zbliża się decydująca bitwa. Jeżeli nie jest już za późno... Earl znajduje się na skraju dwóch przepaści i kto wie, która z nich jest niebezpieczniejsza: upiorna, diabelska czeluść czy wyrachowany, cywilizowany morderca... Jeździec, śmierć i szatan...

W pół godziny później zebrani byliśmy już wszyscy w sali recepcyjnej. Przedstawiłem pokrótce całą sytuację. Cynthia zbladła i wybuchnęła płaczem. Cały jej świat legł w gruzach.

Ale wszystkie fakty się zgadzały. Cynthia przypomniała sobie, że owego dnia w Llandudno Eileen wyjechała gdzieś rankiem, pozostawiając ją ze znajomymi. Była to pora, kiedy usiłowała dostać się do Llanvygan.

Wsiadliśmy do samochodu zdenerwowani i bezradni jak czworo dzieci, zdanych na własne siły, które toczyć chcą walkę ze śmiercią i diabelskimi mocami.

— Żebym chociaż dokładnie wiedział, gdzie leży to całe Caerbryn — zauważył Osborne siadając za kierownicą. — To jakaś dziura zabita deskami, w głębi gór.

Wydostaliśmy mapę. Wreszcie znaleźliśmy tę miejscowość i wiodącą tam najkrótszą drogę. Ruszyliśmy milcząc, przerażeni nieznanym i szybkością jazdy.

W pół godziny później wjechaliśmy już w góry. Tu Osborne zwolnił. Skończyła się szosa, a górską dróżka nie była przewidziana na wycieczki samochodowe. Musieliśmy również spoglądać na mapę.

Tymczasem pogodne ranne niebo zaciągnęło się chmurami.

Nigdy nie przypuszczałem, że w Walii, że w Wielkiej Brytanii istnieją takie dzikie, zaniedbane okolice. Ni śladu domu czy człowieka. Po obu stronach dróżki skały o fantastycznych kształtach, miejscami las o porośniętych mchem, starych drzewach. Krajobraz stawał

się coraz bardziej beznadziejny, a my coraz bardziej niecierpliwi. Wreszcie dojechaliśmy gdzieś.

Gdzieś, na koniec świata i koniec drogi: samochód stanął nad jeziorem, którego lustrzana tafla wśród posępnych gór błyskała atramentowo. Ponure drzewa wyciągały ku niemu swe poskręcane konary, jakby prosząc o litość, i szumiały złowrogo.

Nad brzegiem siedziała jakaś staruszka. Zapewne siedziała tu już od czasów pierwszego earla of Gwynedd. Nawet nie spojrzała na nas i spokojnie łatała jakąś prastarą rybacką sieć. Od czasu do czasu wrzucała do wody kamyczek.

— Babciu, którędy się idzie, do Caerbryn? — spytał Osborne.

Staruszka uniosła głowę, ale nic nie odrzekła. Cynthia spytała ją po walijsku, z tym samym jednak skutkiem. Widać było, że nasza obecność nie dociera do jej świadomości.

Nie przyznawaliśmy się do siebie wzajemnie, jakie złe przeczucia budziła w nas ta odwieczna kobieta siedząca na brzegu.

— Tego jeziora nie ma na mapie — powiedział Osborne. — Może jeszcze nie istniało w 1928 roku, kiedy tę mapę sporządzono.

— Albo szuka pan nie tam, gdzie trzeba. Nie znajdujemy się w tym miejscu, gdzie panu się wydaje. Zmylił pan drogę — zwróciła się do niego Lena.

— Wobec tego jest to Llyn-Coled. Trzeba zawrócić.

— O, Llyn-Coled! — wykrzyknęła Cynthia. Wiedziałem, że przypomniła jej się jakaś legenda, jakaś ponura, pełna zabobonów opowieść, i że nie chce o tym mówić. Wzbudziło to we mnie jeszcze gorsze przeczucia.

Zawróciliśmy z trudem.

— Straciliśmy blisko godzinę — zrzędził Osborne. — Tu skręcimy w prawo i skrócimy drogę.

Posuwaliśmy się więc po wybojach, między dwiema stromymi, skalnymi ścianami, prawie w ciemnościach. Nagle podrzuciło nas i o mało nie wypadliśmy z samochodu. Osborne zahamował gwałtownie nieomal w ostatniej chwili. Olbrzymi odłam skalny odciął nam drogę.

Musieliśmy wysiąść i krok za krokiem iść obok samochodu, który cofał się tyłem, bo o zawróceniu nie było mowy.

Tymczasem rozpadało się nie na żarty. Byłaby to bardzo nieudana wycieczka, gdyby nią była.

W pewnej chwili Cynthia załamała się nerwowo. Stała w ulewnym deszczu i zaczęła szlochać.

— Idźcie, idźcie już! — łkała. — Zostawcie mnie! Wróć do Llyn-Coled!... Zostawcie mnie!... — i tupiała nogami.

Osborne i ja patrzyliśmy na nią bezradnie. Ale Lena okazała się aniołem zbawienia. Zaaplikowała Cynthii porcję życzliwych, acz rubasznym wymysłów, co przywróciło jej równowagę ducha, i mogliśmy ruszyć dalej. Wreszcie wydostaliśmy się jakoś na lepszą drogę i wkrótce znaleźliśmy się na stosunkowo przyjemniejszym płaskowyżu, skąd można by się rozejrzeć, gdyby ulewny deszcz nie zasłaniał całkowicie widoku.

Po pewnym czasie wyłoniła się na horyzoncie jakaś wieś na pagórku.

— To musi być Caerbryn — rzekł Osborne.

Jechaliśmy z taką szybkością, na jaką pozwoliła podmokła droga.

Wówczas, wzorem Cynthii, samochód załamał się nerwowo. Jęknął raz i stanął.

Osborne wlaź pod niego, a po chwili przyłączyła się również Lena. Spod samochodu słychać było fragmenty kłótni.

Po jakichś piętnastu minutach wyleźli oboje nieprawdopodobnie utyflani.

— Nie mam pojęcia, co mu się stało — powiedział ten, który był kiedyś Osborne'em.

— To głupstwo — odpowiedziała przypuszczalnie Lena. — Do Caerbryn mamy najwyżej trzy kilometry. Dojdziemy piechotą. Samochód możemy spokojnie tu zostawić. Medal

temu, kto potrafi go stąd wyprowadzić.

Ruszyliśmy piechotą. Z wolna zarysowały się coraz wyraźniejsze kontury Caerbryn. Była to przedziwna, romantyczna, góraska wioska. Każdy domek przylegał do stromej zbocza, a na samym szczycie mokły w nieustającym deszczu ruiny zamku.

Była trzecia po południu, a nam nawet na myśl nie przyszło, by zjeść obiad. Na czwartą dobrnęliśmy do wioski, przemoknięci do suchej nitki i śmiertelnie zmęczeni.

Ale wreszcie byliśmy wśród ludzi. Mówili nawet po angielsku i wskazali nam osobno stojący, ładny stary cottage, domek Johna Mansfielda.

Po dłuższym kołataniu otworzył nam drzwi sędziwy starzec o pięknej głowie.

— Mr Mansfield? — spytał Osborne.

— Tak, panie — odparł i z nieukrywanym przerażeniem spoglądał na Lenę i Osborne'a.

— Mr Mansfield, proszę nie zrażać się naszym wyglądem. Jestem Osborne Pendragon, a to moja siostra Cynthia i dwoje naszych przyjaciół.

— Proszę, proszę wejść — rozpromienił się starzec - zaraz rozpalę ogień, żebyście państwo obeschli. A tymczasem może państwo pożywią się trochę. Może sera?

— Z rozkoszą — powiedział Osborne — ale przede wszystkim, gdzie jest earl?

— Earla w tej chwili nie ma. Może godzinę temu wyszedł. Nic mówił, kiedy wróci.

— A nie powiedział, dokąd się wybiera?

— Nie, proszę pana. Pewna dama przyjechała po niego samochodem i razem pojechali.

— Dama? Jak wyglądała?

— Wysoka, rudawa, bardzo piękna. Taka prawdziwa dama z Londynu.

— Eileen St. Claire! — krzyknęła Cynthia.

— Nie mówiła, jak się nazywa?

— Mr Mansfield — wtrąciłem czy earl czekał na jej przyjazd?

— Nie, sir. Był bardzo zdumiony, kiedy ją ujrzał. Powiedziałbym nawet, że był zdenerwowany. Ale trudno mi powiedzieć...

— W którym kierunku pojechali?

— Nie wiem. Nie mam pojęcia.

Odbyliśmy naradę na osobności.

— Spóźniliśmy się, wyprzedzili nas — rzekł Osborne. — Wpadł w pułapkę. Teraz już koniec wszystkiego.

Cynthia krzyknęła. Lena ją podtrzymała.

— Jeszcze nie wiadomo burczała. — Nie trzeba od razu myśleć o najgorszym. Może mrs Roscoe zaprosiła earla tylko na przyjacielską rozmowę. Może wreszcie doszło do zgody w sprawie spadku. Dlatego wybrała moment, kiedy zastała earla samego. Tu earl nie mógł odmówić jej spotkania.

Bez komentarza wysłuchałem teorii Leny, choć nie wydawała mi się prawdopodobna. Jeśli miała to być przyjacielska rozmowa, czemu nie przeprowadzili jej tu? Tak, wciągnęli go w zasadzkę — nie ulega wątpliwości.

Weszliśmy do środka i osunęliśmy się zmęczeni na krzesła wokół okrągłego, dębowego stołu. Stary Mansfield podał ser i jabłecznik. Lena demonstracyjnie jadła i pila, aby nam dodać otuchy. My także napiliśmy się trochę wina.

— Co teraz zrobimy? — spytał Osborne. — Do domu nie możemy wrócić, bo kto naprawi wóz?

— Trzeba czekać — radziła Lena. — Spokojnie, cierpliwie czekać. Earl niedługo wróci i wtedy dowiemy się wszystkiego.

I czekaliśmy. Nie mieliśmy zbyt wiele nadziei, ale nic mądrzejszego poza czekaniem nie przyszło nam do głowy. Osborne zagłębiony w starym fotelu milczał. Cynthia płakała, a Lena ją pocieszała. Ja miałem takie wrażenie, jakbym był w środku sparaliżowany. Miałem pustkę w głowie i nie byłem w stanie wykrztusić słowa. Tylko jedna natrętna myśl kołatała mi

się po głowie — że teraz już za późno. Nieodwracalnie za późno...

Deszcz pada, w lesie rosną grzyby olbrzymy, niszcząca roślinność pochłania wszystko. Zło wyzwoliło się z pęt. Runął ostatni bastion. W górach nadal będzie straszył porywacz dzieci, pobratymiec diabła... umarł jedyny, który złu stawiałby czoło...

— Wrzucono go do Llyn-Coled — powiedziała nagle Cynthia. — Tam Anglicy wtrącali zwłoki Walijszyków w czasie powstania Llewelyna... Od tego czasu jezioro zawodzi po walijsku...

W końcu Lena była tą, która straciła cierpliwość.

— Dość tego siedzenia. Ostatecznie jesteśmy w cywilizowanym kraju, a nie w jakiejś twierdzy Maeterlincka. Policja... Gdzie jest najbliższy posterunek policji?

W Balab — odparł Osborne. — Godzina jazdy samochodem.

— Trzeba zaalarmować policję i wojsko. Nie możemy siedzieć z założonymi rękami. Już wcześniej powinniśmy byli to zrobić.

— Ale jak się tam dostać? — spytałem. — Mr Mansfield, czy ktoś ma samochód we wsi?

— Nie, proszę pana. To bardzo staromodna wieś.

— A wóz?

— To by się znalazło... ale tylko taki zwyczajny chłopski wóz.

— A jak daleko jest stąd do najbliższej miejscowości, gdzie można znaleźć samochód lub mechanika, który uruchomiłby nasz.

— To zależy, proszę pana. Merionethshire to wielki obszar.

— Wiem. Ale chodzi mi o najbliższą taką miejscowość.

— Mówię przecież, że to zależy. Furą najbliżej do Abersych, a piechotą do Betws-y-teg.

— Jak to jest możliwe?

— Bita droga do Betws-y-teg prowadzi dookoła góry, a ścieżka ją przecina. Piechotą półtorej godziny.

— A w której z tych miejscowości znajdziemy samochód?

— W obu. Merionethshire to bardzo bogaty kraj.

— Wobec tego proponuję na wszelki wypadek pójść w oba miejsca i spotkać się w Balab na posterunku. Mr Mansfield postara się dla nas o furę, która zawiezie nas do Abersych. A któryś z nas pójdzie ścieżką do Betws-y-teg.

Moja propozycja została przyjęta i mr Mansfield pobiegł po furę. My rozważaliśmy, kto z nas pojedzie, a kto pójdzie piechotą. W czasie dyskusji stało się jasne, że biednej Cynthii absolutnie nie można stąd ruszyć. Nie wzięła wcale udziału w naradzie, siedziała w kącie i drżała. Samej jej też nie można było w tym stanie zostawić. Lena musiała z nią pozostać. Jedynie ona działała uspokajająco. Poza tym Lena zobowiązała się, w razie gdybyśmy nie wrócili, zając się odtransportowaniem uszkodzonego samochodu.

Tak więc w rezultacie w grę wchodził Osborne i ja. Rozsądek wskazywał Osborne'a jako lepszego piechura, sportowca i Walijszyka lepiej orientującego się w terenie, jako tego, który powinien iść do Betws-y-teg. Jednakże Osborne z zażenowaniem przyznał się, że idąc do wioski, zwichnął nogę i nie czuje się na siłach odbyć półtoragodzinnego marszu.

Posililiśmy się serem, aby nabrać sił.

Przez ten czas mr Mansfield powrócił z furą i Osborne wyruszył w kierunku Abersych, ja zaś pożegnałem się z Cynthią, która apatycznie patrzyła przed siebie, oraz z Leną i wyruszyłem w drogę z mr Mansfieldem.

Starzec doprowadził mnie do skraju wioski i pokazał dalszą drogę tłumacząc, którądy powinienem pójść. Cała ta sprawa coraz mniej mi się podobała. Z tłumaczenia mr Mansfielda wynikało bowiem, że początkowo powinienem przejść przez bukowy las, następnie skręcić do lasu brzoźowego, przy czym las dębowy odgrywać miał w tej drodze również niepoślednią

rolę. Ja zaś niestety od swych najmłodszych lat byłem mieszkańcem miasta i zwolennikiem nauk humanistycznych. Nigdy nie umiałem odróżnić jednego drzewa od drugiego.

Oczywiście nie miałem odwagi przyznać się do tego przed mr Mansfieldem. Podziękowałem mu, pożegnałem się i ruszyłem w drogę. Ostatecznie chodziło przecież tylko o to, aby przejść tę górę, myślałem sobie.

Początkowo wszystko szło jak z płatka. Ważność misji i posmak przygody pobudziły we mnie dziecianną ambicję. Sprężystymi krokami, pogwizdując, wdrapałem się na zbocze. Sądziłem, że na szczycie łatwiej mi będzie zorientować się w terenie. Zanim osiągnąłem wierzchołek góry, byłem porządnie zmęczony. Niestety, to, co z dołu wydawało się jedną górą, okazało się szeregiem gór, stojących jedna za drugą. I w dodatku zapadał już zmierzch.

Podszedłem do najbliższego drzewa i usiłowałem ustalić jego gatunek. Niestety, nie udało mi się. Było to drzewo w pojęciu abstrakcyjnym.

To nic — pomyślałem — tylko prosto dalej. Zapaliłem papierosa i ruszyłem w dół, w kierunku, który wydawał mi się przedłużeniem poprzedniego. Całkowitej pewności jednak nie miałem wiedząc, jak często zwodnicze były moje wrażenia.

Ale na razie szedłem jeszcze spokojnie. Zaniepokoiłem się dopiero, gdy zszedłem w dolinę i stwierdziłem, że stojąca naprzeciw mnie góra jest znacznie wyższa i bardziej stroma, niż sądziłem, i że nie ma na niej ni śladu ścieżki.

A przecież staruszek powiedział, że do samego Betws-y-teg prowadzi wyraźna ścieżka. Widocznie zablądziłem.

Na zdrowy rozsądek powinienem był powrócić na szczyt i odszukać dróżkę... ale Rzymianin nie cofa się z drogi. Zresztą wspinanie się na stromą górę, z której udało się szczęśliwie zejść, napotyka psychologiczny opór.

Z kotlinki, w której stałem, wiodła jakaś ścieżyna w lewo. Może idąc nią uda mi się ominąć górę i znaleźć się w jakimś właściwym miejscu. Ruszyłem.

Tymczasem ściemniło się. Nie było całkiem czarno, gdyż chmury rozstąpiły się i pojawił się sierp księżycy i kilka gwiazd. Szedłem „w niepewnym świetle księżycy”, jak powiada Wergiliusz, i rozkoszowałem się wspaniałością przymiotnika „niepewny”.

Wokół mnie i we mnie tkwiła niepewność. W podświadomości nurtowała mnie niepewność sytuacji, losu earla, końca naszych przygód. Ale świadomie myślałem tylko o tym, którądy mam iść dalej.

Tylko że myślenie niewiele dawało. Trzeba było iść dalej zdając się na swą niepewność.

Uczyniłem to, dręcząc się niepokojem i nie bez uzasadnienia. Po przyjeździe do Londynu przez dwa tygodnie w dzień blądziłem wracając z British Museum do swego hotelu, na dziesięciominutowym odcinku drogi. Jak mogłem więc rozeznaczyć się w celtyckim lesie, gdzie byłem w dodatku pierwszy raz.

Sytuacja moja była równie zabawna, jak w czasach gimnazjalnych, gdy nauczyciel matematyki z pasją wyprowadzał błyskawicznie wzory, a my gapiliśmy się jak cielęta na malowane wrota, bo już drugi wzór był dla nas kompletnie niezrozumiały.

Powoli znikąca moja pogoda ducha. Las stawał się coraz bardziej nieprzyjazny, w miarę jak wzrastało moje zmęczenie i ciemności. Usiadłem na pieńku i w blasku zapalanej zapałki sprawdziłem czas. Była ósma. Szedłem już godzinę.

Po jakimś czasie znów spojrzałem na zegarek, pół do dziewiątej, później dziewiąta. Siadałem, wstawałem, szedłem z determinacją, a las nadal był tylko lasem.

Wreszcie jakieś światełko. Ze świeżą energią pospieszyłem w tamtym kierunku. Gdy się zbliżyłem, straciłem całą nadzieję. Było to jezioro, w którym odbijał się blask księżycy. Smutne drzewa kapały w nim swe konary, a szuwały przybrzeżne szumiały złowrogo.

To Llyn-Coled albo jego bliźniak — przemknęła mi myśl.

Przypomniała mi się opowieść Cynthii o pięciuset bojownikach walijskich, wrzuconych w czarne odmęty za czasów Llewelyna ap Gruffydd, i o ich głosach wydobywających się od

tego czasu z jeziora. Istotnie, szuwały jęczały ludzkim głosem, jęczały, wzdychały i wyły na wietrze.

A na brzegu siedziała staruszka i nieustannie splatała rybacką sieć, rzucając od czasu do czasu kamyk do wody. Do głowy mi nie przyszło zapytać ją o drogę. Na myśl o tym, że mogłaby mnie spostrzec, dostałem wręcz gęsiej skórki. Odwróciłem się i szybko zniknąłem w lesie.

Od tej chwili odechciało mi się przygód i to ostatecznie. To, co nastąpiło później, było po prostu koszmarem.

Nieprzyjemne doznania, zmęczenie i głód pozbawiły mnie zdolności logicznego myślenia. Teraz już nie szedłem, lecz uciekałem.

Byłem w celtyckim lesie, gdzie wszelkie nieprawdopodobieństwo staje się prawdopodobne. Co dziesięć minut przyplływ przerażenia: to krzak do złudzenia przypominający skuloną staruszkę, skała o wyglądzie zaczajonego olbrzyma, plusk czarnych potoków i łopot skrzydeł zrywających się sów były źródłem największego przestachu.

Była jedenasta, gdy dotarłem na płaskowyż. Tu przynajmniej nie było lasu. Nie było krzewów i sów, jasno świecił księżyc. Wszędzie leżały kupki kamieni, jakby wewnątrz ziemi przebiło się miejscami przez jej skorupę. Nieco dalej widoczne było większe skupisko kamieni, niby stare, celtyckie cmentarzysko, jak to się widuje na dawnych obrazach.

Kiedy podszedłem bliżej, stwierdziłem z pewną ulgą, że to jakiś budynek. Nie byłem tak bardzo uradowany, bo na tym wzgórzu nie spodziewałem się ujrzeć uśmiechniętych życliwie starych chłopów i wręcz starałem się nie wyobrażać sobie tych wszystkich możliwych potworności, żeby do reszty nie utracić hartu ducha.

Przede mną znajdował się budynek, który trudno było nazwać domem, był to raczej potężnych rozmiarów klocek. Nie widziałem w nim ani drzwi, ani okien. Podszedłem z drugiej strony, potem z trzeciej i gdy wreszcie po obejściu dookoła nadal nie spostrzegłem żadnych otworów, ogarnęła mnie panika. Nie ma nic bardziej przerażającego niż rzecz niezrozumiała.

Chciałem uciec. Wszystko było już lepsze, drzewa, skały, sowy, niż ten upiorny budynek. Nie wiem, czy to na skutek zmęczenia, czy też sprawiła to rozbrykana wyobraźnia, stałem jednak nadal, jak we śnie, kiedy człowiek nie jest w stanie się ruszyć. Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w pobielony mur.

Mur poruszył się, powoli się rozsunał, odsłaniając absolutną ciemność. Z tej ciemności ktoś się wyłonił, wysoka postać cała w czerni, z wyjątkiem włosów i kryzy wokół szyi błyskających bielą.

Krzyknąłem przeraźliwie.

Przed moimi oczami wirowały świetliste koła, rosły liliowe i karminowe, a wśród nich rozjaśniał się punkcik, rozżarzał, oślepiał.

Znalazłem się w czterech ścianach. Było ciemno, tylko macając dokoła stwierdziłem, że jestem zamknięty. Panowała głęboka, nieomal słyszalna cisza.

Może już nie żyję? — pomyślałem sobie. Położyłem się na kamiennej posadzce i zapadłem w głęboki sen.

*

Moje późniejsze wspomnienia są dość mętne. W normalnych warunkach mam bardzo żywe sny i często myślę je z rzeczywistością. A w tych dziwnych okolicznościach całkiem straciłem poczucie realności. Nie chcę kłamać i muszę być ostrożny w przedstawieniu zdarzeń, które nastąpiły.

Do mego wyczerpania i potwornego napięcia nerwowego dołączyło się przeziębienie z gorączką, którego nabawiłem się swoim zwyczajem na deszczu. Moja zdolność samokontroli

pracowała z przerwami i wszystkie gorączkowe majaki nabierały posmaku rzeczywistości.

Bez wątpienia musiałem od czasu do czasu coś jeść i pić, nie pamiętam bowiem wcale, żebym cierpiał głód lub pragnienie. Ale co i jak jadłem, nie mam pojęcia.

Oczywistą jest rzeczą, że straciłem rachubę czasu i nie wiedziałem, jak długo trwa moje przymusowe więzienie. Mój zegarek stanął. W pomieszczeniu, w którym przebywałem, nie było okien, tak że nie docierały do mnie zmiany pór dnia. Powracająca okresowo senność również nie była dowodem nadchodzącej nocy: ponieważ sypiałem nieregularnie, pogrążony byłem często w półśnie, na przemian z chwilami nadludzkiej przytomności.

Na pewno były godziny, które wydawały się minutami, i minuty trwające godziny. Wiadomo przecież, jak zmienia się poczucie czasu u człowieka z gorączką.

Najtrwalsze wspomnienie i pierwsze, które sobie przypominam myśląc o moim więzieniu — to zapach. Zapach jakiegoś szczególnego dymu, który przenikał cały budynek. Przypominał trochę jałowiec, ale był bardziej gorzki i oszałamiający. Wiem, że przy obrzędach magicznych pali się rozmaite zioła i być może zapach ten pochodził z jakiegoś liturgicznego obkadzania. Na pewno było to coś takiego, o czym wiele czytałem w okultystycznych księżkach: werbena, mirra, ziele karib, aloes, może ambra. Nie wiem. Ponieważ o nich tylko czytałem, nie potrafiłem połączyć nazwy z wonią. Tę samą woń poczułem wówczas, gdy nocny jeździec przegalopował przede mną na drodze.

...Pokój wypełniała szczególna zielonkawa poświata, w której kołysała się jakaś drobna figurka. Trudno powiedzieć, jak ona wyglądała: tak sobie w każdym razie zawsze wyobrażałem gнома. Ubrany był w coś przypominającego górniczy mundur, na głowie miał czapkę w rodzaju pilotki, tak że widoczna była właściwie tylko jego mądra, złośliwa, nieprzyjemna twarz. Najprawdziwszy z tego wszystkiego był jego skrzekliwy głos.

Już wtedy zdawałem sobie sprawę, że mój gość nie jest człowiekiem z krwi i kości. Jego wygląd zmieniał się co chwila w sposób groteskowy. Jak płomień, który wybucha i przygasa. Chwilami machał skrzydłami i piał jak kogut, kiedy indziej nie miał wcale skrzydeł.

— Pozdrawiam cię, Beniaminie Avravanel. Zaraz przyniosę ci ubranie — przemówił do mnie.

— To jakaś pomyłka — odrzekłem. — Nigdy nie nazywałem się Avravanel. A poza tym nie przypominam sobie, żebym zamawiał ubranie.

— To nieważne — powiedział gnom i zapał. Wtedy wydawało mi się to jakieś naturalne.

Gnom przysiadł na stołku barowym, którego przedtem nie było w pokoju, i trzepotał się, dosłownie się trzepotał.

— Wielkiemu Adeptowi bądź chwała i cześć — powiedział.

— Proszę bardzo — odrzekłem zgodliwie. — Chwała i cześć.

— Wielki Adept szykuje się do ukończenia Wielkiego Dzieła. Tak postanowiły gwiazdy, gwiazdy...

Przedziwnym sposobem widziałem to wszystko, o czym mówił. Gwiazdy na niebie krążyły, aż w pewnym momencie znieruchomiały pełną znaczenia nieruchomością.

— Wielki Adept potrzebuje famulusa — ciągnął gnom dalej. — Ciebie sobie upatrzył, uczony Beniaminie Avravanel.

— Ależ ja się nie znam na tego rodzaju sprawach — broniłem się.

— Tak, ale i tak wiesz stosunkowo więcej niż inni ludzie przebywający w Merionethshire.

Poczułem się zaszczycony.

— Ale och, ach — powiedział gnom — och, ach! — I zatrzepotał się wydając trzaski jak zapalone, wilgotne drzewo.

— Wielkie Dzieło utknęło w pewnym miejscu. Nie posuwa się!

Znów widziałem to, o czym mówił: ogromną budowlę mieniającą się własnym światłem.

Budowla ta złożona była ze szklanych rurek, kolb, wirujących kół, lamp gazowych, połączonych dość bezładnie, ale wszystko to razem tworzyło tak składny obraz, jak ciało jakiegoś pięknego zwierzęcia. W rurkach, kolbach przepływała jasnożółta ciecz.

— Tu właśnie utknęło Wielkie Dzieło — powiedział gnom wskazując na któreś miejsce budowli. — Tu. Nie posuwa się. Widzisz, jakie to złociste? Ale jeszcze nie złote. Nie złote.

I gnom zniknął wraz z budowlą, a mnie bardzo bolała głowa.

Po jakimś czasie znów się pojawił. Wyglądał ogromnie uroczyście w czarnym ubraniu.

— Nachyl się, Beniaminie Avravanel. Muszę ci powierzyć potworną tajemnicę. Wielki Adept zmuszony jest odwołać się do czarnej magii, aby móc ukończyć Wielkie Dzieło. Ponieważ Najwyższy nie udzielił mu pomocy, wezwie na pomoc Najgłębszego. Tyś jest famulusem, czcigodny mistrzu. Musisz wziąć udział w ceremonii. Wstań i przygotuj się. Nadszedł czas, nadszedł czas.

Spostrzegłem przed sobą klepsydrę, w której przesypywały się ostatnie ziarenka piasku. Wstałem i podążyłem za gnomem.

Znajdowaliśmy się w pięciokątnej sali, oświetlonej od góry jakimś świetlnym ciałem. Wyglądało tak samo jak to, które widziałem w podziemiach Pendragonu.

Miałem na sobie czarne ubranie, bez żadnego kroju i bez rękawów. Na nogach dźwigałem bardzo ciężkie buty, chyba z ołowiu, pokryte astrologicznymi znakami.

Natychmiast przystąpiłem do przygotowania sali. Był tam pędzel, który zanurzyłem w jakiejś cieczy o barwie krwi, stojącej w miednicy, i namalowałem na podłodze dwa duże, koncentryczne koła, w kole zaś — trójkąt. We wnętrzu trójkąta ponownie trzy koła, ale już nie koncentryczne.

Do jednego wstawiłem dymiące naczynie, w dwa pozostałe zaś po jednym świeczniku w kształcie półksiężyca. Potem w jednym z punktów obwodu zewnętrznego koncentrycznego koła przybiłem martwego nietoperza, co oznaczało północ, w drugim punkcie zaś czaszkę, tu był zachód. Na południu znalazła się głowa kozła, a na wschodzie zdechły czarny kot.

Tymczasem zapach wydobywający się z kadzielnicy stawał się coraz bardziej przenikliwy, tak że powlokłem się z powrotem do mego pokoju. Cały dom dźwięczał jak organy.

W pokoju pojawiło się przez ten czas wygodne posłanie, przykryte kirem. Położyłem się.

Jak sobie wytłumaczyć moją przygodę? Wówczas nie usiłowałem niczego tłumaczyć, przeżywałem to i wszystko wydawało mi się tak jasne i zrozumiałe, jakby chodziło o urządzenie nowego mieszkania. Później wiele o tym myślałem i znalazłem dwie możliwości rozwiązania tej zagadkowej historii.

Pierwsza, prostsza, to stwierdzenie, że śniłem. Wszystkie czynności, rysunek, konieczne utensylia, wszystko to znalazłem dokładnie opisane w książce Eliphasa Lévy, nazywającego się właściwie abbé Alphonse-Louis Constant.

Uzupełnił on jeszcze to wszystko w sposób fantastyczny, twierdząc, że świece powinny być z domieszką ludzkiej krwi. Czarnego kota należy uprzednio karmić przez pięć dni krwią ludzką, nietoperz utopiony winien być we krwi, kozioł zaś musi z dziewczuszką... cum quo puella concubuerit, jak to delikatnie wyraził Eliphas Lévy. O czaszce zaś wiadomo, że ma należeć do ojcobójcy. Książkę Eliphasa Lévy czytałem rok lub dwa przed moją przygodą i oczywiście częściowo zatarła się w mojej pamięci. Możliwe, że dzięki szczególnym i fantastycznym okolicznościom odtworzyłem tak wiernie we śnie treść dawno przeczytanej i zapomnianej książki. Człowiek wygłasza czasem przez sen całe zwrotki wierszy, kiedyś dawno czytanych i dawno zapomnianych.

Drugim wytłumaczeniem byłoby to, że uległem sugestii. To coś, co brałem za gнома, mogło być moją podświadomością, która w transie oddzieliła się od mego ja i zaczęła żyć własnym życiem. Takie rozdwojenie jaźni u medium było już wielokrotnie opisywane przez psychologów.

... Cały dom nie spał. Przez ściany czuło się pulsujące jak w mrowisku życie. Słychać było kroki, przesuwanie ciężkich rzeczy, coś skrzypiało, trzeszczało i od czasu do czasu złowrogi głos gongu wstrząsał pomieszczeniem.

Ściany mojego pokoju rozstały się i pojawiła się postać kobieca otulona czarną peleryną. Skoro mnie tylko spostrzegła, zakryła twarz rękami i przenikliwie wykrzyknęła:

— Ktoś ty? Ktoś ty? Ktoś ty?

Po głosie poznałem Eileen St. Claire. Podbiegłem do niej i chwyciłem za rękę.

— Eileen! — zawołałem. — Skąd pani się tu wzięła?

Eileen krzyczała nadal i wyrwawszy się, chroniła się w kąt pokoju.

— Proszę się nie bać — powiedziałem — przecież pani mnie zna. Proszę mi się przyjrzeć. Jestem János Bátky, ten Węgier, który pani pierścień zawiózł earlowi ot Gwynedd.

Eileen umilkła i dłuższy czas bacznie mi się przyglądała. Każdy lej ruch świadczył, że nie panuje nad sobą.

— Ach, to przecież pan jest tym naukowcem z rękopisem — powiedziała i zaczęła się histerycznie śmiać.

— Skąd pani się tu wzięła i co tu pani robi? — ponowiłem pytanie.

Eileen podbiegła, wczepiła się we mnie i ze zgrozą wyszeptała:

— Kim jest ten człowiek? Kim jest ten człowiek? Czy do niego należy ten dom? Ten...

— Ten... Nie wiem. Nie mam pojęcia.

— Czy jest pan zupełnie pewny, że... to nie jest earl of Gwynedd za pięćdziesiąt lat?

— Eileen — krzyknąłem — co się dzieje z earlem of Gwynedd? Pani go widziała ostatnia... wyjechał pani samochodem... Co się z nim stało?

— Nie wiem. Nie wiem, co się stało z earlem of Gwynedd. Przywiozłam go tu, gdzie już wszystko było przygotowane. Ale co się z nim później stało, nie wiem. Czy to pewne, że ten człowiek to nie jest earl of Gwynedd?... Tak mi zimno... Niech pan pokaże rękę... Czy pan ma ciepłą krew? Tak. Proszę, niech pan usiądzie koło mnie, bliźutko, i niech pan mnie ogrzeje. Tak mi zimno, tak zimno...

Rzeczywiście dygotała, choć wcale nie było zimno.

— Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, tam u mnie w domu, w Connaught — chrypiała Eileen — było raz też tak zimno... na rzekach był gruby lód... proszę, niech pan siądzie bliżej... byliśmy wtedy bardzo biedni... było nas dziesięcioro rodzeństwa... co może zrobić biedna dziewczyna... — chrypiała coraz bardziej mechanicznie.

...I wtedy na spowiedzi wyznałam ojcu Considine, dlaczego wzięłam pieniądze... proszę, bardzo proszę, niech pan się nie odsuwa... tak marzną. Te pięć funtów ukradłam temu staruszkowi nie dlatego, że potrzebowałam pieniędzy, tylko dlatego, że tam był ziąb... Nie znoszę zimna... Dlaczego pan mi się przygląda? Nie wierzy mi pan? Ma pan rację. Potrzebowałam pieniędzy. Już wtedy gromadziłam pieniądze. Wtedy, jeszcze nie wiedziałam, że będę ich miała tyle. Bo mam ich ogromną ilość. W ciągu paru minut potrafię zarobić pięćdziesiąt funtów, a jednak tak marzną... Proszę usiąść bliżej... Ile pan chce? Gdzie moja książeczka czekowa? Boże jedyny, gdzie jest moja książeczka?... — i zaczęła szlochać.

Potem uspokoiła się trochę.

Zdaje mi się, że znów zacząłem ją dręczyć, co się stało z earlem. I Eileen wyznała mi to, co sama wiedziała. Z całą pewnością przypominam sobie, co mówiła, każde słowo, nawet modulację głosu. To nie mogło być snem. Chociaż równie dokładnie pamiętam, co mówił gnom, a przecież...

Opowiedziała, co następuje:

— Zaraz po otrzymaniu wiadomości od Cynthii o miejscu pobytu earla udałam się do niego. Tym razem nie mógł oznajmić, że nie przyjmuje. Sam otworzył mi drzwi. Wiedziałam, że jak mnie zobaczy, nie zdobędzie się na to, by mnie wyrzucić. Bez trudu go namówiłam, żeby udał się ze mną. Uwierzył we wszystko. Że zerwałam z Morvinem, że się go boję, że

potrzebuję jego opieki. Wsiadł do samochodu i dał się prowadzić jak cielę na rzeź. Proszę, niech pan się nie odsuwa... tak mi zimno... ta noc... póki żyję, jeszcze nigdy... Niech mi pan powie, czy diabeł naprawdę istnieje?

Poprosiłem ją, by opowiadała dalej.

— Przybyliśmy do tego domu i niech pan sobie wyobrazi... zaraz w pierwszym pokoju natknęliśmy się na leżącego Morvina, chociaż nie powinien się być pokazywać. Ale nie mógł inaczej, był martwy.

I zaczęła się śmiać.

— Czemu pani się śmieje?

— Ile razy go sobie przypomnę, muszę się śmiać. Taki był dziwny. Miał wykręcony kark, leżał na brzuchu z twarzą zwróconą ku górze. Wtedy też się śmiałam. Earl też się dziwił, że mi się chce śmiać. Ostrzegwał mnie, żebym uważała, bo Maloney zginął w ten sam sposób. Ale ja się cieszyłam. Zdawało mi się, że wreszcie uwolniłam się od obydwu. Że odtąd będę mogła spokojnie żyć. A przecież ten człowiek... jest znacznie gorszy... Pan jest doktorem, proszę mi powiedzieć, jak to się dzieje, że ciało człowieka staje się lodowate?

— Proszę powiedzieć, co się stało z earlem? — zadałem z uporem to samo pytanie.

— A prawda, z earlem. Sądziłam, że to chyba źle, że zobaczył tu Morvina, i zacznie coś podejrzewać. Usiadł na krześle i podparł twarz rękami, o, w ten sposób... Wyjęłam rewolwer, ten mały, kupiony w Paryżu. Takie ładne, białe, emaliowane cacko... Chciałam stanąć za nim i strzelić mu w głowę od dołu, tam, gdzie głowa jest taka miękka... Raz widziałam człowieka z przestrzeloną głową... To było w Maroku.. jak tam było ciepło... i te kobiety w czarczafach... Pojedziemy razem do Maroka, dobrze? Ale jak się stąd wydostaniemy?

Och, to rozdwojenie uczuć! Trzymać w objęciach kogoś, do kogo magnetycznie lgną ramiona, całe ciało, a przed kim cofa się i wzdraga moja świadomość...

— Co się stało z earlem? — krzyknąłem.

— Proszę nie krzyczeć, błagam, proszę nie krzyczeć. Nie wiem, co się z nim stało... Tam stał ten człowiek, zabrał mi rewolwer. Byłam jak sparaliżowana. Złapał mnie niczym worek i wrzucił do jakiegoś pokoju... och, do takiego pokoju... wcale nie wiedziałam, że w tym małym domku jest tyle pokoi, i takich zimnych... Czy jest pan pewny, że to nie jest earl of Gwynedd?

— Nie jestem pewny. Co może być pewnego na tym świecie? Możliwe, że to earl of Gwynedd. Możliwe, że jest również earlem of Gwynedd. Wielu ich było. Aż osiemnastu. Możliwe, że jest jednym z nich. Ale pani... czemu pani przypuszcza, że to on?

— Ta twarz. Ta sama twarz, a jednak całkiem inna. Jakby przenicowana.

Zaczęła znów drżeć coraz mocniej i szlochała rozpaczliwie. Bardzo źle się czuła. Musiałem ją rozcierać, jak kogoś skostniałego w wodzie, żeby wreszcie doszedł do siebie.

Wtedy zasnęła.

Odgłosy na zewnątrz trwały nadal, kadzidlana woń przenikała do pokoju otaczając nas jakby mgłą. Przed drzwiami, których nie widziałem, a przez które weszła Eileen... na pewno ktoś stał i nas podglądał. Ogarniał mnie coraz większy lęk. Gorączka wzrastała. Eileen jęczała i tuliła się do mnie. Jak zwierzęta w niebezpieczeństwie kuliliśmy się oboje. Zwłaszcza ta grzeszna, podła kobieta, która przecież też jest człowiekiem, jak i ten za ścianą...

Znów zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, Eileen już nie spała. Peleryna była rozchylona, leżała na czarnej pościeli, piękna śmiertelną, wstrząsającą urodą.

— Eileen...

Jej piękność spadła na mnie jak chmura. Jak przystań gdzieś na krańcu świata...

Objęła mnie za szyję i pocałowała.

Dalszy ciąg trudno mi wyjaśnić. Eileen leżała przede mną. Rzuciłem się na nią i całowałem jej ciało ze wzrastającą gwałtownością i taką rozpaczliwą namiętnością, jakiej nie

odczuwałem jeszcze nigdy w moim zimnym i przykładowym życiu.

— Och, jaki jesteś ciepły, jakie masz dobre, ciepłe usta — szeptała ekstatycznie Eileen. Przyłgnęliśmy do siebie.

Zapomniałem o wszystkim. O lęku, o przeżytych chwilach grozy, o czającym się za drzwiami niebezpieczeństwie. Wszystko poza nią przestało istnieć. Znajdowałem się na końcu świata, poza granicami życia, przed zagładą wszystkiego dokoła, tuż przed poznaniem praw rządzących wszechświatem. Nie pozostało nic poza ciałem tulącym się do ciała. Najgłębsze, najprawdziwsze doznania wyszły na jaw w tym mistycznym trzęsieniu ziemi. Może chciałem odkupić każdą chwilę, której dawniej nie poświęciłem swemu ciału. Wiem, że krzyczałem, stękałem, ja, który kochałem zwykle cicho jak motyle. Tak, to już nie byłem ja, tylko ucieleśniona, wyrwana życiu drzemiąca przedtem energia.

Nagle, jakby na rozkaz, rozłączyliśmy się. Wzburzenie znikło z naszych twarzy, wstaliśmy oboje.

Niewidzialne drzwi stanęły otworem, a my ruszyliśmy ku nim wolnymi, hieratycznymi krokami.

Wszystko, co potem robiłem, działo się jakby na czyjś rozkaz. Nie wahałem się ani chwili. I wszystko było dla mnie jasne, wszystkie zależności zdarzeń, tak jakby mi to ktoś wyjaśnił jakimś wewnętrznym, nieznanym sposobem.

Wiedziałem, że ona będzie ofiarą w świątyni, którą jej własnoręcznie wyszykowałem.

I to wiedziałem, że musi umrzeć w stanie grzechu śmiertelnego, z ciałem zbrukanympocafunkami, po to, by ofiara miła była szatanowi.

Dziwne to, ale nie odczuwałem wcale lęku. Tak, jakbym stał na zewnątrz wszystkiego, co ludzkie. Moje uczucia były sparaliżowane, znikły. Szedłem jak automat. Teraz się nawet cieszę, że tak było: kto wie, jaki uraz pozostawiłyby na przyszłość te wszystkie przeżycia.

Kroczyliśmy przez puste sale, w których czuło się ukryte, pulsujące życie, jakby w pobliżu znajdował się jakiś kocioł. A przecież były puste i nic się w nich nie poruszało. Tylko wszędzie unosił się dym, szliśmy we mgle, jak koło jeziora nocną porą.

Potknąłem się w pewnej chwili. Pod moimi nogami leżał jakiś człowiek, leżał martwy, z wykręconą do tyłu twarzą. Wiedziałem, że to James Morvin. Przekroczyłem go i szedłem dalej.

Doszliśmy do pięciokątnej sali. Wszystko było tak, jak przygotowałem, czy też jak mi się to wydawało we śnie: koncentryczne koła, trójkąt, w nim mniejsze koła z kadzielnicą i świecznikami i cztery symbole, nietoperz, kot, łeb kozła i czaszka.

Stanęliśmy.

Znajdująca się naprzeciw nas ściana rozstała się i pojawił się demon. Cały był w czerni, ubranie, kapelusz, a w rękę trzymał dziwny sztylet. Twarz jego była tak pozbawiona uczuć, jak chyba żadna ludzka twarz być nie może.

Ze schyloną głową i opuszczonymi rękami Eileen skierowała się w jego stronę. Ja stałem oparty o jedną z kolumn i nie byłem w stanie poruszyć się.

Przede mną tańczył, skakał i wił się gnóm. Czasem głową sięgał sufitu, a chwilami nie był większy niż psiak. Twarz jego wydawała mi się coraz podobniejsza do mojej własnej.

Ktoś stanął między dwoma czarnymi kandelabrami i rozpostarł ramiona. Eileen... obie jej dłonie dotykały płomieni świec, ale nawet nie drgnęły. Czy czuła w ogóle coś?

Dziwny sztylet maga uniósł się w powietrze. Gnóm kołysał się nad kadzielnicą w niewypowiedzianie tragiczny, groteskowy sposób. Kobieta osunęła się bezgłośnie. Gnóm podstawił dłonie pod płynącą krew i wylewał ją strugą na marmurową płytę.

Demon nad marmurem... rozkrzyżowane ręce, w jednej z nich sztylet.

Słowa szatańskiej inwokacji... barbarzyńskie, niezrozumiałe słowa pisane sztyletem w powietrzu.

Dym gęstniał, coraz trudniej było mi zobaczyć, co się dzieje po drugiej stronie sali.

Szatańskie zaklęcia drażyły ucho jak zbliżające się wycie wilków.

Wtem rozległ się potworny krzyk, jakby wycie śmiertelnie zranionego zwierzęcia skierowane ku nieczułym gwiazdom.

Zjawa odrzuciła sztylet i znikła nagle poprzez otwór w ścianie.

I w tym momencie gorączkowe majaki, wizje, czy jak to nazwać... nagle się skończyły. Stałem się tak trzeźwy, jak podobno bywają ludzie w chwilach śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Było dla mnie jasne, że demon miał jakieś potworne widzenie, które odebrało mu całą odwagę. Odrzucił sztylet, a wraz z nim swą moc, i uciekł. Uciekł przed tą potwornością, którą sam w sobie wywołał.

I wiedziałem również, że i ja teraz muszę uciec.

Wybiegłem przez szczelinę, w której on znikł uprzednio. Raz dwa znalazłem się na zewnątrz, pozostawiając za sobą ten dom.

Była noc. Stałem na wzniesieniu, które było moim ostatnim wspomnieniem ze świata zewnętrznego. Wzniesienie było wymarłe, skały przeświecały, jakby biały kościec Ziemi przebił się przez skórę.

*

Ale byłem wolny, wolny, oswobodzony!

Ruszyłem w noc, bez wyboru kierunku. I tak nic gorszego już mnie spotkać nie mogło. Byłem na swobodzie i wcześniej czy później musiałem natrafić na ludzkich ludzi.

Na skraju pagórka odwróciłem się i zobaczyłem, że budynek stoi w płomieniach. Skręciłem do lasu i radośnie ruszyłem w dół.

Później położyłem się spać w miękkiej, przytulnej trawie.

Obudziłem się, gdy słońce stało już wysoko na niebie, tak jak to zwykle bywa w książkach. Wstałem i poszedłem dalej. Byłem bardzo głodny, ale w dobrym nastroju.

W niedługim czasie dotarłem do farmy. Żona farmera przyglądała mi się ze zdziwieniem. Ubranie miałem podarte, wygniecione i brudne, a na twarzy kilkuniedniowy zarost. Mimo to serdecznie i obficie nakarmiła mnie serem i mlekiem przyjmując w zamian pieniądze. Byłem niewymownie szczęśliwy, że miałem w kieszeni szylingi i pency i że znów pieniądze były najważniejsze w stosunkach między człowiekiem a człowiekiem.

Wskazała mi drogę do Abersych.

Szedłem około godziny piękną, wygodną, słoneczną drogą, gdy spostrzegłem idącą naprzeciw mnie jakąś ogromną postać, która gorączkowo kiwała mi ręką.

Po chwili poznałem Johna Griffitha, który w pierwszą noc pobytu w Llanvygan tak mnie przeraził swoim średniowiecznym kostiumem.

— Dzięki Bogu, panie doktorze, że pan się odnalazł — zawołał. — Cała służba i cała okolica poszukuje pana doktora. Kto pana znajdzie, dostanie dziesięć funtów. To znaczy ja je otrzymam, jeżeli poza mną nie spotkał pan jeszcze nikogo.

— Nie, Griffith, nikogo. Gratuluję z powodu tych dziesięciu funtów. Co się stało z earlem?

— Z earlem? O ile mi wiadomo, nic. Jest w domu w Llanvygan. Ale chodźmy do Abersych. Tam jest pan Osborne i pani z Niemiec. Też szukają pana doktora.

Tak się też stało. W Abersych ogoliłem się i zasiadłem do obiadu. Byłem dopiero przy zupie, gdy wkroczyła Lena i uroczyście towarzyszyła mi przy jedzeniu.

Od niej dowiedziałem się o zdarzeniach.

Gdy ja wyruszyłem naprzeciw moim przedziwnym przygodom, Osborne przybył na chłopskiej furmance do Abersych, a stąd udał się na policję w Balab. Tam nic nie wiedziano o losie Morvina i Eileen St. Claire. Przerażony Osborne wpadł na pomysł, by zatelefonować do

domu w Llanvyan. Dowiedział się, że earl właśnie powrócił w całkowitym zdrowiu, ale w bardzo złym stanie psychicznym i swoim zwyczajem zamknął się w swych apartamentach. Wówczas uspokojony Osborne powrócił do Caerbryn, odwożąc Lenę, Cynthię i wóz.

— Od tego czasu earl się nie pokazał. Podobno leży z powodu gorączki nerwowej. Oczywiście, nikt z nas nie wie, jak się odbyło spotkanie z mrs Roscoe. Zarządziliśmy poszukiwanie pańskiej osoby. Cała okolica jest poruszona. Od dwóch dni przetrząsają góry wokół Caerbryn. Aha, prawda! Nie opowiedziałem jeszcze najdziwniejszej historii. Earl przyprowadził ze sobą tego chłopczyka, który znikł w taki tajemniczy sposób, a którego miał porwać jakiś jeździec. Ta cała historia nie wyjaśniła się, ponieważ chłopca earl odesłał zaraz ojcu, zanim ktokolwiek zdążył z nim porozmawiać.

— Ale żeby pan wiedział, jaka ja jestem znowu głodna — zawołała. — A przecież już jadłam obiad. Może to z radości, że pan się odnalazł. Co by tu zjeść. Chyba zjem kawałek welsh rarebit. To chyba najlepszy wynalazek w tym tajemniczym zakątku świata.

I z ogromnym apetytem zabrała się do grzanek zapiekanych z serem, doskonałej angielskiej potrawy.

O, jak bardzo radował mnie apetyt Leny, jej ciało, które promieniowało wprost szczęściem zdrowiem. Kiedy w czterech łyżkach pochłonęła wielką porcję, nie przesadzam, ale rozplakałam się z rozczulenia i Lena z trudem je ukołysła klepiąc mnie po plecach.

Wtedy wkroczył Osborne. Był blady, wymięty. Jego krawat przekroczył dopuszczalną granicę skrzywienia.

— Halo, doktorze! Zjawił się pan? Dzięki Bogu, bo się już bardzo niepokoiłem. Czy wiecie już, co się stało?

I opadł na krzesło.

— No, niechże pan mówi wreszcie, idioto! — rzuciła się na niego Lena.

— Leno, tylko opanowanie uczyniło wielkim królestwo angielskie! Ale nie to chciałem powiedzieć. Posłuchajcie!

— Jeśli pan nie zacznie zaraz opowiadać, to pana zastrzelę! — krzyknęła Lena.

— Dziś rano policja odnalazła miejsce pobytu Morvina i mrs Roscoe. Gdzieś w pobliżu Betws-y-teg, gdzie diabeł mówi dobranoc, wybudowali w ciągu paru dni dziwny domek. Coś w rodzaju klocka pozbawionego okien i drzwi. Już robotnicy budujący ten dom na szczycie góry czuli się dość niesamowicie. Podobno chowano tam walijskich królów i od tego czasu straszy tam również Cwn-Annwn — pies o czerwonych uszach.

Dziś rano wspięło się na górę dwóch policjantów, poszukujących Bątkyego... I wyobraźcie sobie... dom spłonął. Na podstawie zgliszcz stwierdzili, że musiało to się stać niedawno... gdzieś o świcie. W rumowisku znaleźli spalone zwłoki mężczyzny i kobiety. Ale nie były na tyle spalone, żeby robotnicy, których zaraz wezwano, nie mogli rozpoznać w nich mrs Roscoe i Morvina.

— Jak to się mogło stać? — zapytała Lena.

— Chyba najlogiczniej będzie podejrzewać samobójstwo — odpowiedział Osborne. — Kto wie, kiedy skrucha złamie najbardziej grzeszną duszę?...

— Jeśli tak — powiedziała Lena — Llanvyan zostało oswobodzone. I moja misja też dobiegła końca. Ale to wszystko jest jakieś dziwne, prawda, doktorze? A poza tym nie zdradził pan jeszcze ani jednym słowem, gdzie pan się podziewał przez te dwa dni? Czy to jakaś młoda Walijska?

— Nie mogę nic powiedzieć, Leno. Nie potrafię. Istnieją sprawy, które są prawdziwe, gdy się milczy, a wypowiedziane zamieniają się w majaki. Nie wolno wyjaśniać... Żyjemy naraz w dwóch różnych światach i wszystko ma dwojakie znaczenie: jedno zrozumiałe dla wszystkich, a drugie przekracza możliwość pojmowania i jest potworne.

— Pan jest dziś w filozoficznym nastroju — stwierdziła Lena. — I biorąc pod uwagę, że jest pan doktorem filozofii, wygłasza pan dość dyletanckie i banalne mądrości. Ale nie

tykajmy pańskich tajemnic i młodej Walijki, którą ukrywa pan za metafizycznymi bzdurami.

Osborne poderwał głowę.

— Jeżeli mrs Roscoe zmarła, to według moich informacji, cały majątek Williama Roscoe automatycznie przypada domowi Pendragonów. Drobnostka. Gdyby Asaph Pendragon, szósty earl of Gwynedd, wpadł na sposób wyrabiania złota, też nie byłibyśmy tak bogaci. Co, Leno?

— To mnie wcale nie cieszy — odparła. — Nie jestem zwolenniczką wielkich kapitałów. Szkoda mi pana, Osborne. Bez pieniędzy byłby pan bardzo miłym chłopcem. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszego męża. To byłaby wręcz rozkosz móc pana utrzymywać.

Osborne telefonicznie odwołał dalsze poszukiwania i zawiadomił w Llanvygan o moim powrocie. Następnie wsiedliśmy do samochodu i wkrótce ujrzałem przyjazne kontury pałacu.

Wykapałem się, przebrałem i szedłem na herbatę. Osborne'a i Lenę zastałem w salonie Chippendale. Osborne z kanapką w ręku przemierzał wielkimi krokami pokój i tłumaczył ze zdenerwowaniem:

— Natychmiast po uzyskaniu urzędowego stwierdzenia zgonu mrs Roscoe pojedę z upoważnieniem mojego stryja do Londynu do Setona. Niestety, nie jestem w stanie określić fachowo, od czego zacznie się cała procedura, ale w efekcie i tak cały majątek Roscoe, wszystkie kopalnie, pola i lasy, fabryki w Indiach i bo ja wiem co jeszcze, przejdzie w posiadanie Pendragonów. Mój stryj nie będzie pragnął zajmować się tak prozaicznymi sprawami i w ten sposób administracja tego niewymiernego majątku spadnie na moje wątle barki.

Jego twarz jaśniała uduchowieniem. Dopiero teraz zauważyłem, że ze stylizowanej, zniewieściałej poczwarki wyłaniać się zaczyna pełna aktywności i czynu mocna sylwetka prawdziwego angielskiego dżentelmena.

Lena słuchała go smutno, a w pewnej chwili stoczyły się po jej policzkach dwie grube łzy. Myślała o tym, że mogłaby kochać Osborne'a, gdyby był biednym, niezaradnym chłopczkiem.

— Leno... przecież pani jest agronomem i geniuszem! Nie zechciałaby pani zostać moją sekretarką?

Lena zamyśliła się.

— Ale gdzie się podziała Cynthia?

Właściwie od pierwszej chwili po przybyciu do Llanvygan chciałem zadać to pytanie. Wstrzymywało mnie jednak miłosne zawstydzenie.

— Cynthia jest już pewnie w Szwajcarii — odparł Osborne. — Następnego dnia po wycieczce wysłaliśmy ją stąd. Była kompletnie załamana, prawdę mówiąc, nie mogła zupełnie dojść do siebie. Duchess of Warwick, nasza ciotka, przyjechała po nią i zabrała ze sobą.

*

Wtedy otworzyły się drzwi i ukazała się wyniosła postać earla of Gwynedd. Ale jakież wichry owiały tę twarz, kreśląc ciemne kręgi pod oczami i mącąc tak zawsze pewne spojrzenie? Rysy miał zastrzone jak męczennicy w chwili zgonu. Wyglądał tak niezwykle, że nawet Lena bała się odezwać.

O, Bątky — powiedział cicho, pozdrawiając. I zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem dużymi, głośnymi, nakazującymi milczenie krokami.

Następnie przystanął i spojrzał na nas.

— I wy już wiecie, że nie żyje... że oboje nie żyją?

— Tak, milordzie. Ja... ja sam...

Ale zaraz zamilkłem. Nie chciałem w obecności Leny i Osborne'a opowiadać zdarzeń, w których brałem udział. Earl spojrzał na mnie.

— Panie Bątky... gdzie pan był? Bardzo niepokoił się o pana.

— Wszystko opowiem, milordzie. Ale tylko panu.

— Proszę ze mną do biblioteki.

Zagłębiając się w wielkim fotelu bez słowa wysłuchiwał mojej nieskładnej, urywanej opowieści. Nie dziwił się niczemu. Od czasu do czasu kiwał głową, jakby wiedział, że tak musiało być. Tylko kurczowo zaciśnięte na poręczy fotela ręce zdradzały jego wzburzenie. A gdy doszedłem w mojej relacji do potwornej śmierci Eileen St. Claire, wlepił we mnie niewidzące oczy, jakby spoglądał gdzieś w niezmierzone głębiny morskie. Gdy umilkłem, długo się nie odzywał.

— Potem już pan nie widział... zjawy? — zapytał wreszcie.

— Nie.

— Nikt jej nie widział. Nikt. To nie może być nic innego... Bątky, niech pan ze mną pójdzie do Pendragonu. Jeżeli się pośpieszymy, będziemy jeszcze za dnia.

Za parę minut siedzieliśmy w samochodzie i jadąc dobrze znaną mi drogą dotarliśmy wkrótce do ruin. Pośpieszyliśmy w dół i po otwarciu tajemnych drzwi, oznaczonych godłem różokrzyżowców, najkrótszą drogą dotarliśmy do celu. Do jądra zamku, tam gdzie spoczywała na wieki dawni Pendragonowie. W dół drogą, którą niegdyś St. Germain i Lenglet de Fresnoy opanowani strachem kroczyli za Bonaventurą Pendragonem. Ja już nie odczuwałem strachu. Stałem już oko w oko z Niepojętym i mierzyłem wszystko inną miarą. Tak mogli kroczyć egipscy kapłani po swoich tajemnych, zamieszkałych przez potworne bóstwa komnatach świątynnych.

Oto staliśmy pod tajemniczo świecącym ciałem, którego blask padał na ołtarz. Earl odsunął wieko grobowca. Zajrzeliśmy.

Na katafalku spoczywała czarno odziana postać. Dłonie złożone na piersiach, na palcach pierścienie. Twarz stężała, bezkrwista, martwa... Ale ta twarz nie miała w sobie spokoju umarłych, była udręczona, gorzka... I teraz spostrzegłem... w piersi tkwiła rękoność starego sztyletu.

Nieśmiertelny jeździec zabił się sam.

Z oka earla spłynęła łza. Następnie zamknął grobowiec.

Wyszliśmy na słoneczny dzień. Barwy nabrały jasności, przed nami leżały w dole i w całej swej krasie, w promieniach zachodzącego słońca piękne dobra earłów of Gwynedd.

— Jestem znużony — powiedział earl i usiedliśmy na omszałym kamieniu.

Długo siedzieliśmy. Ukazały się gwiazdy i przyjazny księżyc. Nagle earl zaczął opowiadać. Do dziś nie wiem, czemu wyzbył się swej skrytości. Może uczyniło to zmęczenie, szarpiące przeżycia ostatnich dni, a może dlatego, że i tak już wszystko się zakończyło.

— Czekali na sprzyjającą chwilę — rozpoczął — może na jakiś rzadki układ planet czy inny jakiś znak, o którym nie mamy pojęcia. Nazwali tę chwilę momentem przyjścia proroka Eliasza. Na tę chwilę czekał Asaph Pendragon w swoim za życia zbudowanym grobie. Oczekiwany czas nadszedł... właśnie teraz, kiedy już nie istnieją różokrzyżowcy i o ich tajnej wiedzy świat zapomniał z pobłażliwym uśmiechem. Ten czas był i dla mnie próbą. Nocny jeździec, nieśmiertelny rozdzielacz sprawiedliwości uratował życie swego potomka. Ale Wielkie Dzieło nie posuwało się. Tylko czarna magia, diabelska moc, mogła być skuteczna. A do tego potrzebna jest ofiara. Porwał więc synka farmera. Dni całe penetrowałem w rozpacz okoliczne góry. Bez skutku. Musiałem uratować dziecko. Nareszcie spotkałem je w tym domu, który wybudował Morvin. Musiałem wybrać: poświęcić ją lub dziecko na ofiarę. To była potworna walka. Zdecydowałem się uratować dziecko... niewinne dziecko. Kobiętę poświęciłem, pozostawiłem ją swemu losowi, na który zasłużyła. Lecz Wielkie Dzieło nie spełniło się... Jeżeli tak jest, jak pan opowiadał, to pojawił się przed nim Szatan... ale cóż my możemy o tym wiedzieć. Tylko to jest pewne, że umarł w rozpacz. Chodźmy, doktorze.

Kiedy doszliśmy do zamku, earl powiedział znów swoim zwykłym towarzyskim tonem:

— Drogi przyjacielu, proszę pana o ostatnią uprzejmość. Niech pan znów pojedzie do

Londynu i odwiedzi profesora Juliana Huxleya w instytucie zoologicznym w King's College. Proszę mu powiedzieć, że daruję instytutowi axolotle. I przyrządy. I tablice statystyczne. Niech je dalej opracowują, jeśli zechcą, i niech ogłoszą wyniki.

— Och, milordzie... chce pan przerwać swoje badania?

— Cóż mam nadal badać? Moje wiadomości są tak znikome w porównaniu z tym, co wiedzieli różokrzyżowcy, i z tym, co widzieliśmy na własne oczy... Ja... wierzę w zmartwychwstanie ciała. A czy inni w nie uwierzą, to mnie nie interesuje. Doktorze Bątky... moja historia dobiegła końca. To, co było, dotyczy już tylko bardzo starego człowieka, jego przeżytych miesięcy czy lat, którego pocieszy nie zmartwychwstanie, lecz wieczny pokój.

*

I na tym kończy się walijska historia.

Następnego dnia earl wyruszył do Szkocji.

Lena wyjechała do Oksfordu, Osborne zaś i ja do Londynu. Nawiązałem kontakt z Julianem Huxleyem, którego ceniłem zarówno jako wielkiego biologa, jak i kuzyna najdowcipniejszego powieściopisarza Aldousa Huxleya...

Jako przedstawiciel Llanvyan stałem się bardzo popularny w kołach biologicznych i tak mnie fetowano, jakbym to ja wymyślił axolotle. Ja też dobrze się czułem w tym gronie; nauki przyrodnicze działały na mnie tak orzeźwiająco po przebytych okropieństwach, jak górskie, czyste powietrze.

Często spotykałem się z Osborne'em, który po paru dniach zawiadomił mnie, że dostał list od Cynthii. Doszła już do siebie po przebytych wstrząsach i gorąco się dowiaduje o mnie.

Natychmiast do niej napisałem, nie wspominając jednak o moim planie przyjazdu do Szwajcarii. Zwłaszcza że termin wyjazdu stale się odwlekał. Jeden z moich nowych znajomych zaprosił mnie na wspólną wycieczkę do Ameryki na kongres poświęcony historii nauk przyrodniczych. Zaproponował mi wygłoszenie referatu na temat Lengleta de Fresnoy i ruchu wolnomularskiego w XVIII wieku.

Ta amerykańska podróż bardzo mnie wabiła. Wszystkie moje dotychczasowe podróże bowiem ograniczyły się do jednego kontynentu.

Rozsądek również mi podpowiadał, że powinienem zapomnieć o Cynthii. Cała ta miłość, czy co to było, nie miała przecież żadnej przyszłości. Ożenić się z Cynthią nie mogłem. Mój własny snobizm nie dopuszczał nawet takiej myśli, że dziewczyna spokrewniona z wiekiem Szekspira i Milтона mogłaby zostać „towarzyszką życia” takiego mieszczańskiego zera, jakim byłem ja.

A gdyby jednak jakimś cudem do tego doszło i zostałyby moją żoną — myślałem sobie — nie byłoby to szczęśliwe małżeństwo. Bo Cynthia jako moja mieszczańska małżonka straciłaby to wszystko, co w niej kocham, a czego być może wcale nie posiada: historyczną nieprzystępność i dumę arystokratycznej pani z pałacu.

Nim to wszystko rozważyłem, nadszedł list od Cynthii:

My dear Friend,

szalenie miło z Pańskiej strony, że Pan o mnie myślał. Zwłaszcza że czytam ostatnio bardzo wiele i tak pragnęłabym usłyszeć Pańskie zdanie o tych książkach. Czytam przeważnie książki francuskie. Bardzo bym chciała, żeby Pan tu był, bo wielu rzeczy nie rozumiem.

Teraz już jestem zupełnie zdrowa i chodzę na krótkie spacerunki w góry. Bardzo bym chciała napisać coś ładnego o tutejszych pięknych widokach, ale nic mi nie przychodzi na myśl.

Mam tu bardzo sympatyczne towarzystwo. Jest również moja szkocka koleżanka Daphne Fitz William ze swoim bratem, który jest kapitanem marynarki wojennej. Bardzo miły chłopak

i inteligentny. Sadzę, że bylibyście dobrymi przyjaciółmi. Kapitan Fitz William poprosił o moją rękę.

Chciałabym poznać dokładnie pańskie plany na najbliższą przyszłość i nad czym pan pracuje. Poza tym proszę nie zapominać, że ma pan we mnie szczerze oddaną przyjaciółkę. Proszę napisać.

Yours

Cynthia Pendragon